

Mam mnóstwo problemów, doktorze.
A może to ja jestem problemem?



PACJENT

MAX
CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

PACJENT

FILIA

Lili, przyjaciółce, przy której powstały wszystkie dotychczasowe fabuły. Ta jest ostatnia. Na tym świecie. Do zobaczenia.

*Boże, pełen w niebie chwały,
A na krzyżu – pomarniały –
Gdzieś się skrywał i gdzieś bywał,
Żem Cię nigdy nie widywał?*

*Wiem, że w moich klęsk czeluści
Moc mnie Twoja nie opuści!
Czyli razem trwamy dzielnie,
Czy też każdy z nas oddzielnie.*

*Mów, co czynisz w tej godzinie,
Kiedy dusza moja ginie?
Czy łzę ronisz potajemną,
Czy też giniesz razem ze mną?*

*Bolesław Leśmian,
Boże pełen w niebie chwały*

Był permanentnie niewyspany. Być może zresztą wciąż śnił, co by nie było takie złe, biorąc pod uwagę okoliczności. Przynajmniej dla kruchej, niskiej blondynki, którą wypatrzył w trakcie kolejnego z nocnych wypadów. Wypad, właśnie tak to nazywał. Kiedyś pomyślał o łowach, ale przecież jemu wcale nie chodziło o upolowanie zwierzyny.

Gdy swoją wielką dłonią zatkał usta kobiety, z trudem powstrzymał ziewnięcie. Rozejrzał się, sprawdzając, czy na pewno nikogo nie ma w pobliżu, i zaczął ciągnąć blondynkę w stronę opuszczonej, przygotowanej do rozbiórki kamienicy. Już wcześniej zerwał żółtą taśmę informującą o zakazie wstępu do budynku.

Wszystko trwało dziesięć, może piętnaście sekund. W tym czasie zdołał wepchnąć kobiecie do ust szmaciany knebel oraz skrępować jej ręce i nogi. Położył ją na brudnej ziemi, w pozbawionym mebli pokoju na pierwszym piętrze. Nie było w nim okien, więc musiał działać dość cicho. Istotne, że nieodległa latarnia rzucała nieco światła.

Nie był bystry, nie był również mądry ani przebiegły, a ktoś nawet przebąkiwał, że jest lekko opóźniony. Być może, ale to nie robiło mu żadnej różnicy. Nie potrzebował czynić wielkich przygotowań ani planów. Musiał jednak sprawdzić, czy to, co przeczytał w jakiejś książce, jest prawdą. Nie pamiętał już nawet tytułu tej pozycji, właściwie nawet nie wiedział, czy była to książka, czy usłyszał o tym w radiu. A może ktoś mu opowiedział? Nieważne. Od dawna trapiła go myśl, czy to mogła być prawda. Nie lubił być oszukiwany. Naprawdę cholernie nie lubił oszustwa

ani bajek. W dzieciństwie nikt nie opowiadał mu historyjek o krasnoludkach ani o mówiących zwierzętach.

Sięgnął do rzuconej na ziemię torby i wyciągnął z niej zawiniątko. Przez chwilę obserwował, jak skrepowana kobieta usiłuje uciec. Tarzała się po ziemi, jęczała, lecz w ciągu minuty pokonała ledwie półtora metra. W świetle latarni od czasu do czasu błyskały jedynie jej wielkie, rozwarte z przerażenia oczy.

– Nie zgwałcę cię – oznajmił miłośniernie. Nie miał wątpliwości, że chciałaby to wiedzieć, więc starał się ją uspokoić. Nie był dewiantem.

Zaskoczyło go, że na jego słowa blondynka zareagowała jeszcze głośniejszym popiskiwaniami, wierzganiem oraz spazmami. Usiłowała obrócić się na bok i jednocześnie podkulić nogi. Było to oczywiście niewykonalne. Miała około dwudziestu lat, długie włosy, które teraz zagarniały brud z podłogi, oraz wąską talię. Wydawało się, że ma małe, nawet zbyt małe, piersi.

– Już czas – stwierdził oprawca. – Umieram z ciekawości, czy to wszystko było prawdą. Przepraszam, ale nie wytrzymam już ani sekundy dłużej.

Zabrał się do dzieła. Wypad, łowy... Co za różnica.

2

Mężczyzna momentalnie dopadł do swojej ofiary i zadarł jej bluzkę. Przysiadł na niej tak, by nie mogła wierzgać. Potem wykonał jedno niezbyt głębokie cięcie skalpelem na jej brzuchu. Poczul zapach krwi, a kobieta gwałtownie odgięła się, uderzając głową o podłogę. Musiał ją przytrzymać i uspokoić. Stracił przez

to kilka minut, lecz ciekawość była ważniejsza. Wymagała poświęceń.

Wsadził palec do rany i z rozczarowaniem zdał sobie sprawę, że nie przeciął mięśni. Mógł go wsunąć jedynie na kilka milimetrów, rozgarniając tkankę oraz chlupocząc w wypływającej obficie krwi, ale wciąż nie dostał się do jamy brzusznej. Powłoki były zbyt śliskie i twarde, by rozerwać je palcem. Przypominały grubą, naprawdę grubą skórę kaczki. Może to nie były mięśnie, lecz ścięgna? Nie znał się wystarczająco na tej dziedzinie nauki zajmującej się budową człowieka. A... Atomi? Atataomi? To słowo go zawsze bawiło.

Chwycił skalpel i przydusiwszy kobietę do ziemi, poprawił nacięcie. Poczował, że krew z jej brzucha wypływa jeszcze obficie. W ustach miał jej słodki, mdły posmak. Napawał się nim.

Ponownie wetknął palec do rany i westchnął z zadowoleniem. Tak, wszystko się zgadzało. Teraz otwór był właściwy. Ciepło krwi oraz dotyk wnętrzości sprawiły, że przebiegł go dreszcz podniecenia.

Sięgnął do torby i wyciągnął z niej kolejne zawiniątko. Był to słoik pełen owadów, które zbierał przez ostatnie tygodnie. Zgodnie z tym, co usłyszał w radiu albo przeczytał w książce, zaraz powinno rozpocząć się prawdziwe przedstawienie. Odkręcił wieczko, po czym nabrał garść ruszających się insektów. Czuł, jak go łaskoczą w dłoń i starają się wypełzać między palcami. Pośpiesznie upchnął je w brzuchu kobiety, zanurzając w nim niemal całą dłoń. Blondynka już nie wierzgała ani nie starała się bronić. Leżała bez ruchu, choć wciąż słyszał jej świszczący oddech.

– Zostańcie na miejscu... – wyszeptał, zatykając dłonią ranę. Nie wychodziło mu to najlepiej, gdyż brzuch kobiety ślizgał się od krwi.

Mógł wziąć igłę i nitkę, aby zaszyć rozcięcie. Przecież z pewnością nie było to nic trudnego. Chyba nawet o tym myślał,

ale zapomniał. Trudno.

Obrócił się tak, by nie zasłaniać światła padającego zza okna.

– To prawda! – Podekscytowany nie dbał o to, że powinien być cicho. – Mieli rację!

Spoglądał na brzuch pokryty ciemną, niemal czarną w tym świetle krwią. Unosił się w rytmie płytkich, nieregularnych oddechów kobiety. Jednak nie to było najciekawsze. Pod jej skórą, kilkanaście centymetrów od rany, dostrzegł ruch. Upchnięte do trzewi robaki poruszały się tak, jakby złościły się skomplikowanych kanalików. Pełzały w rozmaitych kierunkach. To była prawdziwa, pierwotna sztuka. Eksperyment został zakończony powodzeniem.

Teraz szalenciec pragnął się obudzić. Wiedział jednak, że to nie jest możliwe. Czekало go kolejne zadanie, a do tego to wszystko wydawało się takie realne... Przerazająco realne.

3

Komisarz Deryło słowo po słowie powtórzył w myślach to, co przed chwilą usłyszał.

„Dzwonię ze szpitala wojewódzkiego w Lublinie. Pani Haler wskazała pana jako osobę, którą mamy poinformować, gdyby zdarzyło się coś... niespodziewanego”.

Co niespodziewanego mogło się zdarzyć? Co to, do cholery, za zagadki i farmazony? Przede wszystkim jednak, co Tamara robiła w szpitalu? Jego podwładna powinna w tym momencie świętować zakończony dzień pracy przy lampce wina lub drinku. Mogła być w barze, knajpie, nawet wyjechać na cholerne wakacje, ale co u licha zawiodło ją do szpitala?

Deryło nie wypowiedział żadnej z tych kwestii. Z jego ust dobyło się jedynie ponagląjące mruknięcie.

– Proszę się nie denerwować... To znaczy...

Kobieta zaczęła się plątać, co było złym znakiem. Komisarz ścisnął mocniej telefon, a drugą dłonią oparł się o gięte krzesło w stylu art déco. Sapnął. Starał się opanować, lecz kolejne nieskładne słowa przelały czarę goryczy.

– Co się wydarzyło? – zagadnął, tracąc cierpliwość. – Proszę powiedzieć jednym, cholernym zdaniem.

– Ale... – Kobieta zamilkła, najwyraźniej starając się dobrać właściwe słowa. – Pani Haler podała pański numer jako jedyny telefon kontaktowy...

– To jest ta niespodziewana sytuacja? Zazwyczaj pacjenci podają ich więcej?

– Proszę nie być opryskliwym.

Deryło się wyprostował. Nie miał żadnego prawa kpić z tej kobiety, choćby wyartykułowanie tego, o co chodzi, miało jej zająć cały wieczór.

– Przepraszam – bąknął. – Po prostu niepokoję się, gdy słyszę, skąd pani dzwoni, i...

Kobieta weszła mu w zdanie.

– Pani Haler nie zostawiła swojego numeru telefonu. W tym rzecz.

– Chcecie jej numer? To wszystko?

– Nie do końca.

Deryło z trudem powstrzymał się, aby nie zakląć. Przeszedł po gabinecie i spojrzął za okno na rozciągającą się nocną panoramę Lublina. Z dziewiątego piętra wieżowca położonego na wzgórzu widok był naprawdę imponujący. Morze światła domów, aut oraz reklam. Nawet jeśli nie przypominało to panoramy Los Angeles, Nowego Jorku czy Warszawy, z pewnością miało własny urok – uwypuklony przede wszystkim przez widoczne w oddali

iluminacje zabytków Starego Miasta. Tym razem jednak Deryło nie zwrócił na to żadnej uwagi.

– Pani Haler wykonała dziś szereg badań – ciągnęła kobieta. Powoli zyskiwała właściwy rytm i systematyzowała tok wypowiedzi. – Nie jestem upoważniona o nich mówić, ale... Powinniśmy się z nią skontaktować. Właściwie sedno w tym, że musi zostać w szpitalu.

– Coś jej dolega?

Tylko to zainteresowało Deryłę. Dlaczego Tamara miałaby zostać w szpitalu? Przez ostatnie tygodnie widział, że zachowuje się nieco inaczej niż zwykle, miał wrażenie, że coś ją trapi, ale ilekroć próbował się czegokolwiek dowiedzieć, podkomisarz zamykała się jak kwiat róży na noc. Stawała się niedostępna i oschła. Choć może nie było to najtrafniejsze porównanie.

– Nie jestem upoważniona, by...

– Tak, wiem, by o tym mówić. Ale właściwie po co pani dzwoni?

– Żeby przekazał pan pani Haler, aby niezwłocznie wróciła do szpitala.

– Zaraz, zaraz... Czy ja dobrze rozumiem? Tamara zrobiła badania, jednak nie zaczekała na wyniki i po prostu wyszła?

– Dokładnie tak. Miała zostać na oddziale co najmniej do jutra, a niepostrzeżenie go opuściła. Nikt jej nie widział, poza tym nie mamy zainstalowanego monitoringu. Dlatego, o ile to możliwe, proszę, by...

Deryło się rozłączył i czym prędzej otworzył listę ostatnich połączeń, chcąc wybrać kontakt do Haler. Dwukrotnie mylił klawisze, o mało nie naciskając numeru do komendy oraz do patomorfologa. Wreszcie przytknął telefon do ucha i zacisnął usta. Po czwartym sygnale zaczął się poważnie niepokoić. Po szóstym zaklął, a gdy wybrzmiał siódmy i zarazem ostatni, ruszył do przedpokoju. Chwycił marynarkę, po czym wybiegł z mieszkania.

Deryło jak zwykle działał instynktownie. Nie miał pojęcia, czy powinien się martwić o Tamarę, ale jakiś szósty zmysł sprawiał, że opanował go niepokój. Serce łomotało mu w piersi, oddech przyspieszył, a dłonie oblepił zimny pot. Co kilka minut wybierał numer Haler, ale ta nie odbierała. To wprawiało go w jeszcze większe zdenerwowanie. Zorganizowana, uporządkowana podkomisarz zawsze miała przy sobie telefon. Do tego jeszcze ta informacja o jej chorobie...

– Co ci dolega? Czemu mi o niczym nie powiedziałaś?

Te dwa pytania Deryło wyszeptał, bębniąc palcami o kierownicę. Wyciskał siódme poty z silnika swojego wysłużonego, od lat restaurowanego citroëna H. Kultowe auto, ikona francuskich furgonetek z lodami oraz pojazdów dostawczych w ogóle, była mniej więcej w jego wieku. Jednocześnie się starzeli i wymagali dbałości o zdrowie. Tym bardziej komisarz żałował, że przez ostatnie tygodnie nie miał dość czasu, by usunąć kilka usterek. To musiało poczekać.

Teraz w głowie Deryły kłębiły się myśli dotyczące czegoś zupełnie innego. Tamara. Jego podwładna i być może jedyna przyjaciółka. Choroba. Najwyraźniej na tyle poważna, że ktoś ze szpitala fatygował się, by znaleźć z nią kontakt.

A ona? Uciekająca po wykonaniu badań przed diagnozą. To zupełnie nie pasowało do jej mocnego, wytrwałego charakteru. Tyle że każda, nawet najsilniejsza osobowość ma na sobie rysy. Pęknięcia, przez które, niczym woda, może wdrzeć się strach. Pewne okoliczności zamieniają tę wodę w lód i rozsadzają nawet

tych, którzy wydawali się twardzi niczym głązy. W trakcie kariery Deryło widział to wielokrotnie. Sprawy zamordowanych dzieci rujnowały psychikę gliniarzy z trzydziestoletnim stażem, śmierć bliskich doprowadziła na skraj szaleństwa zimnego jak stal patologa, kalectwo odbierało chęć życia najwytworniejszych bonwiwantów...

Rysa. Pęknięcie.

Deryło wiedział, że Tamara przeniosła się do Lublina z Krakowa ze względów osobistych. Nigdy przesadnie nie wnikał w ich sedno, a Haler nie podejmowała podrzucanego czasem tematu. Przemykała nad nim zupełnie niepostrzeżenie. Z jednej strony ze względu na jej wyjątkowe CV oraz rekomendacje, a z drugiej na specyfikę charakteru, po komendzie krążyły rozmaite plotki. Miała podpaść dyscyplinarnie, narobić sobie wrogów w ministerstwie, dopuścić w śledztwie niezgodne z prawem metody, wdać się w romans... To wszystko komisarz postrzegał jako bzdury. Tymczasem choroba... W jakiś sposób łączyła mu się z jej osobowością oraz przeprowadzką, ale nie wiedział do końca jak.

Może powinien z nią porozmawiać? Siąść i zmusić do mówienia. Pokazać, że jest gotów jej wysłuchać, choćby miała jakiegokolwiek wątpliwości. Przecież wiedział, że Haler zawsze stanie za nim murem, lecz nie miał pojęcia, czy to odczucie jest wzajemne. Oddałby za nią życie, czego zresztą już kiedyś dowiódł, ale ona była warta znacznie więcej. Życie oddałby w imieniu policyjnej przysięgi, obrony wartości, ideałów, lecz Tamara zasługiwała na coś więcej. Na jeszcze bardziej wyjątkowe traktowanie. Przez stres robił się cholernie sentymentalny.

– Cholera... – syknął, gdy Haler nie odebrała po raz szósty czy siódmy.

Uznał, że ma wyciszony telefon, bo jazgot rozbrzmiewającego raz po raz dzwonnka rozbudziłby nawet umarlaka.

Może ktoś przekazał jej częściowe wyniki badań i uznała, że nie ma sensu czekać na dalsze? Może nie mogło być już po prostu gorzej?

Zawsze może być gorzej. Wiedział o tym i to hasło stanowiło jedną z sentencji, którymi kierował się w życiu. Zawsze może być gorzej, więc ciesz się z tego, co masz.

Tylko co miał?

Zatrzymał samochód na parkingu przed blokiem Tamary. Pośpiesznie wygramolił się ze środka i ruszył w stronę klatki. Dochodziła dwudziesta trzecia, więc budynek niemal całkowicie tonął w ciemności. Z pewnością nie paliło się żadne światło w mieszkaniu podkomisarz.

Zatrzymał się przed drzwiami i kilkakrotnie nacisnął guzik domofonu.

Nic. Cisza.

Nacisnął go jeszcze trzy czy cztery razy, wzbudzając tym zainteresowanie kobiety wracającej ze spaceru z rudym bokserem. Pies spojrzał na niego rozbawionymi oczami, lecz właścicielka natychmiast ściągnęła smycz. Wielka, masywna sylwetka Deryły i brak kogokolwiek innego w pobliżu najwyraźniej ją przestraszyły. Mimo to kobieta, chowając się za merdającym ogonem psem, otworzyła kluczem zamek i weszła do klatki. Komisarz usłużnie przytrzymał jej drzwi, po czym podążył za nią.

– Dobry wieczór. – Skinął głową i zdobył się na uśmiech.

Aby dłużej nie stresować nieznajomej, minął ją, a następnie wbiegł truchtem na trzecie piętro. Zapukał do drzwi po lewej. Nic.

Sięgnął do dzwonka i nacisnął go trzy razy.

Nadal nic. Choć ze środka wyraźnie słyszał dzwonienie, nie dobiegł go już żaden inny odgłos.

Nacisnął klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły.

– Cholera...

Nie miał pojęcia, gdzie mogłaby podziewać się podkomisarz. Była odludkiem, który przebywał albo w pracy, albo w domu. Przynajmniej tak się wydawało Deryle. A może miała przed nim więcej tajemnic?

Co teraz?

Na to pytanie nie miał odpowiedzi. Jednocześnie trapiło go coraz silniejsze złe przeczucie.

5

Deryło wybiegł z bloku, w którym mieszkała Haler, i skierował się ku niewielkiemu parkingowi na jego tyłach. Budynek znajdował się przy jednym z lubelskich wąwozów, do którego prowadził szereg schodów. Parking znajdował się z drugiej strony. Ostatnie kilkanaście metrów komisarz pokonał truchtem.

Wreszcie przystanął po środku wypełnionej autami przestrzeni i się rozejrzał. Gdy wysiadał z citroëna, wielki turystyczny motocykl Tamary nie rzucił mu się w oczy. Teraz również nigdzie go nie widział. Zdenerwowany przeszedł wzdłuż rzędu aut, a nawet wychylił się ku niewielkiej zatoczce za szpalerem drzew. Nic. Ani śladu hondy, która była większa niż niejeden samochód.

W umyśle Deryły rozbrzmiał czerwony alarm. Komisarz zerknął na cyferblat starego tissota i ze zgrozą stwierdził, że dochodziła już północ. Coś było stanowczo nie w porządku. Usiłował pocieszyć się myślą, że gdyby motocykl Tamary stał na parkingu, znaczyłoby to, że coś mogło się jej stać w mieszkaniu. Tymczasem przynajmniej tę ewentualność na razie wykluczył. Nie wiedział tylko, czy stanowiło to powód do zadowolenia.

Wsiadł do citroëna, po czym wybrał numer do komendy. Odezwał się, gdy tylko dyżurny podniósł słuchawkę.

– Deryło. Czy podkomisarz Haler wpisywała się na listę i jest może w biurze?

Policjant odchrząknął, zaskoczony pytaniem komisarza.

– Chwileczkę. Proszę poczekać.

Rozległo się szuranie, które zastąpił szelest przekładanych kartek. Zapewne dyżurny miał listę schowaną pod komiksami albo świerszczykami. Ewentualnie układał pasjansa. Albo grał w jakąś grę na telefonie.

– Halo? – odezwał się po dobrych kilku sekundach.

– Jestem, czekam, do cholery.

– Nie, nie ma jej, panie komisarzu.

Cholera. Deryło przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł.

– W porządku. A teraz niech pan sprawdzi monitoring parkingu. Czy jest na nim jej motocykl?

– To chwilę potrwa.

– Nie wątpię.

Tym razem ciszę wypełniło mlaskanie oraz wzdychanie dyżurnego. Dźwięki te irytowały komisarza jeszcze bardziej niż muzyczka puszczana w trakcie próby połączenia z bankiem lub operatorem komórkowym, lecz powstrzymał się od komentarza. Oparł głowę o szybę i bębnił palcami lewej dłoni w kierownicę. Wreszcie, zirytowany, zaczął odliczać w myślach od stu w dół. Kilkukrotnie się gubił, odciągany przez pełne niepokoju myśli, lecz za którymś razem, w momencie gdy dotarł do pięćdziesięciu siedmiu, mlaskanie ucichło. Po chwili dyżurny chrząknął i ponownie wyrzucił swoje zmęczone „halo”.

– Jest?

– Nie ma... Ani na górnym, ani na dolnym parkingu. Oba są niemal puste, więc na pewno bym nie przegapił.

Deryło rozłączył się i rzucił komórkę na fotel pasażera.

– Cholera... – zaklął.

Nie miał już kolejnych pomysłów. Mógłby spróbować namierzyć Haler przez nadajniki BTS, ale to stanowiłoby poważne przekroczenie uprawnień. Poza tym musieliby mu w tym pomóc specjaliści, a o tej porze nie miał na kogo liczyć. Mógł również wrócić do domu, uznać, że nie ma sensu się zamartwiać, pokrzepić bourbonem lub dżinem z tonikiem i po prostu poczekać do jutra. Wszystko powinno się wyjaśnić. Pozostawała jedynie niepewność, że będzie inaczej...

Uruchomił silnik, wmawiając sobie, że jak zwykle jest nadgorliwy. Tamara powtarzała mu to wielokrotnie. Nazywała go „tatuśkiem” i śmiała się z jego przesadnej opiekuńczości, jednocześnie nie ukrywając, że sprawia jej ona ogromną przyjemność.

A może pojechała do rodziców? Nigdy o nich nie mówiła, lecz gdy człowiek dowiaduje się o ciężkiej chorobie, potrafi wszystko przewartościować.

Ta myśl, choć niespecjalnie krzepiąca, w jakiś sposób uspokoiła Deryłę. Wydawała mu się sensowna i wpasowywała się w ciąg zdarzeń.

W chwili gdy miał wcisnąć pedał gazu, z siedzenia obok dobiegły tony *Gnosienne no. 3* Satiego. Ustawił ten utwór jako dzwonek przed paroma dniami i dopiero po chwili powiązał go z komórką. Haler. To właśnie ona musiała oddzwaniać.

Natychmiast sięgnął po telefon i ze zdziwieniem zauważył, że połączenie wykonano z numeru zastrzeżonego. Do tego właśnie wybiła północ. Na górze ekranu złowieszczo prężyły się cztery zera. Nieco zbity z tropu odebrał.

– Dorwaliśmy ją, komisarzu – oznajmił zimny, prawdopodobnie zmodyfikowany przez jakieś urządzenie głos. – Jeżeli chce pan, by panna Haler wróciła do domu w jednym kawałku, będzie pan musiał coś dla nas zrobić.

6

Deryłę oblał zimny pot. Zaciśnął zęby, powstrzymując się od wdania się w utarczkę słowną. Wiedział, że to nie może do niczego zaprowadzić. Jego parszywe przecucie spełniło się w najgorszy możliwy sposób.

Po chwili głos w słuchawce odezwał się ponownie.

– Po pierwsze, porozmawiamy, gdy wróci pan do swojego mieszkania. Po drugie, proszę być pewnym, że jesteśmy śmiertelnie poważni, i po drodze niczego nie kombinować. Mamy na pana oko.

Głos znów zamilkł, a komisarz nerwowo poruszył się w siedzeniu. Położył lewą dłoń na kierownicy citroëna i starał się zebrać myśli. To był jakiś absurd. Czyste szaleństwo, które musiało mu się śnić. Jednak doskonale wiedział, że to nie jest sen. Nie potrzebował się szczytać ani uderzać po twarzy. Napięcie mięśni, pot oblepiający plecy oraz dłonie, łomot serca – nawet w najgorszych koszmarach nigdy nie pojawiały się w takim natężeniu.

– Zrozumiał pan, panie komisarzu?

Deryło drgnął. Bezgłośnie odchrząknął, starając się upewnić, że gdy się odezwie, jego głos będzie silny i pewny. Żadnego drżenia. Żadnej słabości. Teoretycznie w trakcie szkoleń był przygotowywany na podobną sytuację, ale teorię od praktyki jak zawsze dzieliła przepaść.

– Zrozumiałem – rzucił oschle, niemal opryskliwie.

– Proszę więc się podporządkować i nie robić niczego głupiego. Żadnego kontaktu z policją, żadnych sztuczek.

- Zrozumiałem – powtórzył.
- To dobrze. Cieszę się, że mamy jasność.
- Nie, nie mamy żadnej cholernej jasności, ale zrozumiałem.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, że to wszystko musi być żartem. Że chłopaki z komendy weszli w komitywę z Tamarą i właśnie bezczelnie się z niego nabijali. Pewnie cały wydział pękał ze śmiechu. Stary, zgryźliwy Deryło wreszcie dostał za swoje. Odpłacali mu za jego wybuchy złości, tyrady i zmuszanie do pracy ponad ludzkie siły.

Ale... Coś mu nie pasowało. Tamara nigdy nie zgodziłaby się na udział w takim dowcipie i nie pozwoliłaby na naigrywanie się z niego. Tyle że tak naprawdę o niczym nie musiała wiedzieć. Ktoś mógł ją umyślnie zaprosić na drinka albo namówić na wyjazd, na przykład do zakładu medycyny. Pod byle pretekstem.

Jednak dlaczego nie odbierała komórki? Mało prawdopodobne, by zgodziła się ją odłożyć lub nie zważać na połączenia od komisarza. Było to możliwe, lecz...

Te rozważania przerwało sapnięcie, które dobiegło go z telefonu. Po chwili usłyszał głos Tamary – z pewnością niezmodyfikowany i wypowiadający słowa nieudawanym tonem, stanowiącym mieszankę wściekłości oraz strachu.

– Eryku, oni są poważni – wyrzuciła szybko. – Dorwij tych sukinsynów i...

Rozległ się krzyk. Deryło nie miał wątpliwości, że to krzyk Tamary. Zacisnął mocniej palce na telefonie, tak że plastikowa obudowa aż zatrzeszczała. Krzyk się urwał, komisarz usłyszał stłumione plaśnięcie, być może odgłos uderzenia, a potem ktoś inny chwycił słuchawkę.

- Co jej zrobiliście?! – wrzasnął. – Nie ważcie się jej tknąć!
- Spokojnie, panie komisarzu. Tak długo, jak panna Haler będzie grzeczna, nie stanie się jej krzywda. Jednak w momencie, gdy zacznie rozrabiać... – Mężczyzna po drugiej stronie linii

westchnął. – Mam tu kogoś, kto zna się na anatomii i wie, jak postępować w takich sytuacjach. Jeśli mu każe, wyciągnie z pańskiej partnerki żyłę po żyłę, a potem zawiąże na nich supły. Natnie jej brzuch i wyrwie jelita...

– Dość. Nie musisz mówić nic więcej...

– A więc naprawdę się rozumiemy.

– Tak.

– Teraz niech pan pojedzie prosto do domu, a potem czeka na dalsze polecenia.

Deryło zagryzł usta i wrzucił bieg. W tym samym momencie gdzieś za jego plecami rozległ się trzask. Błyskawicznie się odwrócił i rozumiał, że ktoś siedział z tyłu jego furgonetki. Przed ułamkiem sekundy wyskoczył tylnymi drzwiami, po czym pchnął je i zatrzasnął.

Komisarz chciał się zerwać z miejsca i rzucić w pogoń za intruzem, ale głos dobiegający z telefonu natychmiast go powstrzymał.

– Przez całą naszą rozmowę miał pan lufę przystawioną niemal do głowy. Skoro pan żyje, znaczy to, że był pan posłuszny i nie próbował mnie oszukać. A teraz do domu, panie komisarzu. Właśnie rozpoczęło się dwanaście krótkich godzin, które ma pan na wykonanie zadania.

– Co to za cholerne zadanie?! O czym ty...

– Wszystkiego dowie się pan niebawem. Radzę się śpieszyć, komisarzu, będzie pan miał mnóstwo roboty.

Mężczyzna się rozłączył.

Deryło wyskoczył z citroëna na osiedlowy parking. Okolica była kompletnie pusta, a światło latarni z trudem przebijało się przez liście drzew. Od dwóch lat mieszkańcy osiedla walczyli z zarządem, by szpaler dębów został przycięty. Jak na złość, zamiast zająć się nim, wycinano lipy rzucające cień na plac zabaw. Argumentacja była pokrętna i podejrzewano, że działka z nasadzeniami została sprzedana jakiemuś deweloperowi. W sprawę wmieszali się dziennikarze, co jedynie podkreśliło atmosferę i spiralę wzajemnych podejrzeń.

Teraz jednak dla komisarza nie liczyły się żadne lokalne sprawy. Żadne place zabaw, latarnie ani nierówne chodniki. Trzasnął drzwiami i, nie zamykając auta kluczykiem, pobiegł w stronę bloku. Tuż przed klatką zerknął na cyferblat tissota. W świetle lampy z czujnikiem ruchu dostrzegł, że minęło już wpół do pierwszej.

Pośpiesznie chwycił klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

– Cholera...

Przez chwilę szukał kluczy, wreszcie zniecierpliwiony wpisał kod do domofonu. Klucze do mieszkania znalazł w wewnętrznej kieszeni marynarki, gdy wbiegał na wysokie piętro. Niemal nigdy nie korzystał z wind, a teraz podwójnie nie miał na to ochoty. Po pierwsze, nie cierpiał ścisku, po drugie, wiecznie obawiał się zatrzaśnięcia lub awarii. Tymczasem musiał się śpieszyć.

Dwanaście godzin? O co chodziło temu człowiekowi? Na co miał mieć niby pół doby? Jeżeli to nie był żart, sprawa zakrawała na szaleństwo. Czuł się, jakby trafił do cholernego filmu, w którym nagle pojawiają się wyzwania, z którymi musi się zmierzyć bohater. Jednak on nie miał ani jednej odpowiedzi na pytanie, ani jednego punktu zaczepienia. Musiał gnać naprzód niemal zupełnie na oślep.

Czy naprawdę miał pistolet przytknięty do głowy? Być może. Akurat to nie sprawiało, że czuł się bardziej przestraszony lub

zmobilizowany. Bez dwóch zdań ktoś był w jego furgonetce w chwili, gdy rozmawiał przez telefon. To świadczyło o tym, że porywacz Haler działał z kimś w porozumieniu. Komisarz miał przeciw sobie grupę złożoną z co najmniej dwóch osób. Zresztą mężczyzna kilkakrotnie mówił w liczbie mnogiej, dając mu do zrozumienia, że nie jest sam.

Mężczyzna? Głos był wyraźnie zmodyfikowany, a komisarz doskonale wiedział, że są urządzenia modulujące, które pozwalają ukryć płęć mówiącego. Czy tak było w tym przypadku? Nie sądził. Co oni zrobili Haler, że udało się im ją uprowadzić? W jaki sposób ją zastraszyli? Wreszcie, dlaczego krzyknęła? Czy po prostu ją szarpnęli, czy zrobili coś innego, znacznie gorszego?

Słowa o wypruwaniu żył oraz jelit, choć zalatywały kiczem, brzmiały przekonująco. To właśnie głęboka siła przekonywania rozmówcy przyprawiała go o dreszcze. Tamara była jedną z najbliższych dla niego osób i bez wahania oddałby życie, aby nic się jej nie stało. A jeżeli te gnojki zażyczą sobie właśnie jego życia? Może to jacyś dewianci, z którymi zadarł w przeszłości i którzy teraz wpadli na pomysł, aby się zemścić?

Pokonując kolejne schody, zastanawiał się, czy przez ostatnie tygodnie otrzymał informację, by z więzienia zwolniono któregoś z ujętych przez niego zwyrodnialców. Nikt nie przychodził mu do głowy. Jednak przecież nie istniała żadna procedura informowania śledczych o podobnych sytuacjach. Czasem, gdy zachodziły obawy zemsty lub osadzeni ostentacyjnie powtarzali, że dopadną tych, którzy wtręcili ich za kraty, stosowano środki zapobiegawcze. O żadnym z nich komisarz nie został powiadomiony, więc nic takiego raczej nie miało miejsca. „Raczej” w podobnych przypadkach stanowiło słowo klucz.

Oczywiście miał wielu wrogów. To nie było żadną tajemnicą i nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W ciągu ostatnich lat doprowadził do aresztowania kilkudziesięciu naprawdę

koszmarnych wykolejeńców, co prędzej czy później musiało pociągnąć za sobą konsekwencje. Część z nich miała rodziny, mściwych przyjaciół, współpracowników...

– Szlag...

Deryło zaklął, gdy zdał sobie sprawę, że zamek w drzwiach do jego mieszkania jest otwarty. Po wyjściu musiał ich nie zamknąć, chyba że... Nie chciał kończyć tej myśli.

Wszedł do środka i sięgnął do włącznika światła. W tym samym momencie w progu salonu dostrzegł zarys czegoś, czego tam nie powinno być. A może raczej kogoś? Położył dłoń na włączniku i wstrzymał oddech.

– Dzień dobry, panie komisarzu – dobiegł go głos, jakiego z pewnością nie słyszał nigdy wcześniej. – Może pan zapalić światło.

8

Deryło zmrużył oczy. Nagłe uderzenie światła sprawiło mu fizyczny ból. Wzdrygnął się i starał zebrać myśli. Zamrugał, wpatrując się w zarys sylwetki człowieka stojącego w wejściu do salonu. Powoli, bardzo powoli, jego rysy się wyostrzyły. Wreszcie komisarz dostrzegł około czterdziestoletniego mężczyznę z szeroką twarzą pokrytą bliznami po trądziku. Mimo to w jego rysach było coś szlachetnego, choć zarazem ascetycznie surowego. Jednak uwagę przykuwały przede wszystkim jego szare, niemal grafitowe oczy. Ich uważne spojrzenie było wbite w Deryłę.

– Niech pan robi wszystko, co każę – odezwał się nieznajomy. – Choćby te polecenia wydawały się panu całkowicie irracjonalne.

– Gdzie ona jest? – Deryło ostrożnie zamknął drzwi i zrobił krok w stronę intruza. Ten cofnął się w głąb salonu.

– Żadnych pytań. Jedynie moje polecenia.

– To jakieś pieprzone żarty? Jeśli tylko...

Mężczyzna wszedł komisarzowi w słowo.

– To nie są żarty. Niech pan będzie posłuszny... Proszę.

To ostatnie, dorzucone lekko łamiącym się głosem słowo zwróciło uwagę Deryły. O co w tym wszystkim chodziło? Co tu robił ten mężczyzna i kim był? A przede wszystkim czego od niego chciano?

– Co mam zrobić? Jak się nazywasz?

– Mów mi Clyde.

– Jak ten od Bonnie?

– He?

Deryło postąpił o krok w stronę nieznajomego, który zatrzymał się przy stole.

– Pytałem, czy Clyde, jak ten od Bonnie? – dopytał, czując, że nagle zyskuje nad nim przewagę nie tylko fizyczną, ale również psychiczną. Jakby szalenciec zawahał się i w bezpośrednim starciu stracił dotychczasowy animusz.

– Mhm. Tak, może... Nie wiem, co za pieprzona różnica? Niech pan robi, co każe.

Dopiero teraz spostrzegł, że Clyde trzyma w dłoni czarną teczkę z kołowrotkowym notatnikiem. Mężczyzna podniósł ją i wskazał na pierwszą z kartek. Komisarz zmrużył oczy, aby odczytać krótki, napisany wielkimi literami komunikat.

„PODEJDŹ DO OKNA”.

– Co tu, u licha...

Widząc, że nieznajomy zaciska usta, i pamiętając krzyk Haler, posłusznie zrobił kilka kroków w głąb salonu. Okno było otwarte i wpadał przez nie delikatny powiew przeciągu. Komisarz zatrzymał się przy drzwiach balkonowych.

– Co teraz?

Clyde wierzchem dłoni otarł pot z czoła i przełożył kartkę. Na jego dłoni komisarz dostrzegł szeroką srebrną bransoletkę z jakąś plakietką. Mężczyzna nosił również charakterystyczny naszyjnik, nieco przypominający drut kolczasty. Odniesienie do męki Pańskiej? Do cierpiącego Chrystusa? Czy chodziło w tym o jakichś świrów religijnych, którzy chcieli go nawrócić albo zmusić do pokuty? Niby za co miałby pokutować?

Mężczyzna zastukał palcem w kartkę i się wyprostował. Deryło chciał zrobić krok w jego stronę, lecz jednocześnie powiązał treść kolejnego komunikatu z zarysem przedmiotu leżącego na parapecie. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł go nieprzyjemny dreszcz.

– Boże... – wyszeptał.

9

„WEŻ KARABIN”.

Komunikat był prosty i jednoznaczny. Deryło z trudem panował nad emocjami. Nogi mu drżały, a po jego plecach, mimo chłodu nocy, spływał pot. Czuł suchość w gardle i łomotanie serca. To wszystko sprawiało, że był coraz bardziej roztrzęsiony. Nie miał już prawie żadnych wątpliwości, że nie stał się ofiarą głupiego żartu. Choć nadzieja zawsze umierała ostatnia, bez wątpienia była matką głupich.

Obrócił się w stronę parapetu i spojrzał na karabin. Nie znał tej broni, ale stanowiła jakąś modyfikację myśliwskiego mausera M03, klasycznego czterotaktu służącego do polowań na grubą zwierzynę. Do sztucera zamontowana była smukła luneta

z odsłoniętym pokrętle balistycznym, zapewne doskonale sprawdzająca się przy łowach na długi dystans.

Deryło zatrzymał się w pół ruchu. Nagle ogarnęły go wątpliwości i chęć buntu. A co, jeśli nie zrobi tego, co mu każą? Czy naprawdę mogliby skrzywdzić Halera? Czuł, że nie powinien nawet tego rozważyć, ale z drugiej strony...

Clyde nerwowo zastukał w kartkę papieru.

– Nie zamierzasz już nic powiedzieć? – Deryło obrzucił go pogardliwym wzrokiem. – Ty tchórze... Biorąc za zakładnika kobietę, pokazujecie, kim jesteście. Zwykłymi śmieciami.

Wiedział, że nie ma przed sobą mózgu operacji. Najpewniej nie był to też ten człowiek, z którym rozmawiał przez telefon. Wówczas nie byłoby potrzeby, aby modyfikował głos.

– Olej swoich kumpli... Wycofaj się...

Twarz mężczyzny nagle stała się niemal papierowo biała, a szeroko rozwarte oczy wyszły z orbit. Clyde pośpiesznie pokręcił głową. Nieustannie stukał przy tym w kartkę papieru.

„WEŹ KARABIN”.

– Okej, w porządku...

Deryło dokonał błyskawicznej kalkulacji. Nie zamierzał ryzykować życia Tamary, ale uznał, że powinien grać na zwłokę. Miał czas. Mógł powoli drążyć temat, starając się przeciągnąć tego szaleńca na swoją stronę. Tylko czy nie byli na podsłuchu reszty bandy?

Utrzymując kontakt wzrokowy z Clydem, posłusznie się cofnął i sięgnął po karabin. Ten był zaskakująco lekki. Musiano wykonać go ze specjalnych materiałów, takich jak...

Deryło nie chciał kończyć tej myśli, a jednak zagnieździła się już w jego głowie. To nie był zwykły sztucer. Trzymał profesjonalny, wojskowy karabin snajperski z precyzyjną lunetą.

Drgnął, gdy intruz z szelestem przerzucił kartkę brulionu. Przeniósł na nią wzrok i powoli odczytał.

„SPÓJRZ NA BLOK NAPRZECIWKO.
SZÓSTE PIĘTRO.
DRUGIE OKNO OD PRAWYJ”.

Odwrócił się do okna i wyjrzał na dwór. Poruszył się tak, by jego cień padał na szybę i przysłaniał odbicie żarówek żyrandola. We wskazanym oknie paliło się światło. Czyżby był tam jego prawdziwy oprawca? A może przetrzymywano tam Haler? Wydawało mu się, że widzi zarys czyjejś sylwetki.

– Co, do diabła...

Usłyszał, że intruz po raz kolejny przekłada kartkę. Odwrócił się do niego i jednocześnie ugięły się pod nim nogi. Niemal nie upadł.

Kolejny komunikat był równie jasny jak poprzednie. Lecz znacznie bardziej przerażający.

„To jakiś koszmar” – pomyślał Deryło po raz kolejny tego wieczoru.

10

„ZASTRZEL CZŁOWIEKA W TAMTYM POMIESZCZENIU”.

Deryło sapnął, po czym uśmiechnął się z bezgranicznym niedowierzaniem. Pokręcił głową jakby opowiedziano mu właśnie jakąś kompletnie niewiarygodną historię.

– Pieprzcie się...

Nie potrzebował ćwierci wieku doświadczenia w wydziale kryminalnym, by poznać po twarzy mężczyzny, że swoją złością niczego nie zdziała. Mógł jedynie pogorszyć sprawę. Intruz wymownie przesunął palcem w dół karki, wskazując na drugi, napisany nieco mniejszą czcionką komunikat. Zupełnie, jakby z góry przewidziano jego reakcję.

„ON ALBO TAMARA”.

– Właśnie to jest moje zadanie? Mam zabić człowieka? Zwariowaliście!

Clyde nie odpowiedział. Stał nieruchomo, z palcem wymierzonym w szaleńczy rozkaz. Deryło przeczesał palcami lewej dłoni rzadkie, krótkie włosy. Pochylił ramiona i zerknął na opuszczony karabin. Powoli go podniósł, ale w ogóle nie dopuszczał myśli, żeby go użyć.

– Mógłbym zastrzelić co najwyżej ciebie. – Spojrzał wyzywająco w oczy nieznajomego. – Jeden strzał i jedną gnidę mniej. Myślisz, że mógłbym mieć z tym problem?

Clyde pokręcił głową. Otworzył usta w wyrazie niemej bezsilności, po czym przełożył kartkę.

– Co teraz?

„MASZ MINUTĘ. CZAS, START!”.

Komisarz niemal wybuchnął śmiechem. Jego nerwy były na skraju wytrzymałości.

– Przecież to jakiś absurd... To... Naprawdę jesteście szaleni. Szaleni jak diabli...

Słowa grzęzły mu w ustach, a po skroniach niemal ciurkiem spływał pot. To nie był absurd. To była lodowata kalkulacja, fragment jakiegoś pokręconego planu stworzonego przez chory umysł. Albo chore umysły.

Komisarz postanowił podjąć jeszcze jedną próbę.

– Chcesz pójść na całe życie za kraty? – zapytał, spoglądając prosto w oczy Clyde'a. – Naprawdę? Ja się tam nie wybieram.

Clyde również obficie się pocił, ale nadal nie odezwał się nawet słowem. Nerwowo zerknął na elektroniczny zegarek, który miał na ręce.

Minuta.

Zostało z niej pewnie mniej niż czterdzieści sekund. Deryło zmrużył oczy i dostrzegł, że na cyferblacie zielone cyfry odliczają

pozostały czas niczym odwrócony stoper. Niewiele się pomylił.

43.

42.

– Możesz to wszystko odkręcić, jeszcze nie jest za późno...

Kolejna nieudana próba. Clyde spojrzał na komisarza spode łba i ciężko sapnął. Nie zamierzał wchodzić z nim w żadną polemikę. Zamiast tego trzymał dłoń tak obróconą, by Deryło widział odliczanie odbywające się na cyferblacie jego zegarka.

30.

29.

– Naprawdę myślisz, że strzełę i zabiję tego człowieka? Pieprzę to.

Fuknął i uniósł karabin, mierząc wprost w głowę intruza. Żyła na jego skroni zadrzała w rytmie bijącego jak oszalałe serca.

– Załatwię was, jednego po drugim. Zabiję albo zrobię wszystko, żebyście zgnili w pierdłu, w najgorszych celach i z najgorszym towarzystwem.

Zrobił krok w stronę Clyde'a. Mężczyzna cofnął się i ku jego zdziwieniu zamknął oczy.

– Proszę... – wymówił niemal bezgłośnie.

Wtedy w głowie Deryły zaległa się kolejna, natrętna myśl.

A co, jeśli ten człowiek jest szantażowany tak samo, jak ja? Co, jeśli jest niewinny i wykonuje jedynie swoje zadanie?

– Czym ci grożą?

15.

14.

Brak odpowiedzi. Mężczyzna skulił się i wyciągnął przed siebie brulion niczym zebracy, którzy starają się zwrócić uwagę przechodniów kartkami z informacją, dlaczego zbierają pieniądze.

– Cholera... Wrobili cię, prawda?

Clyde delikatnie skinął głową i głośno pociągnął nosem. Trząśnięcie jak osika, a na nogawce jego spodni komisarz zobaczył ciemną

stróżkę moczu. Chwycił go za nadgarstek i zerknął na cyferblat zegarka.

7.

6.

Błyskawicznie odwrócił się w stronę otwartego okna i przytknął karabin do ramienia. Zerknął przez lunetę. Dwie lub trzy sekundy stracił na to, by odnaleźć właściwe okno. W środku znajdował się ktoś ubrany w luźny dres i czapkę z daszkiem. Nie miał dość czasu, by regulować powiększenie, więc nie potrafił wykorzystać możliwości przyrządu optycznego.

Nabrał powietrza. Nie wiedział nawet, czy mierzy do mężczyzny, czy do kobiety. Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek ani dlaczego został wybrany na jego cel. Z trudem hamował drżenie dłoni. Odległość wynosiła około stu metrów, więc nie musiał być strzelcem wyborowym, by trafić. Wystarczyła podstawowa znajomość obsługi broni.

3.

2.

Odliczał w myślach. Człowiek poruszył się i odwrócił do niego plecami. Powierzchnia jego ciała wystawiona na strzał nie mogła być już większa.

„Jeśli mu każę, wyciągnie z pańskiej partnerki żyłę po żyłę, a potem zawiąże na nich supły. Natnie jej brzuch i wyrwie jelita...” – te słowa rozbrzmiały w głowie komisarza wraz z ich ponurą wizualizacją. Wszystko trwało jedynie ułamek sekundy.

Dotknął spustu i wstrzymał oddech.

1.

Ci ludzie nie żartowali. Byli poważni i bez wątplenia mogli spełnić swoją groźbę. Tamara nie udawała swojego krzyku. Nigdy by go nie wrobiła, a teraz jej życie znalazło się w jego rękach.

Czas upłynął.

Doktor był człowiekiem młodym, około trzydziestopięcioletnim, o przystojnej twarzy i bystrym spojrzeniu. Zawsze miał na sobie szary, dobrze skrojony garnitur oraz białą koszulę. Nie zakładał krawata. Roznosił się od niego przyjemny, może nieco zbyt intensywny zapach perfum, który zlewał się z odświeżającą wonią aromatyzera stojącego w rogu gabinetu.

Pomieszczenie miało kształt kwadratu o boku około trzech metrów. Poza niewielkim, czarnym biurkiem, dwoma fotelami oraz niską sofą nie znajdowały się w nim żadne inne meble. Na ścianie wisiały kalendarz i dwa abstrakcyjne obrazy, które przedstawiały zarówno wszystko, jak i nic. Przynajmniej tak kiedyś o nich powiedział Doktor. Rzeczywiście miał przesadną skłonność do wygłaszania sentencji i obserwowania reakcji rozmówców.

Tymczasem Pacjent był przysadzistym, krępy męczyzną o kwadratowej twarzy i lekkim zezie. Odruchowo co kilka sekund drapał się paznokciem małego palca prawej dłoni po uchu. Mlaskał przy tym i marszczył czoło, co było wyrazem najgłębszej koncentracji. Podczas sesji z Doktorem zawsze był skoncentrowany. Naprawdę chciał robić postępy i zadowolić wychowawcę. Nadzwyczaj lubił być chwalony, więc system nagrodowy dodawał mu motywacji. Uważał, że w ciągu ostatnich miesięcy poczynił wielkie postępy, lecz we wszystkich notatkach na jego temat podkreślano notoryczny regres. Doktor wychodził ze skóry, aby nie zrzucano tego na karb jego nieudolności. Wobec innych pacjentów osiągał naprawdę dobre rezultaty, ale ten

przypadek można by uznać za beznadziejny. Rzekłby, że beznadziejny jak wygazowany szampan.

– Chciałbyś o czymś porozmawiać? – zapytał, lekko pochylając się ku Pacjentowi. – Masz jakiś pomysł, od czego powinniśmy rozpocząć dzisiejsze spotkanie?

– Ja... Ee...

– Nie musisz się śpieszyć.

– Ale... Ja... No wie pan, wcale nie pobiłem tamtego człowieka. – Pacjent cały się zarumienił i wbił wzrok w sufit. – Nie musi pan na mnie krzyczeć, bo to nie ja. Naprawdę nie ja.

Doktor zerknął w stronę notatnika rozłożonego na oparciu fotela, lecz zaraz ponownie przeniósł wzrok na Pacjenta. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, o jakim pobiciu ten mówi.

– Dlaczego uważasz, że będę krzyczał i cię o coś oskarżę? – zapytał łagodnym, miękkim tonem.

– Bo... Wszyscy tak mówią.

– Kim są wszyscy?

– No, wie pan, pani Kruk, pan Wiktor i... – Pacjent kolejno unosił palce, ale chyba się zagubił w obliczeniach, bo już przy trzecim potrząsnął dłonią i złożył ją w pięść. – Wszyscy, po prostu wszyscy.

– Mówili ci o tym czy tylko tak uważasz?

– Wiem to.

– Ale ci tego nie powiedzieli.

– Widzę ich spojrzenia. Widzę je nawet, gdy jestem obrócony do nich plecami.

Pacjent mówił coraz szybciej i jak zwykle, po kilku minutach od rozpoczęcia sesji rozkręcał się, zaczynał gestykulować, wiercić się, a przede wszystkim pocić. Pot dosłownie oblepiał jego pyzată, zaczerwienioną twarz. Doktor zmrużył oczy i jeszcze mocniej pochylił się w jego stronę. Nie odzywał się, mimo że w gabinecie zapadła cisza. Trwała trzydzieści lub czterdzieści sekund,

w trakcie których Pacjent robił wszystko, byle uniknąć jego spojrzenia. Na zmianę patrzył się w podłogę, sufit lub w któryś z obrazków. Wreszcie odchrząknął.

– Zdradzę coś panu – odezwał się szeptem. – Widzę ich spojrzenia nawet wtedy, gdy się na nich nie patrzę. Dlatego myślą, że o niczym nie wiem.

– Możesz mi to opisać? Zdradź mi również ten sekret. Jakim cudem możesz widzieć spojrzenia, gdy nie patrzysz na tych ludzi?

Pacjent porozumiewawczo nachylił się ku Doktorowi. W pewnym momencie wyciągnął ku niemu dłoń, jakby chciał go poklepać po ramieniu, ale zaraz ją cofnął. W drugiej ręce ścisnął czerwoną teczkę zamykaną na gumkę.

– Widzę ich plecami – wyznał ledwie słyszalnym głosem. – Rozumie pan? Robię ich na szaro, bo potrafię widzieć ich plecami.

Lekarz skinął głową. Zachował całkowitą powagę i pozostał w tej samej pozycji.

– Miałem straszny sen. – Pacjent nagle zmienił temat. – Był naprawdę przerażający i realny, choć pewnie pomyśli pan, że zwariowałem. Ha, co ja też gadam, pan już tak myśli.

– Nigdy tego nie powiedziałem. Czy możesz opowiedzieć, o czym był ten sen?

– Tak, tak... – Pacjent uśmiechnął się blado i po raz kolejny podrapał się po uchu. – Porwałem w nim ładną kobietę, a potem zaciągnąłem ją w jakieś ciemne miejsce. Do... jak to się mówi? Pustego bloku?

– Pustostanu?

– Chyba tak. Więc zaciągnąłem ją do pustostanu i tam zraniłem ją nożem w brzuch. A potem... Potem włożyłem jej do tego brzucha mnóstwo robaków, które miałem ze sobą w słoiku.

Pacjent zamilkł i opuścił głowę. Ciężko dyszał, jakby to wyznanie kompletnie go wyczerpało. Doktor przez chwilę czekał, że może podejmie temat, lecz tym razem nie było na to szansy.

– Dlaczego ten sen tak bardzo cię zaniepokoił? Wszyscy mówią, że to tylko koszmary. Powinniśmy je traktować jako...

– Jest pewien problem. – Pacjent po raz pierwszy wszedł Doktorowi w słowo. Podniósł głowę i, jak małe dziecko, otarł oczy piąstkami. – Jest pewien poważny problem, Doktorze.

– Słucham cię uważnie.

Pacjent obrócił w dłoniach teczkę. Niezgrabnie odciągnął gumkę, po czym zajrzał do środka. Doktor, widząc jej zawartość, mimowolnie wstrzymał powietrze.

12

– Nie zrobię tego. – Deryło odwrócił się na pięcie i opuścił karabin. – Nie zabiję niewinnego człowieka. Nie zabiję kogoś, kto...

Wszystko, co rozegrało się w ciągu następnych kilku sekund, komisarz zarejestrował jak ciąg wydarzeń, które mógłby analizować kadr po kadrze. Niczym w filmie najlepszej jakości, każdą sekundę mógł rozbić na dwadzieścia cztery lub nawet czterdzieści osiem klatek.

Clyde głośno pociągnął nosem i wypuścił notatnik. Ten z trzaskiem upadł na podłogę, a dwie kartki oderwały się, po czym zafalowały w powietrzu. Mężczyzna chwycił swój naszyjnik niczym pielgrzym sięgający ku krzyżowi po przybyciu na Grób Pański. Wtedy komisarz zobaczył zielone zero pulsujące na cyferblacie jego zegarka.

Mężczyzna spazmatycznie drgnął, załkał i głośno nabrał powietrza. Jego źrenice rozszerzyły się tak, że oczy wydawały się całe czarne. Perły potu spłynęły spod nasady włosów po czole

i skapnęły na podłogę. Deryło mógłby przysiąc, że widział, jak rozbryzgują się o mahoniowy parkiet.

Clyde wierzgnął niczym młody baran lub owca w chwili obrączkowania. Mięśnie jego odsłoniętych przedramion napięły się, a żyły uwypukliły. Mężczyzna zacisnął szczękę tak mocno, że rozległo się zgrzytnięcie zębów.

– Boż...

Nie dokończył ostatniego słowa, które padło z jego ust. Zamocowany na jego karku mechanizm, pobudzony impulsem radiowym, cicho trzasnął. Oplatający szyję mężczyzny naszyjnik, podobny do drutu kolczastego, został gwałtownie ściągnięty. Metalowa linka, na której zamontowano kilkadziesiąt ostrych niczym igły szpikulców, naprężyła się do granic wytrzymałości. Kolce wbiły się w tchawicę Clyde'a, przekłuwając ją w kilku miejscach. Towarzyszyło temu ciche syknięcie podobne do dźwięku powietrza ulatującego z pękniętego balonu.

Przez moment nie było widać żadnej krwi. Dopiero na kolejnych klatkach filmu zaczęła ona wypływać ciurkiem z ran, błyskawicznie zbierając się nad obojczykiem upadającego na kolana mężczyzny. Jego oczy uniosły się w górę, odsłaniając białka. Ostatnie rozmazane spojrzenie skierował ku komisarzowi, który wypuścił z dłoni karabin i rzucił się w jego stronę.

Rozległo się charczenie. W gardle Clyde'a musiała już zebrać się krew, lecz ten ostatkiem sił starał się zerwać mordercze narzędzie. Mocował się z nim, jednak nie był w stanie niczego zrobić. Nagle zadrżał, a jego ręce bezwładnie opadły.

W tym samym momencie Deryło znalazł się tuż przy nim. Jedną dłonią chwycił naszyjnik, starając się go rozerwać, jednak tylko sprawił, że kolce wbiły się jeszcze głębiej w kark nieznajomego. Drugą dłonią usiłował zatamować krwawienie z największych ran, ale szpikulce utkwily już w nich na dobre. Nie był w stanie

nic zrobić. Ich ostre końce rozharatały mu dwa palce. Nadaremno szarpał się i walczył z metalową linką.

Nachylił się nad karkiem Clyde'a. Morderczy mechanizm był ukryty w niewielkim stalowym prostokącie. Była to prosta konstrukcja, zapewne domowej roboty, jednak aby ją rozmontować, należało użyć śrubokrętu. Na to nie było czasu.

Choć nieznajomy wciąż klęczał, a z jego gardła dobywał się bulgot krwi oraz śliny, nic już nie można było zrobić. Nawet gdyby na miejscu była karetka ze specjalistycznym sprzętem albo gdyby znajdowali się w szpitalu, mężczyzny nie dałoby się uratować. Medycyna współczesna jest bez szans w zetknięciu z podobnymi obrażeniami. Komisarz wiedział o tym zbyt dobrze.

Nagle Clyde opuścił głowę, a z jego ust wypłynęła strużka spienionej, zmieszanej z krwią śliny. Ułamek sekundy później jego ciało zważyło się na podłogę. Nie asekurował się nawet dłońmi, których palce wciąż zaciskały się na śmiertelnym naszyjniku. Rąbnął twarzą prosto w parkiet, masakrując nos. Nie wypłynęło jednak już z niego wiele krwi, gdyż serce mężczyzny właśnie się zatrzymało.

Deryło zaklął, brutalnie obrócił leżącego na bok i zabrał się za reanimację. Kilkanaście razy z siłą byka naciskał na jego klatkę piersiową, lecz wreszcie uświadomił sobie, że to zupełnie bez sensu. Nawet gdyby udało mu się na chwilę pobudzić akcję serca, nie mógł cofnąć obrażeń. Starał się przywrócić do życia kogoś, kto bez względu na wszystko miał umrzeć.

– Szlag! – zaklął i przyłożył dłonie do twarzy.

Znajdował się w salonie, w swoim mieszkaniu, lecz czuł, jakby było to całkowicie obce miejsce. Był zagubiony i kompletnie oszołomiony tym wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie minuty. Uklęknął i głęboko nabrał powietrza. Z całej siły uderzył poranioną dłonią w podłogę. W tym samym momencie uświadomił sobie, że nie może zachowywać się głośno. Bez względu na

wszystko jego sąsiedzi nie powinni nic słyszeć. O ile chciał uratować Tamarę, nie mógł pozwolić, by zatrzymała go policja, choćby miał składać jedynie krótkie wyjaśnienia. Nie było już żadnych wątpliwości, że porywacze nie żartują. Groźba tego, co w razie jego nieposłuszeństwa mieli zrobić z Haler, stała się przerażająco realna. Bez dwóch zdań byli śmiertelnie poważni.

Deryło powoli się podniósł i z niechęcią wbił wzrok w nieruchome ciało nieznanego. Tuż obok leżał blok z kartkami. Metr dalej stał stół, przy którym komisarz zjadł tysiące posiłków, mając poczucie, że to miejsce jest jego ustroniem. Do tej pory zawsze czuł się tu bezpiecznie.

A teraz? Co w ogóle powinien zrobić? Czy, nie wypełniając polecenia i nie oddając strzału, skazał na śmierć również Tamarę? Ta myśl przyprawiła go o mdłości. Z trudem opanował torsje i przełknął gorzki posmak żółci.

W tym momencie w jego umysł wbił się dźwięk podobny do odgłosu zapinania zamka błyskawicznego. Szybkie, ciche trykanie. Dźwięk ten wznął mu się w mózg, jakby wbijano w niego metalowy szpikulec. Rozlegał się tuż obok.

13

Dopiero po chwili Deryło zrozumiał, że dziwny, powtarzający się dźwięk podobny do odgłosu przesuwania suwaka dobywa się z okolic ciała nieznanego. Pochylił się i dotknął lewej kieszeni jego spodni. Nie wyczuł w niej żadnego przedmiotu.

Aby dostać się do drugiej kieszeni, musiał ominąć plamę krwi, która zebrała się na podłodze. Nie chcąc ryzykować umoczeniem w niej dłoni, podniósł się i obszedł ciało. Po chwili klęknął tuż

obok niego. Wzdrygnął się, sięgając ku prawej kieszeni spodni zamordowanego mężczyzny. Wzdrygnięcie to nie wiązało się z odrazą, jaką można by odczuwać w stosunku do zwłok lub krwi. Komisarz był przyzwyczajony do obcowania z trupami znacznie bardziej zmasakrowanymi niż ten. Ofiary niektórych wypadków drogowych często nie miały choćby najdrobniejszego kawałka ciała, który nie zostałby okaleczony.

W tym przypadku charakter obrażeń miał makabryczną specyfikę. Komisarz widział cały proces umierania Clyde'a i nie mógł mu zapobiec. Mimo to wzdrygnięcie nie wiązało się również z tym wspomnieniem, które zapewne na trwałe wryło się w jego pamięć. Powodowała je naturalna wszystkim ludziom niechęć do zakłócania spoczynku zmarłych. Jasne, ciało było jeszcze ciepłe, zgon nastąpił ledwie przed paroma minutami, ale i tak grzebanie w kieszeniach zmarłego wiązało się z naruszeniem pewnego tabu.

Przynajmniej tym razem komisarz wyczuł jakiś twardy przedmiot. Nie miał wątpliwości, że był to telefon komórkowy i że to właśnie on dzwonił w rytmie rozsuwania i suwania zamka błyskawicznego. Powtarzający się dźwięk niemal rozsadzał jego mózg. Miał ochotę wyrwać telefon z kieszeni, po czym rozłuc go o ziemię lub ścianę. Chciał skończyć z tym wszystkim. Chciał rzucić się na łóżko i obudzić w dawnym świecie.

Mimo to powoli wyciągnął aparat i delikatnie obrócił go w dłoni. Była to stara nokia z czarno-szarym wyświetlaczem oraz klasyczną klawiaturą. Na ekranie widniał krótki komunikat: „Numer prywatny”.

– Cholera...

Deryło jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wyświetlacz telefonu. Doskonale wiedział, kto dzwoni, a jednak wiedział też, że gdyby teraz nie odebrał, mógłby wszystko zakończyć. Odciałyby się od tych szaleńców. Zerwałyby z nimi kontakt i zburzył ich pieprzony, zapewne opracowywany całymi tygodniami plan. Na

pewno nie przewidywali, że odważy się po prostu na nich wypiąć. Poza tym nie mogli być pewni, że tak szybko odnalazł telefon albo że w ogóle jest on sprawny. W mieszkaniu mogło wydarzyć się wszystko.

– Pieprzcie się... – wyszeptał.

Nagle dzwonek ustał. Na ekranie telefonu zamrugał nowy komunikat: „1 nieodebrane poł.”. Po plecach Deryły przebiegł dreszcz. Może popełnił błąd? Może powinien odebrać ten cholerny telefon i próbować pertraktować z porywaczami? Miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, by uratować Haler. Jasne, mogło się wydarzyć wszystko, lecz takim postępowaniem sam skazywał ją na śmierć. Nie mógł decydować za nią ani za Boga.

Ciężko dysząc, otarł zakrwawioną dłoń w koszulę Clyde’a. To również stanowiło naruszenie jakiegoś pradawnego tabu, lecz zrobił to niemal odruchowo. Podniósł się i tępo wpatrywał w ekran telefonu. Być może właśnie zaprzepaścił szansę na uratowanie Tamary...

Zacisnął zęby i wściekły pokręcił głową. W tym samym momencie telefon zawibrował i ponownie zaczął dzwonić. Zaskoczony tym Deryło niemal wypuścił go z dłoni. Momentalnie nacisnął przycisk z zieloną słuchawką i przytknął komórkę do ucha. Nie odezwał się pierwszy.

– Nadal pan myśli, że nie jesteśmy poważni? – odezwał się ten sam zmodyfikowany głos, co wcześniej. – Odważy się pan sprawdzić, czy potrafimy wypruć żyły pańskiej partnerki?

Deryło przełknął ślinę i westchnął. Jego rozmówca wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Nie – rzucił krótko.

– Świetnie. W takim razie wie pan, co ma zrobić?

– Chyba nie chcecie, żebym...

– Właśnie tak. – Zmodyfikowany śmiech zabrzmiał tak, jakby wydobywał się z wnętrza robota. – Musi pan zastrzelić

tamtego człowieka. Zadanie nie zostało odwołane. W wyrazie sympatii dajemy panu drugą szansę.

14

– Ale...

– Naprawdę chce pan próbować negocjować, komisarzu? Sądzi pan, że ma właściwą pozycję, aby móc przedstawić jakiegokolwiek warunki?

– Nie chcę przedstawiać żadnych warunków, tylko przemówić wam do rozsądku. Właśnie zabiliście człowieka...

– Zasłużył na to. Nie udało mu się przekonać pana do posłuszeństwa.

– Słyszysz, człowieku, co w ogóle wygadujesz?

Deryło parsknął. Oparł się o blat stołu i spojrzał na leżący kilka metrów dalej karabin. Chciał grać na czas. Miał nadzieję, że człowiek przebywający w pomieszczeniu wskazanym na kartce lada moment je opuści. Wyjdzie i uratuje swoje życie. Co można robić o pierwszej w nocy w miejscu innym niż sypialnia? Nieważne. Kątem oka komisarz widział, że światło w mieszkaniu w bloku naprzeciw nadal jest zapalone. Było to jedno z dwóch oświetlonych okien w całym sześciopiętrowym budynku. Do tego dlaczego ten człowiek nie opuścił żaluzji lub nie zaciągnął rolet? Czy również był szantażowany? Ta myśl zakrawała na paranoję, ale nagle wydała się Deryle całkiem uzasadniona.

– Zrozumiał pan?

Komisarz uświadomił sobie, że jego umysł pracował tak intensywnie, że stłumił wszystko, co powiedziano do niego przez telefon.

– Nie... Halo... Chyba coś przerwało.

– Niech pan sobie ze mną nie pogrywa. A może chce pan usłyszeć, jak wydłubujemy któreś z pięknych oczu panny Haler?

– Nie, proszę... Ja... Naprawdę nie słyszałem.

– Powiedziałem, że teraz będziemy używać do komunikacji tylko tego telefonu. Będzie dla nas całkowicie bezpieczny.

Deryło sapnął. W wyobraźni pojawił mu się obraz oprawców wbijających w oczodół Tamary szpikulec do lodu. Nabral powietrza i jeszcze raz sobie nakazał, że musi grać na zwłokę. Każda sekunda mogła być bezcenna.

– W jakim sensie? Myślicie, że nie da się go namierzyć? Każdy telefon i każde połączenie podlegają rejestracji za pośrednictwem sieci nadajników, które...

– Niech się pan nie produkuje. – Jego rozmówca westchnął z przyganą. – Naprawdę liczyłem, że stać pana na więcej. Na dużo więcej.

– Pieprz się!

Deryło miał ochotę cisnąć telefonem w ścianę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Jego wzrok spoczął na złożonym dawno temu żurawiu origami, który stał na biedermeierowskiej komodzie.

– Naprawdę?

Mimo modyfikacji głos w słuchawce zabrzmiał lodowato. Żadne urządzenie nie było w stanie ukryć szaleństwa i okrucieństwa. Chwilę później Deryło usłyszał krótki krzyk, przekleństwo i odgłos uderzenia.

– Co tam się dzieje?! – wrzasnął, przyciskając telefon do ucha. – Przestańcie!

– Nagle odechciało się panu mnie obrażać? – Jego rozmówca zagwizdał. – Przed chwilą panna Haler dostała drobną karę za obraźliwe słowa, które padły z pana ust. Wymierzyłem jej jedynie bardzo mocny policzek. Ma tylko rozciętą skórę, lecz następnym

razem przebiję jej policzek na wylot, a potem wybiję zęby, by wyciągnąć przez dziurę język. Poniesie karę za każde pańskie słowo sprzeciwu, jasne?

Deryło z trudem trzymał się na nogach. Miał ochotę chwycić pierwszy lepszy przedmiot i roztrzaskać go o ścianę lub o podłogę. Miał ochotę wyżyć się na czymkolwiek. Poprzysiągł w myślach, że jeśli dorwie tych drani, zabije ich. Jednego po drugim. Będzie się nad nimi pastwił, będzie ich torturował i nie poczuje litości.

– Jasne... – wycedził.

– A teraz proszę wykonać polecenie. Ma pan równe dwadzieścia sekund.

– Miałem mieć na swoje zadanie cholerne dwanaście godzin!

W słuchawce rozległo się coś podobnego do nerwowego chichotu.

– Oczywiście. Na wykonanie zadania. A zabicie tamtego człowieka to tylko prosty test posłuszeństwa.

– Przecież...

– Ma pan jedynie jedenaście sekund.

15

– Nie mogę strzelać z telefonem przy uchu.

– Może go pan odłożyć. Nie obrażę się.

– Ale...

– Siedem sekund. Sześć.

Deryło rzucił telefon na stół i błyskawicznie sięgnął po karabin. Ponownie zaskoczyła go jego niewielka masa oraz doskonałe dopasowanie do ramienia. Była to naprawdę zabójcza broń, której nie można było kupić w pierwszym lepszym sklepie myśliwskim. Być może wykonano ją nawet na indywidualne zamówienie.

4.

3.

Deryło po raz kolejny mimowolnie odliczał. Podeszedł do okna i poprawił uchwyt. Przyłożył oko do lunety, po czym niemal natychmiast odnalazł cel. Światło w drugim z okien zgasło i teraz było oświetlone tylko to jedno w całym bloku.

Cholera. Jak na złość człowiek nadal się krzątał w tym pomieszczeniu. Wydawało się, że coś porządkuje lub przekłada z miejsca na miejsce, ale niezbyt precyzyjne ustawienie optyki nie pozwalało zobaczyć tego dokładnie.

1.

Deryło zacisnął zęby i wstrzymał powietrze. Najchętniej palnąłby w tej chwili w łeb samemu sobie, jednak to nie mogłoby niczego zmienić. Haler nadal byłaby w rękach szaleńców, a ten człowiek, o ile miał zginąć, tkwiłby na ich celowniku. Co najwyżej zmieniłby się ktoś, kto miał wykonać jego zadanie. Zapewne ich plan przewidywał i taką ewentualność.

Świadomość tego, jak mało znaczy, w dziwny sposób uspokoiła komisarza. Wszystkie te myśli przewinęły się przez jego umysł w ciągu ułamków sekundy. Wiedział też, że właśnie dokonuje samousprawiedliwienia. Stara się umniejszyć moralny wydzźwięk zabójstwa, które miał popełnić. Starał się w swoim miejscu podstawić jakiś abstrakcyjny byt albo wzorzec zachowania.

Przecież tak zrobiłby każdy.

Przecież nie było innego wyjścia.

Przecież działał w imię wyższego dobra.

Był to normalny psychologiczny mechanizm, o którym Haler zapewne mogłaby opowiadać mu godzinami.

Właśnie. Haler.

Zero było już bardzo blisko i nie mógł nic zrobić.

Usztywnił sylwetkę i delikatnie nacisnął spust. Ten poruszył się z zaskakującą lekkością.

Deryło zamknął oczy. Zacisnął je jak małe dziecko, które ma nadzieję, że w ten sposób uchroni się przed otaczającymi jego łóżko strachami lub zniknie, unikając kary. Jednocześnie pochylił się, gotów na huk wystrzału i krzyki. Spodziewał się przede wszystkim krzyków. Sąsiadów lub jakichś przechodniów, którzy, jak na złość, musieli się pojawić na dole.

Tymczasem panowała cisza. Ostatnim dźwiękiem, jaki zanotował komisarz, było kliknięcie spustu. Umyślnie celował ponad głową postaci poruszającej się w oknie budynku naprzeciw, przekonany, że będzie mógł jakoś wytłumaczyć chybienie. To był jego ostatni plan. Pomysł, który pojawił się dokładnie w momencie, gdy zdecydował się na oddanie strzału. Nie był przecież cholernym snajperem. Na szkoleniach korzystał jedynie z broni krótkiej, a karabin po raz ostatni miał w rękach pewnie dwie dekady temu.

Jednak jego broń nie wystrzeliła. Przeraziła go myśl, że mógł czegoś nie odblokować. Że mógł się ośmieszyć i skazać Tamarę na śmierć przez to, że nie potrafił obsłużyć tego cholernego karabinu.

– Cholera – syknął.

Przeładował i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że w komorze nie ma pocisku. Broń była gotowa do strzału, ale nienabita. W wielu podobnych systemach możliwe było odciągnięcie zamka nawet przy pustym magazynku. Buzujące panicznie myśli były tak głośne, że zapewne zagłuszyły odgłos strzału, gdy iglica uderzyła w pustkę.

Deryło sapnął i rzucił karabin na ziemię. Powiódł spojrzeniem po zwłokach Clyde'a, wreszcie głośno wypuścił powietrze. Zaklął. Czuł się, jakby właśnie budził się z upiornego snu, lecz rzeczywistość okazywała się jeszcze bardziej przerażająca. A może jednak...

Skoro w komorze nie było pocisku, wszystko mogło zakrawać na mistyfikację. Na zabawę, w której on robił za kozła ofiarnego i obiekt żartów całej klasy. Zrobił dwa kroki, po czym uklęknął przy Clydzie. Nie, on był bez wątpienia martwy jak język starożytnych Babilończyków. W jego żyłach nie krążyła krew, a serce zastygło na wieki. Upozorowanie śmierci było oczywiście możliwe, Deryło wiedział o preparatach podawanych przez indiańskich szamanów, wiedział też o lekarstwach spowalniających puls, ale, do cholery, nie istniał specyfik potrafiący symulować głębokie rany szyi. Nie mógł tego zrobić nawet najlepszy filmowy makijaż.

Komisarz podniósł się i rozejrzał niczym otumanione zwierzę. Przez chwilę w jego głowie przewalało się tak wiele myśli, że zlały się w bezkształtną masę, z której nie potrafił niczego wyłowić. Jego mózg zawiesił się niczym procesor komputera, któremu nakazano wykonanie zbyt wielu zadań.

Drgnął dopiero, gdy jego wzrok spoczął na telefonie odłożonym na stół. Kompletnie o nim zapomniał. Bez słowa przyłożył komórkę do ucha. Jednocześnie, jakby z niedowierzaniem zerknął za okno. We wskazanym w wiadomości pomieszczeniu światło zostało zgaszone. Nieznajomy zniknął, być może nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które mu groziło. Chyba że nie był to zwykły zbieg okoliczności, a nawet on stanowił element misternie utkanego planu.

– Co to ma, u licha, znaczyć? – Deryło parsknął, nie mając pojęcia, czy połączenie wciąż trwa. Jego rozmówca mógł się przecież rozłączyć.

Przez kilka sekund panowała cisza. Komisarz już miał odsunąć telefon od ucha, gdy dobiegł go cichy szmer. Po chwili rozległ się tak dobrze mu znany, zmodyfikowany głos.

– Zdał pan pierwszy test.

– Test?

– Tak, test. Ta broń posiada komorę zamkową skonstruowaną w taki sposób, że nie ma możliwości sprawdzenia, czy nabój jest w środku. A mimo to pan wystrzelił.

– Pieprzę to...

– Proszę panować nad słowami.

Deryło sapnął. Nawet jeżeli sam miał świadomość, że po oddaniu strzału z pewnością by chybił, powinien zrobić wszystko, aby jego rozmówcy takie podejrzenie nie przyszło do głowy. Dlatego pozował na znacznie bardziej roztrzęsionego, niż faktycznie był w tej chwili. W rzeczywistości powoli się uspokajał, a do głosu dochodziło jego wieloletnie doświadczenie. Po okresie entropii jego myśli porządkowały się i zaczynał poszukiwać racjonalnego planu działania.

– Skończcie to... – odezwał się, siłąc na błagalny ton. – Wypuście Tamarę i zamknijmy sprawę...

– Zamknąć sprawę? Nie tak szybko, panie komisarzu. Swoją drogą, o czym pan myślał, naciskając spust?

– Co... O czym? Nie mam cholernego pojęcia.

– Na pewno pan ma.

– Chcieliście, żebym zabił niewinnego człowieka. O czym mogłem myśleć?

Rozmówca komisarza cicho się zaśmiał.

– Po pierwsze, proszę pamiętać, że niewinnym nie dzieje się krzywda – odezwał się po chwili. – Po drugie, sądzę, że myślał pan o Tamarze. O tym, że oddając strzał, ratuje jej życie.

– Może... Nie wiem...

Deryło usiadł na podłodze tak, by nie był widoczny dla żadnego obserwatora zza okna. Wyciągnął swój telefon i wolną ręką starał się go odblokować. Chciał włączyć dyktafon i nagrać tę rozmowę. Nie wiedział po co, lecz sądził, że w jakiś sposób może mu się to przydać.

– Teraz chce zapewne pan poznać swoje zadanie, czyż nie?

– To, na którego wykonanie mam niby niecałe dwanaście godzin?

– Tak. Właśnie to.

Wreszcie udało mu się uruchomić dyktafon i przytknąć do mikrofonu. Miał nadzieję, że telefon wychwyci rozmowę, lecz na wszelki wypadek maksymalnie pogłośnił drugi aparat. Nie chciał używać trybu głośnomówiącego, gdyż rozmówca mógłby to usłyszeć.

– To nic wielkiego, komisarzu. Z pewnością pan sobie poradzi.

Wbrew temu, co powiedział ten człowiek, z każdym słowem Deryło miał wrażenie, że pogrąża się w świecie absurdu. Spodziewał się najgorszego.

17

Stepan Eger vel Stephan Aziz miał trzydzieści dziewięć lat, krągłą twarz i mocne kości policzkowe. Charakteryzował go również delikatny dołek w podbródku, prosty, nieco zbyt kartoflowaty nos oraz głęboko osadzone, ciemne oczy, które czasem ukrywał za specjalnymi błękitnymi soczewkami.

Eger najczęściej nosił się dość elegancko. W lecie ubierał lniane garnitury, do których dobierał koszule w intensywnych kolorach – czerwone, czarne lub granatowe. Przed upałem głowę chronił

kapeluszem wykonanym z prawdziwej słomy panamskiej, a oczy krył za lustrzanymi okularami. Czasem klasyczne awiatorki zastępował bardziej klasycznymi binoklami nawiązującymi do lat siedemdziesiątych. W ciepłe dni Eger nosił jedynie mokasyny, rude, z cielecej skóry oraz z miękką podeszwą.

Gdy nadchodziła jesień, mężczyzna przemieniał się w kogoś równie eleganckiego, lecz znacznie bardziej formalnego. Zakładał kraciaste garnitury, białe koszule z dopasowanymi jedwabnymi krawatami oraz czarne lakierki. Awiatorki zamieniał na zwykłe okulary do czytania, a za kapelusz służył mu szary parasol. Zmiana, niby jedynie powierzchowna, sprawiała, że nawet bliscy znajomi z trudem poznaliby mężczyznę na ulicy. Musieliby przywyknąć do jego nowego wizerunku i oswoić się z nim.

Eger vel Aziz nie miał jednak zbyt wielu znajomych. Właściwie nie miał ich wcale, a jedyne relacje utrzymywał z partnerami biznesowymi. Pracował jako przedstawiciel handlowy sporego koncernu medycznego i jego dwie osobowości nie wywierały na nikim wrażenia. Właściwie niektórzy chyba uważali, że rozmawiają z dwiema różnymi osobami. Ta drobna ekstrawagancja wyróżniała Egera, lecz nie sprawiała, że specjalnie rzucał się w oczy lub przychodził na myśl, gdy mówiło się o ludziach „dziwnych”. O nie. On umiał się raczej wtopić w tłum przeciętniaków, owej przeciętnej klasy średniej aspirującej do miana kogoś więcej, niż jest.

Mimo to mężczyzna uchodził za miłego i sympatycznego. Sąsiedzi, którzy wiedzieli o nim równie mało, co ludzie całkowicie mu obcy, utrzymywali, że był człowiekiem wyjątkowo serdecznym. Staruszkom proponował pomoc w niesieniu zakupów lub wyprowadzeniu psa, pomagał wnosić wózki matkom z dziećmi, nie wahał się zabrudzić rąk, popychając auto, w którym rozładował się akumulator. Potrafił przy tym w nieskończoność opowiadać kawały o politykach, rozładowując najbardziej napiętą

atmosferę. Dzięki temu powstrzymał kilka bójek między podpitymi sąsiadami, którzy od lat rywalizowali o miejsce parkingowe.

Jedynym, co wyróżniało Egera vel Aziza, były relacje z kobietami. Utrzymywał ich wiele, w różnych miastach i często jednocześnie – jednak o tym nie wiedział prawie nikt. Z pewnością całkowicie nikt (przynajmniej przez długi czas) nie wiedział o czymś jeszcze. O tym, że Stepan Eger wykorzystał i zamordował kilka lub kilkanaście z owych kobiet. Po śmierci ich ciała pozował na kształt słynnych dzieł sztuki, której był wielbicielem.

Eger został zatrzymany jako Aziz (dokumentami na to nazwisko się wówczas posługiwał) w Kijowie. Dowody były niezbite, jednak prokuratura ukraińska zgodziła się na wydanie zabójcy polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Wydawało się, że to właśnie w Polsce Aziz zamordował najwięcej osób – choć w znacznej części były to osoby urodzone za wschodnią granicą, dopiero później ubiegały się o obywatelstwo bogatszego sąsiada.

Taki, być może nieco przydługi i zawierający wiele zbędnych szczegółów, opis postaci Stepana Egera usłyszał Deryło. Tyle mówiły akta. Następnie jego rozmówca, posługujący się zmodyfikowanym głosem, przeszedł do najistotniejszego.

Zadanie komisarza polegało na doprowadzeniu do uwolnienia seryjnego mordercy. Mówiąc innymi słowy, Deryło miał odbić Egera z policyjnego kordonu, wyprowadzić z więzienia lub zrobić, co tylko uważał, byle mężczyzna znalazł się na wolności. I to w trakcie niespełna dwunastu godzin. W przeciwnym razie Tamara Haler miała zostać zamordowana, a przed śmiercią zaznać najgorszego bólu w swoim życiu. Jej przyszłość była w rękach Deryły.

– Pozostało panu jedenaście godzin i pięć minut, komisarzu. Inaczej mówiąc, mniej niż pół doby. Wkrótce skontaktujemy się

z panem ponownie.

Po tym suchym oświadczeniu rozległo się tępe kliknięcie oznaczające zakończenie połączenia. Deryło nie zdążył wypowiedzieć nawet słowa sprzeciwu, nawet słowa pokazującego, jak absurdalny jest pomysł tych szaleńców. Uwolnienie seryjnego zabójcy z rąk policji? Może w krajach trzeciego świata było to możliwe, ale nawet przy głębokim zrozumieniu sytuacji politycznej Polski, stała ona na szczyblu cywilizacyjnym nieco wyżej. Ciut-ciut, lecz jednak.

Deryło aż podskoczył, gdy w mieszkaniu poniósł się dźwięk dzwonka do drzwi.

– Co jest... – syknął, mimowolnie napinając mięśnie.

Kto mógł chcieć go odwiedzić o pierwszej nad ranem? Gdzieś w tyle jego umysłu zapaliła się wciąż niegasnąca isierka nadziei, że to Tamara przyszła oznajmić mu, jak wymyślił sobie z niego zażartowano.

Cicho, krok po kroku podszedł do drzwi. Zerknął przez wizjerek i zobaczył zmęczoną twarz aspiranta Brzeskiego.

– Wiem, że tam pan jest, komisarzu...

Cholera. Deryło przeczesał palcami włosy i jak oparzony skoczył w stronę salonu. Przymknął prowadzące do niego drzwi, po czym wrócił do przedpokoju. Trup leżący obok stołu w jego mieszkaniu mógł szybko sprawić, że zamiast próbować przedsięwziąć irracjonalny plan, trafiłby do aresztu. Wtedy los Tamary byłby zapewne przesądzony. Pozostała mu jedynie improwizacja.

– Co się stało?

Oczy Brzeskiego wyrażały to samo pytanie, które zadawał sobie Deryło. Aspirant stał na korytarzu przed drzwiami, które komisarz blokował potężnym cielskiem.

– Dostaliśmy wezwanie od pana...

– Wezwanie? Właśnie kładłem się spać...

Ani strój, ani całkowicie rozbudzone, ostre spojrzenie Deryły nie uwiarygodniały tych słów. Poza tym wiedział, że zawsze bez względu na porę zapraszał Brzeskiego do mieszkania. Teraz stał w progu i nie wiedział, jak się wytłumaczyć. Tłumaczenie się bałaganem albo ogromem pracy nie wchodziło w grę. Znali się z aspirantem zbyt dobrze i choć może nie byli przyjaciółmi w klasycznym tego słowa znaczeniu, w końcu Brzeski był od niego młodszy niemal o pokolenie, z pewnością można było określić ich dobrymi kumplami z pracy.

– Dyżurny był przekonany, że to pan... – Aspirant przygryzł wargę i odrzucił z czoła kosmyk blond włosów. – Urwał pan połączenie, a potem...

– To pewnie jakiś błąd. Mówię przecież, że nikogo nie wzywałem.

– Ale w takim wypadku...

– Co takiego?

– Nie wiem. Dziwna sprawa. Wyświetlił się kod alarmowy, choć to może być tylko błąd systemu...

Brzeski spojrział na niego uważnie i Deryło po raz pierwszy w życiu poczuł się jak przestępca. Przystąpił z nogi na nogę, modląc się, by przeciąg nie otworzył drzwi do salonu. Z korytarza co prawda rozciągała się perspektywa na tę jego część, w której nie było śladów ostatnich wydarzeń, lecz mimo wszystko wolał, by aspirant tam nie zaglądał.

– Na pewno wszystko w porządku, komisarzu? Wydaje się pan jakiś rozkojarzony.

– Powiedziałem już...

– Może potrzebuje pan rozluźniającego, szybkiego piwka? – Brzeski uśmiechnął się, odsłaniając śnieżnobiałe, równe zęby. Uchodził za wydziałowego amanta i doskonale o tym wiedział. – Po tym, co się stało, ma pan prawo być wypompowany i chętny nawet na coś mocniejszego. Zasłużył pan.

Deryło się wzdrygnął. W pierwszej chwili słowa aspiranta odczytał jako nawiązujące do ostatnich minut jego życia. Dopiero gdy ten wciąż wlepił w niego sympatyczne, ufne spojrzenie, uprzytomnił sobie, że Brzeskiemu chodzi o zakończone przed paroma dniami śledztwo w sprawie seryjnego zabójcy. Razem z Haler doprowadzili je do pomyślnego finału, choć jednocześnie w powietrzu zawisło ryzyko wymierzenia mu kary dyscyplinarnej. Deryło świadomie dopuścił do tego, by dawna ofiara szajki pedofili pozbawiła życia jednego z jej członków. Nie powstrzymał jej, choć był w stanie to zrobić, co zostało nagrane. Zainterweniował z rozmyślnym opóźnieniem. Teraz to wszystko było jednak całkowicie bez znaczenia.

– Komisarzu...

Deryło drgnął. Poczuł, że powinien powiedzieć Brzeskiemu o tym, co się wydarzyło. O szantażu i uprowadzeniu Haler. O zadaniu, jakie mu wyznaczono, i o cholernym trupie za ścianą. Jednak porywacze byli przecież kategoryczni. Gdyby cokolwiek zdradził policji, Tamara zginie w męczarniach. Ryzyko było zbyt duże, choć rozsądek podpowiadał mu, że nie ma innego wyjścia.

– Mogę wejść?

Brzeski zrobił krok w jego stronę. Lustrował go przy tym w sposób, w jaki to on zazwyczaj spoglądał na podwładnych.

– Nie, naprawdę szedłem właśnie spać.

– W ubraniu?

– Jestem skonany.

Nie podobało mu się świdrujące spojrzenie aspiranta. Choć ten kierował się zapewne jak najlepszymi intencjami, w tym

momencie go drażnił. Swoim zachowaniem, uśmiechem i gestykulacją. Całym sobą.

– Możesz mnie zostawić? Ustaliliśmy chyba, że to fałszywy alarm.

Brzeski jednak nie zamierzał dać za wygraną. Zerknął gdzieś nad ramieniem komisarza i zmrużył oczy.

– Jest ktoś u pana? – zapytał przyciszonym, konspiracyjnym tonem.

Deryło przebiegł dreszcz.

– Nie, dlaczego ktoś miałby tu być?

– To nie moja sprawa, ale... – Aspirant wzruszył ramionami, jednak jego wzrok wciąż pozostał czujny. – Nigdy pan nie zamykał tamtych drzwi od czasu, gdy...

Nie musiał kończyć. Rzeczywiście od śmierci żony komisarz traktował ich mieszkanie niemal jak relikwiarz. Jednym z jego rytuałów było nieprzesuwanie żadnych sprzętów i niedokonywanie jakichkolwiek zmian. Jakby Ewa dopiero co wyszła i lada moment miała wrócić. Tyczyło się to nawet takich drobnostek, jak przymykane drzwi, o czym być może wiedziało więcej osób, niż sądził.

– Nie baw się w psychologa – wycedził oschle. – Robi to już zbyt wiele osób.

W tym samym momencie Deryło dostrzegł plamkę krwi na swojej lewej dłoni. Nie wiedział, czy pochodzi od Clyde'a, czy jest to jego krew, lecz natychmiast schował dłoń do kieszeni. Zdawało się, że Brzeski natychmiast odnotował jego zachowanie. Wyprostował się, minimalnie cofnął i ostentacyjnie westchnął.

– I tak muszę spisać raport... – odezwał się ciszej, niż musiał.

Deryło czuł, że po plecach spływa mu zimny pot. Pomyślał o wyznaczonym czasie i o tym, że w tym momencie porywacze mogą pastwić się nad Haler. Przez głowę jeszcze raz przewinęło się mu pragnienie podzielenia się wszystkim z Brzeskim, ale

podświadomie czuł, że nawet aspirant mógłby nie uwierzyć w jego historię. Miał w domu trupa, był ubabrany krwią, a obok jego parapetu leżał karabin snajperski. Nie wyglądało to najlepiej...

– Nie musisz spisywać żadnych raportów. – Wyszedł na korytarz i położył wielką dłoń na ramieniu aspiranta. Spojrzał mu głęboko w oczy. Właśnie przechodził największy test siły swojego charakteru i wydawało mu się, że poniesie sromotną porażkę. Brzeski z pewnością go przejrzał. – Wracaj do domu i połóż się spać.

Aspirant przez chwilę mierzył się z nim wzrokiem, wreszcie wypuścił powietrze i skinął głową.

– Skoro nie chce pan piwa... – Machnął ręką i się odwrócił.

Po chwili dźwięk jego kroków poniósł się po klatce schodowej, aż wreszcie rozpląnął trzy lub cztery piętra niżej.

Komisarz został sam. Przynajmniej tak mu się wydawało.

19

Deryło odczekał kwadrans, odkąd ucichły kroki Brzeskiego. Przez cały ten czas stał w progu, nasłuchując, czy aspirant nie wraca. Być może była to paranoja, ale chciał się upewnić, że jest bezpieczny. Że nie został przejrany i Brzeski nie udaje wyjścia z klatki, aby w rzeczywistości wrócić i go podsłuchiwać. Albo szpiegować. Ten kwadrans był właściwą ceną za wewnętrzny spokój.

Czy osuwał się w otchłań szaleństwa? Czy naprawdę tak niewiele było trzeba, by on – uważający się za ostoję racjonalności – popadł w paranoję? Jednak przecież nie wydarzyło się niewiele.

Wydarzyło się całe mnóstwo i szaleństwo mogło być na wyciągnięcie ręki.

Co powinien zrobić? Jak struty przez kilka minut krążył po mieszkaniu, starając się uporządkować myśli. Nic nie przychodziło mu jednak do głowy. Strumień skojarzeń, urwanych w połowie koncepcji oraz wyobrażeń tego, co mogło się dzieć z Tamarą, bombardował mu umysł. Usiadł przy biurku i założył dłonie za głowę. Odchylił ją, mając nadzieję, że rozluźnienie mięśni pomoże mu się opanować. Musiał działać racjonalnie. Musiał zachowywać się tak, jakby prowadził normalne śledztwo przeciwko dewiantowi. Nic niezwykłego, przecież właśnie na tym polegała jego praca, może nie kaszka z mleczkiem, ale rutynowe postępowanie. Dzień jak co dzień.

To życzeniowe myślenie na niewiele się zdało. Doprowadziło jedynie do tego, że komisarz stracił kolejne minuty. Zerknął na zegarek i uświadomił sobie, że dochodzi druga nad ranem. Musiał w końcu coś przedsięwziąć. Nagle do głowy przysłała mu myśl, że powinien zadzwonić do porywaczy i z nimi negocjować. Przekonać ich do tego, jak nierealne do spełnienia są przedstawione przez nich żądania. Niemal natychmiast uświadomił sobie jednak, że przecież dzwonili do niego z zastrzeżonego numeru. Oni mogli się z nim kontaktować, on nie miał do nich żadnego dojścia.

Wstał od biurka i obrócił w dłoni telefon, który odnalazł przy Clydzie. Stara nokia niczym się nie wyróżniała, nie dostrzegł, by cokolwiek zmodyfikowano przy głośniku lub mikrofonie. Mimo to komisarz doskonale wiedział, że podobnych przeróbek specjaliści dokonywali bez pozostawiania najdrobniejszych śladów.

Odblokował ekran i zaczął przeglądać zawartość telefonu. Być może tracił czas, ale nie wiedział, co tak naprawdę mógłby zrobić. Książka kontaktów nie zawierała żadnych pozycji poza tymi przypisanymi przez dawnego operatora. GRY, ROZRYWKA, POGODA i parę innych. Następnie Deryło zaczął przetrząsać

pliki. W porównaniu ze współczesnymi modelami możliwości wyboru były znacznie ograniczone. Telefon nie miał nawet aparatu, przez co nie istniały w nim foldery zdjęć ani związane z nimi bazy danych.

Wydawało się, że komórka jest całkowicie wyczyszczona. Nawet lista ostatnich połączeń zawierała jedynie trzy pozycje – wszystkie z zastrzeżonym numerem. Skrzynki odbiorcza oraz nadawcza również były puste.

– Cholera...

Deryło już miał odłożyć telefon, gdy dostrzegł jeszcze jeden folder, którego nie otwierał wcześniej. „Pliki audio”. Zapewne zawierał listę dzwonek dostępnych dla tego modelu, owych przeterminowanych melodyjek charakterystycznych dla aparatów na przełomie lat dziewięćdziesiątych oraz dwutysięcznych. Mimo to zniechęcony otworzył go.

Zgodnie z oczekiwaniami wyświetliła się lista dźwięków – bicie dzwonów, klasyczne dzwonki, firmowa melodia Nokii, odgłos pukania do drzwi...

W momencie, gdy jego palec wędrował ku przyciskowi z czerwoną słuchawką, spostrzegł, że na dole niewielkiego ekranu jest pozycja o nazwie zapisanej małymi literami – w przeciwieństwie do całej reszty. Nie chciał mieć poczucia, że coś pominął, wobec czego, nie spodziewając się niczego istotnego, uruchomił plik.

W tym samym momencie rozległ się przerażający kobiecy krzyk. Krzyk osoby przeżywającej potworne katusze, zmieniający tonację oraz wibrujący w uszach. Po kilku sekundach zamienił się w cichy jęk, a ten w ledwie słyszalny charkot.

„Już nie żyje” – odezwał się szorstki, męski głos.

Potem zapadła cisza.

„Boże, tylko nie Tamara...” – podświadomość komisarza wyraziła błagalną prośbę.

Deryło głęboko zaczerpnął tchu. Przez ostatnie sekundy wstrzymywał powietrze i teraz poczuł zawrót głowy. Niemal rzucił telefon na biurko, jakby ten go parzył.

Tamara.

Czy to był krzyk Tamary? Komisarz jeszcze raz sięgnął po komórkę i odtworzył nagranie. Wsłuchiwał się w nie, nie mając wątpliwości, że nie jest to fragment jakiegoś filmu lub markowana scena. Nikt nie był w stanie udawać podobnego przerażenia, bólu i rozpacz. Nikt nie był w stanie oddać przedśmiertnego krzyku oraz charczenia, które słyszał tak wiele razy.

Mimo to z ulgą stwierdził, że głos nie jest podobny do głosu Halera. Musiał należeć do kogoś młodszego, może nawet do nastolatki. Oczywiście nigdy wcześniej nie mógł usłyszeć podobnego tonu przerażenia z ust Tamary, nie wiedział, jak mógłby brzmieć, lecz miał krzepiącą pewność, że to nie ona. Przez głowę przemknęło mu nieprzyjemne wyobrażenie, w jaki sposób krzyczałyby w podobnej sytuacji podkomisarz. Wzdrygnął się i miał schować telefon do kieszeni, gdy rozległ się ów charakterystyczny dźwięk zapinanego zamka błyskawicznego.

Znów dzwono z numeru zastrzeżonego. Przez moment Deryło wahał się, czy odebrać, lecz wreszcie nacisnął zieloną słuchawkę.

– W nagrodę za pańskie posłuszeństwo pańska partnerka dostała właśnie szklankę wody – odezwał się znany mu głos. – Wydaje się, że była spragniona.

– Za posłuszeństwo? – Komisarz nie rozumiał, co ma na myśli jego rozmówca.

– Odwiedził pana aspirant Brzeski. Zgadza się?

Deryło pokręcił głową i odruchowo rozejrzał się po mieszkaniu.

– Skąd wiecie? Zainstalowaliście tu jakieś cholerne kamery?

– Być może. Wiemy o panu wszystko, komisarzu.

– Gówno prawda. Pewnie obserwowaliście mnie przez okno albo macie kogoś przy wejściu do klatki...

Deryło poderwał się z fotela i przeszedł do salonu. Nawet nie zerknął na ciało Clyde'a, tylko zamknął okno, po czym pośpiesznie opuścił roletę.

– To nic panu nie da... Ale niech pan zapamięta, że współpracując z nami, pan oraz panna Haler zmierzacie do szczęśliwego zakończenia.

– Mogłem was wydać i mielibyście już policję na karku.

– O nie, nie... – W słuchawce rozległo się westchnięcie. – Mógł pan próbować to zrobić. Ale nie odważył się pan i dlatego panna Haler otrzymała wodę.

Deryło panicznie starał się wymyśleć grunt do dalszej rozmowy i przetłumaczenia tym szaleńcom, jak niedorzeczne są ich żądania.

– Sam nie dam rady uwolnić tego mordercy. To niewykonalne...

– Nie musi pan działać sam. Niech pan robi, co uważa za słuszne, byle byśmy dostali go w swoje ręce. Ma pan niewiele ponad dziesięć godzin. Do usłyszenia, komisarzu.

– Czeka!

W słuchawce zaległa cisza. Deryło zerknął na ekran i wściekły stwierdził, że połączenie zostało zakończone. Czuł się obserwowany. Czuł się obnażony niczym ofiara perfidnego gwałtu.

Ciężkim krokiem udał się do przedpokoju. W tym miejscu nie można go było obserwować nawet kamerą termowizyjną. Osłaniały go ściany innych pomieszczeń oraz grube drzwi. Pośpiesznie zrzucił z siebie całe ubranie i przeszedł do łazienki. Obawiał się, że gdzieś do koszuli lub spodni ma przytwierdzony

mikrofon lub urządzenie szpiegujące. Nie chciał dać tym psychopatom żadnych forów. Skoro nie wykładali przed nim wszystkich kart, mógł usiłować choć w tej kwestii grać na własnych zasadach.

Ściągnął z suszarki pognieciony czarny podkoszulek oraz kremowe spodnie. Ubrał się w nie i z łomoczącym sercem wrócił do przedpokoju. Założył nawet inne buty, a z szafy wyciągnął nienoszoną od lat jasną kurtkę z logo klubu jachtowego, do którego chciał się niegdyś zapisać. Przez chwilę rozważał zdjęcie zegarka, lecz uznał, że podsłuch nie mógł zostać w nim umieszczony. Niemal przez cały czas miał go na ręku, poza tym mechanizm szczelnie wypełniał kopertę. Poza tym musiał wiedzieć, która godzina, i nie zamierzał zdawać się przy tym na elektronikę.

Wziął ze sobą również cienki, niewielki portfel oraz obie komórki. To właśnie telefony stanowiły najsłabsze ogniwo jego systemu zabezpieczeń, lecz nie mógł ich zostawić. Zdawał się na ślepy los.

Wyszedł na korytarz, po czym starannie zamknął za sobą drzwi. Rytuały, choćby całkowicie bezcelowe, uspokajały go. Nawet jeżeli porywacze dorobili klucze do jego mieszkania, nie zamierzał ułatwiać im zadania. Niech stracą sekundę lub dwie na otwieranie zamka. Nieważne, że on też właśnie je tracił.

Zbiegł po schodach i wyszedł na dwór. Była jeszcze kompletna noc, a niebo na wschodzie było tak samo ciemne jak wszędzie indziej. Z północy dał zimny, przeszywający wiatr.

Deryło zrobił kilka kroków, po czym gwałtownie się obejrzał. Nie zobaczył nikogo. Świat zdawał się kompletnie martwy, jakby to on był jedynym ocalałym z apokalipsy, która zniszczyła ludzkość.

Truchtem obiegł niewielki skwer, następnie przemierzył parking i wypadł na dwupasmówkę. W oddali dostrzegł pojedyncze, mknące auto. Zmierzało w jego stronę od pobliskiego ronda.

– Chrzanić to... – syknął komisarz.

Zatrzymał się na samym środku jezdni i szeroko rozłożył ręce. Kierowca samochodu wcisnął hamulec, po czym zaczął wściekle trąbić. Trąbienie momentalnie zmieszało się z piskiem opon. Mimo suchej nawierzchni zbyt gwałtowna reakcja prowadzącego sprawiła, że samochód stracił przyczepność, rzuciło nim na bok i zaczął bezwładnie pędzić wprost na Deryłę.

– Co ty wyrabiasz, człowieku?! Doszczętnie cię popieprzyło?

Krótko ostrzyżony trzydziestokilkulatek w bluzie z logiem Motoru Lublin wysiadł z ocierającego się o pełnoletniość bmw. Nabuzowany, właściwie wściekły, dopiero po kilku krokach zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z mężczyzną o znacznie większej posturze i z obłędem w oczach. Tym bardziej się zdziwił, gdy Deryło pokazał mu legitymację policyjną, po czym kazał się zawieźć przed Bramę Krakowską.

– To jakaś akcja? – dopytał, niepewny, co powinien zrobić. – Jadę do domu, za kilka godzin muszę wstać do roboty...

– W dupie mam, co musisz. Jeżeli będziesz się opierał, mam prawo zarekwirować auto.

Tak postawiona sprawa nakłoniła mężczyznę do powrotu do samochodu. Zanim wsiadł do auta, Deryło pośpiesznie coś uprzątnął z siedzenia pasażera. Komisarz wyczuł w środku charakterystyczny aromat palonej marihuany, ale w ogóle tego nie skomentował. Nie zareagowałby nawet, gdyby pod siedzeniem zobaczył cały worek kokainy lub materiałów wybuchowych.

– Brama Krakowska? – dopytał młody mężczyzna. – Czy jakiś konkretny adres?

– Centrum, deptak, powiem, kiedy będę chciał wysiąść.

– I wtedy pozwoli mi pan odjechać? Ot tak?

– A chcesz robić za mojego taksówkarza?

– Jeżeli przewidziana jest za to nagroda albo przynajmniej kolorowy dyplom, czemu nie? Mam półkę z pucharami pływackimi i kilka medali. Zawsze byłem ambitny.

Deryło zerknął na niego spode łba. W normalnej sytuacji wahałby się, czy wsiąść do taksówki prowadzonego przez kogoś w tym typie. Teraz nie miał jednak wyboru, poza tym nie robiło mu to żadnej różnicy.

– Jedź, chłopie, bo nie mam czasu.

– Jasne... Już...

Mężczyzna był wyraźnie podenerwowany i prawie mu zgasł samochód. Po chwili silnik zawył, a auto, niebezpiecznie zarzucając na boki, wyrwało do przodu. Kierujący niemal natychmiast wcisnął hamulec, tonując jego energię. Deryło żałował, że sam nie wsiadł za kółko. Wtedy mógłby liczyć na to, że nie rozbiją się o drzewo albo że nie dostanie zawału, wściekając się na to, jak ten chłopaczyna prowadził. Po chwili przekonał się, że zbyt pochopnie go ocenił.

– Dodaj gazu, nie ma czasu! – warknął, nawet nie zapinając pasa.

– Ale...

– Gaz w podłogę! Rura, czy jak to się teraz mówi!

Młody mężczyzna uśmiechnął się i odetchnął. Po chwili gwałtownie przyśpieszył, z zadziwiającą lekkością opanowując auto. Ku zaskoczeniu komisarza prowadził nadzwyczaj pewnie i gładko.

– Nie dostanę mandatu? – dopytał, gdy na mrugającym pomarańczowym świetle przeciął duże skrzyżowanie. – Mogę łamać przepisy?

– Masz moje namaszczenie, chłopie.

– Ale bombowo. Takie coś mi się podoba.

Kolejne sekundy przypominały rajd samochodowy przeniesiony wprost z amerykańskiego filmu akcji. Bmw gnało ulicami, prowadzący zręcznie wymijał pojedyncze auta i pewnie wchodził w kolejne zakręty. Kierował lepiej niż niejeden policjant po ukończeniu skomplikowanych kursów.

Gdy znaleźli się na Krakowskim Przedmieściu, Deryło kazał mu przejechać przez deptak, aby nie musieli objeżdżać go dokoła.

– Ta legitymacja... – bąknął młodzieniec. – Ona na pewno jest prawdziwa? Nie wrabiasz mnie, człowieku? Nie chcę kłopotów.

– Czy wyglądam na oszusta?

– Nie, ale...

– Więc się nie zastanawiaj.

Bmw pomknęło między nielicznymi o tej porze przechodniami. Ostatni klienci chwiejnym krokiem opuszczali bary oraz restauracje. Na szczęście w okolicy nie było żadnych radiowozów ani patroli.

– Teraz Lubartowską w lewo.

Po kolejnych kilkunastu sekundach komisarz nakazał, by skręcili w prawo, w Kowalską. Tam się zatrzymali i Deryło energicznie pchnął drzwi. Machnął ręką w podziękowaniu za podwózkę. Wciąż miał zaskakującą miękkość w nogach. Gdyby przez cały czas nie zamartwiał się o Halera, zapewne czułby się teraz jak po zejściu z niezłego rollercoastera.

– Możesz spadać – rzucił na odchodne, po czym skierował się ku bocznej uliczce. Tam powinna czekać na niego pomoc. Przynajmniej nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Deryło podejrzewał, że w jego pocziwym Citroënie może znajdować się podsłuch lub aparatura śledząca. Zależało mu na tym, by porywacze mieli z nim kontakt jedynie przez telefon. To byłoby jego małe zwycięstwo i udowodnienie, że przynajmniej będzie się starał grać na swoich zasadach. Spodziewał się jednak,

że w każdej chwili mogą do niego zadzwonić i po prostu kazać mu nosić odbiornik GPS lub inne urządzenie. Nie miałby wtedy zbyt dużego pola manewru, a z pewnością brakowałoby mu argumentów, by odmówić. Jednak wtedy porywacze straciliby jeden ze swoich atutów – wiedzieliby, że on wie. Był to jeden z typowych mechanizmów psychologicznych, których starali się unikać profesjonalni przestępcy. Tak długo, jak policja lub inne służby nie były pewne, jakimi środkami dysponują, tak długo byli o krok przed nimi. Właśnie w takim rozumowaniu Deryło upatrywał swoją szansę. Miał bowiem przecucie graniczące z pewnością, że za uprowadzeniem Halera stoją prawdziwi zawodowcy. Czasem największe atuty okazywały się przekleństwem.

Energicznie zapukał do drzwi oklejonych plakatem przedstawiającym trójkę ludzi wytatuowanych od stóp do głów. Kobieta oraz mężczyzna po bokach mieli jednokolorowe tatuaże, natomiast maszerujący w środku łysoł pokryty był wzorami w barwach tęczy. W świetle migającej latarni plakat robił szczególne wrażenie.

Zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk. Mimo wszystko komisarz nie miał wątpliwości, że jego stara wtyka w lubelskim półświatku jest w środku. W studiu nie tylko pracował od rana do nocy, tatuując oraz pijąc, lecz jednocześnie w nim mieszkał, po tym jak kolejna partnerka wystawiła jego rzeczy za drzwi. Mężczyzna był jedyną nadzieją komisarza. Porywacze nie mogli wiedzieć, jakie relacje ich łączyły, a pośpieszne ustalenie tożsamości mężczyzny mogło ich naprowadzić jedynie na trop kryminalisty. To, że ten kryminalista przynajmniej częściowo się nawrócił i że świadczył czasem Deryle przysługi, pozostawało ich najściślej strzeżoną tajemnicą. W zamian za pomoc komisarz parokrotnie nagiął procedury i dał mu do zrozumienia, by w konkretnych dniach wymówił się od tatuowania pewnych osób. Nie musiał dodawać, że

osoby te podejrzewano o handel narkotykami, a kilku śledczych było pewnych, że salon tatuażu służy za punkt spotkań bossów półświatka. Była to bzdura, co pozwalało Deryle zachować czyste sumienie, gdy ostrzegał swoją wtykę.

Ponownie zastukał do drzwi. Tym razem zdecydowanie mocniej, nie zważając, że znajduje się w bramie, w której echo potęguje wszystkie odgłosy.

– Otwieraj! – rzucił, gdy dobiegł go cichy szmer. – Nie skradaj się, bo nie potrafisz.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął wysoki, pokryty tatuażami młodzieniec ubrany jedynie w wyciągnięte szorty. Na jego klatce piersiowej widniała szubienica z powieszonym sierpem oraz młotem.

– Dżej Zi... – wycedził komisarz. – Coś ty z siebie zrobił?

Pchnął szerzej drzwi i wszedł do środka. Tatuażysta nie wyglądał ani trochę na zaskoczonego, przeciągnął się, po czym zasunął zasuwę. Tak naprawdę Dżej Zi wcale nie nazywał się Dżej Zi, ale lubił, kiedy tak do niego mówiono. Albo wcale nie lubił, lecz przyzwyczał się i tolerował tę ksywkę.

– Zdecydował się pan na małą dziarękę? – zapytał, obrzucając komisarza wzrokiem. – Impuls w środku nocy? Zew krwi? Przypominam tylko, że lepiej nie być tatuowanym, gdy się jest pod wpływem alkoholu. Niech pan wróci rano...

– Zamknij się, Dżej Zi.

– Ale...

– Powiedziałem, zamknij się. – Deryło podszedł do biurka robiącego za recepcję i sięgnął po blok białych kartek oraz długopis. – Będziesz musiał mi pomóc. Musimy zrobić coś cholernie nielegalnego.

Oczy tatuażysty błysnęły radośnie. Wydawało się, że w jednej chwili całkowicie się obudził.

– Co takiego?

– Mam dla ciebie zadanie.

Mówiąc to, komisarz napisał na kartce krótką wiadomość. Dżej Zi uśmiechnął się coraz mocniej zaintrygowany.

23

„Możemy być podsłuchiwani”.

Po chwili Deryło dopisał kolejne zdanie.

„Rozmawiamy NORMALNIE”.

„Normalnie” stanowiło słowo klucz. Z jednej strony z kimś takim, jak Dżej Zi, nie prowadziło się rozmów w klasycznie rozumianym znaczeniu, z drugiej musieli zachować pozory. Tak więc powinni rozmawiać w sposób, w jaki robili to zwykle. Choć jednocześnie komisarz zdawał sobie sprawę, że jeżeli są na podsłuchu, musi jakoś uzasadnić swoją wizytę w tym miejscu. Nie mógł jednak w żaden sposób zdradzić swojej prawdziwej motywacji.

– Musisz mi pomóc. – Sapnął, siadając na fotelu przy jednym ze stanowisk do tatuażu i pokazując, by jego rozmówca zrobił to samo. Jednocześnie wciąż ścisnął blok kartek oraz długopis.

– Pan mówi, niewolnik słucha.

– Nie rób sobie jaj i się przymknij.

– Rozkaz.

Komisarz spojrział na tatuazystę z ukosa, a ten spolegliwie uniósł dłonie. Uśmiechnął się przeproszająco.

– Mam sprawę, z którą w przyszłości nikt nie będzie mógł mnie połączyć, rozumiesz? Nie odzywaj się, tylko skiń tą pustą głową. Dobrze. W takim wypadku przechodzimy do części dalszej. Jest bardziej skomplikowana, więc wysił zwoje mózgowe.

Dzej Zi uniósł rękę jak uczeń pragnący zadać pytanie nauczycielce. Deryło westchnął. Wiedział, że będzie ciężko, ale nie chciał zrazić do siebie tatuażysty. Ich współpraca musiała opierać się na względnej równowadze i zachowaniu *statusu quo*, który obejmował wyrozumiałość dla wszelkich aberracji strawionego dziesiątkami lat brania narkotyków umysłu Dzeja Ziego.

– Czego pan chce?

Deryło nie chciał być zbyt dosadny, więc zaczął dość ogólnie.

– Będziesz musiał mnie osłaniać. Staniesz się filtrem pomiędzy mną a pewnym syfem...

– Chodzi panu o to, że w razie czego mam się za pana podstawić, tak?

– Możesz tak to rozumieć.

– Świetnie, jestem w siódmym niebie.

Komisarz zerknął na stojącą pod metalowym stolikiem butelkę whisky. Sięgnął po nią, odkręcił i pociągnął spory łyk.

– Jest bardzo źle?

Nie zwrócił uwagi na zatroskany ton w głosie tatuażysty.

– Musisz dla mnie znaleźć informacje o Stepanie Egerze vel Stephanie Azizie – wycedził powoli. – Zapamiętałeś?

– Stephan Aziz, a ten drugi jak się nazywał?

Deryło fuknął.

– Stepan Eger. To jedna i ta sama osoba działająca pod ksywką, powinienes co nieco o tym wiedzieć.

– Tak, jasne. Tylko żartuję, komisarzu. Luz blues.

– Potrzebuję wszystkiego. Przede wszystkim informacji, kiedy ten mężczyzna zostanie przekazany Polsce i w jaki sposób.

– Przekazany?

– Zostanie wydany przez Ukraińców na żądanie polskiego wymiaru sprawiedliwości. Chcę wiedzieć, czy przyjedzie konwojem lądowym, czy przywloką go samolotem. Zdaje się, że będzie miał przesłuchanie w lubelskiej prokuraturze.

Dzej Zi wyprostował się i założył dłonie za łysą czaszkę. Zmarszczył czoło, na którym miał tatuaż przedstawiający rozporek. Komisarzowi natychmiast nasunęło się skojarzenie z dzwonkiem telefonu i odruchowo upewnił się, że ten wciąż ma w kieszeni.

– Panu byłoby to łatwiej zrobić. Ja będę musiał poruszyć kilka kontaktów i chwilę to potrwa...

– Masz dwie godziny. Ani minuty więcej. I pamiętaj: nikt, ale to nikt, nie może mnie powiązać z wyszukiwaniem tych informacji.

– To rozumie się samo przez się.

– Być może będziesz mi później potrzebny w czymś jeszcze. Gdy wykonasz zadanie, zastanowię się, jak ci wynagrodzić zawracanie głowy.

Dzej Zi się roześmiał. Wzruszył ramionami i przeciągle gwizdnął.

– No, dobrze, dobrze. Mam tylko nadzieję, że nie będzie chciał pan tego Aziza, czy jak mu tam, odbijać z konwoju. Nie lubię strzelanin.

Puścił do komisarza oko, lecz ten pozostał śmiertelnie poważny. W tym samym momencie odwrócił do tatuażysty kartonik z napisaną wiadomością. Dzej Zi powoli ją odczytał, wreszcie w ostatniej chwili stłumił przekleństwo. Bezgłośnie z niedowierzaniem pokręcił głową. Mina Deryły nie pozostawiała jednak złudzeń, że nie ma najmniejszej ochoty na żarty.

Deryło nie miał wątpliwości, że Dzej Zi nadal utrzymuje rozległe znajomości w półświatku. Może szczególnie się nie udzielał, może

rzeczywiście był już czysty, ale znajomości z podwórka są silniejsze od biznesu. Przynajmniej w niektórych przypadkach.

Komisarz musiał działać szybko. W spisanej na kartce wiadomości poprosił tatuażystę, by ten ustalił miejsce, skąd do niego dzwoniło na starą nokię. Oddał mu telefon, wiedząc, że niezbędne będzie podłączenie karty SIM do komputera. W przypadku odczytów z nadajników BTS procedura była odmienna, lecz na ich pozyskanie komisarz nie miał szans.

W kolejnych dwóch wiadomościach dał Dziejowi Ziemu do zrozumienia, że muszą zakończyć rozmowę w taki sposób, jakby zajęli się w internecie wyszukiwaniem informacji o Stepanie Egerze i pochłonięci tym zadaniem milczeli. Albo jakby Deryło wyszedł do drugiego pomieszczenia chwilę się przespać oraz nabrać sił. Wszystko jedno. Jego plan był prowizoryczny, lecz opierał się na założeniu, że porywacze, kimkolwiek by nie byli, nie mogli pozostawać aktywni całą dobę. Druga w nocy wydawała się właściwą porą, aby położyć się spać. Poza tym jasno dali mu do zrozumienia, że skontaktują się z nim dopiero za kilka godzin.

Mimo wszystko Deryło postanowił opuścić studio tatuażu przez okno w łazience. Okno to wychodziło na podwórze, z którego można było udać się w stronę Podzamcza. Taki drobny środek bezpieczeństwa pozwalał nie tylko samemu mylić trop, ale również spróbować zweryfikować działania przeciwników.

Czując się lżej, jakby świadomość, że być może wreszcie pozbył się ogona, przekuwała się na doznanie fizyczne, przemknął wzdłuż frontu kamienic. Zatrzymał się przy sporej furgonetce i zerknął na ulicę. Okolica wydawała się opustoszała. Nikt nie kręcił się przy wejściu na podwórze, w którym mieścił się salon tatuażu, nikt nie krył się w kolejnych punktach, które komisarz postrzegał jako podejrzane, wreszcie nie dostrzegł nikogo w kolejnych autach.

Ostrożnie przebiegł na drugą stronę ulicy. Nie miał wiele czasu, a od miejsca, gdzie zamierzał się udać, dzieliły go niemal dwa kilometry. Ich pokonanie w dwie strony musiało zająć co najmniej trzy kwadranse, chyba że udałoby mu się złapać taksówkę lub...

Nagle coś przykuło uwagę Deryły. Komisarz pochylił się i odruchowo napiął mięśnie. Działał instynktownie, upodabniając się do kota, który skradał się ku ofierze. Choć wiedział, że w tej grze to nie on jest myśliwym.

– Niech go szlag – zaklął. – Sukinsyn...

25

Komisarz truchtem przebiegł wzdłuż kilku aut, schował się za ciemnym suvem i nabrał powietrza. Serce ponownie mocniej uderzyło mu w piersi, a nerwy, które zdawały się przez chwilę opanowane, ponownie posypały się w strzępy. Deryło starał się przynajmniej uspokoić oddech, lecz zdawało się to niewykonalne. Powracający co rusz obraz krzywdzonej Tamary Haler sprawiał, że nie potrafił działać rozsądnie i profesjonalnie. Choć wiedział, że właśnie mnóstwo ryzykuje, emocje wzięły górę.

Wybiegł zza suwa i rzucił się ku zaparkowanemu kilka metrów dalej bmw. W ciągu dwóch sekund dopadł do niego, po czym szarpnął za klamkę. Na szczęście drzwi były odbezpieczone i momentalnie je otworzył. Następnie, działając jak automat, chwycił za ramię siedzącego na miejscu kierowcy młodego mężczyznę. Był to ten sam kibic piłki nożnej, którego zatrzymał na ulicy. Teraz najwyraźniej go szpiegował, jako czujka lub jeden z porywaczy.

– Gdzie ona jest?! – syknął, wywlekając chłopaka na zewnątrz. Mimo wszystko starał się działać względnie cicho. Położył kolano na jego szyi i przycisnął. – Kto ci to wszystko zlecił?

– Ja... O czym pan...

– Mów, bo cię uduszę. Zrobię z ciebie ikonę walki z brutalnością policji, ale wtedy będziesz już martwy. Gadaj!

– Pro... szę...

Mężczyzna zaczął charczeć, a nawet w świetle latarni było widać, że jego twarz pobladła. Wytrzeszczył oczy i lekko rozwarł usta. Wtedy Deryło złagodził nacisk.

– Kto cię tu wysłał?

– Nie... Nikt...

– Mam cię przydusić ciężarem całego ciała?

– Ale... Przysięgam, tylko czekałem...

– Tak, wiem, że na mnie czekałeś, sukinsynu.

Mężczyzna z trudem obrócił się nieco na bok, co pozwoliło mu zaczerpnąć tchu.

– Nie wracałem do domu... – Odkasznął. – Gdy mnie pan zatrzymał, miałem jechać po pół litra wódki i spędzić z nią resztę nocy. Ale... To był zły plan. Nie powinienem się zadrećcać.

– I postanowiłeś mnie śledzić?

– Chciałem zaproponować panu pomoc. Nawet jeśli to policyjna akcja... Mogłem się znowu przydać.

Deryło uklęknął odrywając, kolano od gardła mężczyzny. Spojrzał na niego uważnie i zmrużył oczy. Przez chwilę kalkulował to, co usłyszał. Nie był tak wyczulony na mowę ciała jak Tamara, lecz ćwierć wieku pracy w policji potrafiło co nieco nauczyć o ludziach. Westchnął.

Nie interesowało go, czym ten człowiek się zadrećcał ani czy naprawdę jechał po wódkę, ale nie wyglądał na porywacza ani kogoś przez nich zastraszonego. Nie miał w spojrzeniu dzikiego,

wręcz zwierzęcego strachu Clyde'a, lecz przepełniało je zaskoczenie tym, jak się zachował komisarz.

– Dobra, wstawaj. – Deryło uważnie się rozejrzał, po czym się podniósł. Podał mężczyźnie dłoń. – W dupie mam twoje problemy osobiste, ale faktycznie możesz mi się przydać.

Przekonał go fakt, że teoretycznie nic ich nie łączyło. Dlatego ich relacja, o ile w ogóle zostali już wytropieni, musiała pozostawać dla porywaczy zagadką. Do tego każda podsunięta tym sukinsynom zagadka dawała mu powód do satysfakcji i stanowiła przynajmniej symboliczny atut w rozgrywce.

– Masz mówić do mnie per pan i nigdy nie pytać o nic osobistego – oznajmił surowo. – Rozumiesz?

– Nie ma problemu.

– Jak się nazywasz?

– Kuba, ale przyjaciele mówią do mnie Syzyf. To dlatego, że...

– Nie interesuje mnie to ani trochę. – Deryło ruszył w stronę bmw. – Musisz mnie zawieźć w kolejne miejsce. I to w trybie wyścigowym.

Gdy powiedział gdzie, Syzyf odkaszlnął, po czym szeroko się uśmiechnął. Deryłę naszła ponura konstatacja, że w sytuacji awaryjnej jego jedynym wsparciem jest dwóch potencjalnych ćpunów ze zrujnowanym życiem osobistym. W sumie, jak każdy tonący, był zdeterminowany chwycić się choćby brzytwy.

26

– Nie toczy się żadne postępowanie, to jakieś kompletne bzdury!

Deryło spojrział na sierżanta, który obsługiwał policyjny depozyt z bronią. Ostatnie zmiany przepisów skomplikowały procedury

i znacznie wygodniej było zabierać służbowe pistolety do domu, o ile posiadało się ku temu warunki. W związku z tym, że ministerstwo straszło ich weryfikowaniem, a funkcjonariusze nie kwapili się do masowego składania zamówień na szafy pancerne, większość zdawała pistolety do depozytu.

– Nie wiem, o co chodzi, ale mam przy pańskim nazwisku jakieś zastrzeżenie, komisarzu.

– Może to błąd systemu? – Deryło nachylił się nad ladą. – Może to jakiś pieprzony dowcip albo adnotacja, że muszę odwiedzić strzelnicę.

– Sam nie wiem...

– Ja ci tego nie powiem, ale teraz, do cholery, potrzebuję tego pistoletu.

Deryło nerwowo zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta i ostatnie, czego chciał, to wzbudzić w komisariacie zamieszanie. O tej porze byli w nim tylko dyżurni, ale i tak wolał nie zostać przez nich zapamiętany. Przynajmniej na tyle, by przy porannej zmianie o nim wspomiano.

– W porządku – fuknął teatralnie. – Wobec tego zadzwonię do inspektora i przekażę panu telefon.

Sierżant wyraźnie spuścił z tonu. Machnął ręką i zaczął się wycofywać.

– O tej porze może lepiej nie robić zamieszania...

– Też tak myślę.

– Ale z drugiej strony...

– Człowieku, nie mam czasu! Wydajesz tę broń, dzwonicz do informatyków czy chcesz pogadać z Knapem?

Sierżant zerknął na Deryłę i z rezygnacją skinął głową. Sięgnął po jakiś formularz, po czym wraz z długopisem podał go komisarzowi. Sam zniknął w pomieszczeniu zabezpieczonym zamkiem elektronicznym.

– Chwilę... – rzucił, przymykając drzwi, zgodnie z procedurą.

Deryło niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Denerwował go obiektyw kamery monitoringu, który był wymierzony wprost w niego. Nigdy wcześniej nie zwracał na niego uwagi, a teraz miał wrażenie, jakby nagrywano go w toalecie. Spuścił wzrok i się odwrócił. Mimo to spojrzenie kamery paliło go w kark, niczym urządzenie wypuszczające wiązkę lasera.

Komisarz po raz kolejny zerknął na cyferblat wysłużonego tissota. Od ostatniego razu minęło niespełna półtorej minuty, a miał wrażenie, jakby upłynął co najmniej kwadrans. Zaczynał podejrzewać, że jest poszukiwany. Że sierżant odstawiał jedynie szopkę, grając na czas, by ściągnąć mające go obezwładnić posiłki. Czy Brzeski mógł coś podejrzewać?

Nagle zaczął żałować, że nie uprzątnął trupa Clyde'a. Mógł go przynajmniej zawinąć w jakieś cholerne prześcieradło i wrzucić do wersalki. Cokolwiek, byle nie zostawiać go na środku mieszkania. Jednak aspirant z pewnością nie mógł niczego zobaczyć. Chyba że... Do głowy Deryły przyszła kolejna niepokojąca myśl. A jeśli jakimś cudem wcześniej podsłuchał jego rozmowę prowadzoną przez telefon? Drzwi do jego mieszkania nie były specjalnie grube i nie tłumiły dźwięków.

Rozejrzał się po niewielkim holu, spodziewając się, że zza rogu wyłoni się paru policjantów. Jego rzekomych kumpli, którzy aresztowaliby go bez mrugnięcia okiem. Wiedział, że nie cieszy się powszechną sympatią i nigdy dotąd mu to nie przeszkadzało. Teraz też miałyby to w głębokim poważaniu, gdyby nie przeświadczenie, że kumple przynajmniej nie działają z zaskoczenia. Ostrzegają, nim rozpoczną atak. A może to były jedynie mrzonki?

Ukradkiem otarł pot z czoła i wychylił się w stronę drzwi do depozytu. Było w nich niewielkie okrągłe okienko, w którym przesunął się cień. Może powinien uciekać?

Szyf czekał na niego w bmw, zaparkowanym na poboczu kilkanaście metrów przed wjazdem do komendy. Chłopak bez dwóch zdań miał dar do prowadzenia pojazdów. Mimo to stare auto nie nadawało się do podejmowania ucieczki przed nowymi radiowozami. To znaczy podejmować ucieczkę można było zawsze, ale...

Ciąg myśli komisarza przerwało kliknięcie zamka. Sierżant wrócił do holu i zerknął na niego spode łba. A może tylko mu się tak wydawało?

– Proszę. – Podał jego służbowego walthera. Choć gros policjantów używało glocków, które rzekomo były go na głowę, nigdy nie zdecydował się na zmianę broni.

– Jeszcze podpis...

Deryło, jak oparzony, nakreślił parafkę i przypiął kaburę do paska. Postanowił, że potem postara się gdzieś schować pistolet. Lepiej, żeby go nie miał na widoku.

Pokrzepiony, pośpiesznie wybiegł z komendy. Szanse się wyrównywały. Teraz, gdy był uzbrojony, a porywacze Haler o tym nie wiedzieli, miał solidnego asa w rękawie. To w połączeniu z faktem, że wciąż nikt go nie ścigał, dodało mu nieco energii.

Gdy zbiegał po schodkach, poczuł w kieszeni wibrację swojego telefonu. Wibracja urwała się, nim rozległ się dźwięk dzwonka.

– Cholera – zaklął, nie zważając, że mija go dwóch policjantów.

Pośpiesznie wyjął aparat i zerknął na ekran. Tak, jak się podziewał, widniał na nim krótki komunikat o nieodebranym połączeniu od Dżeja Ziego. Tatuażysta miał puścić mu sygnał, gdyby coś szło nie po ich myśli lub porywacze usiłowali dzwonić na starą nokię. Umówili się, że komisarz nie odbierze połączenia, aby nie pozostawiać żadnego trwałego śladu po ich komunikacji. Przesłanie było proste i jednoznaczne.

Miał kłopoty.

– Jedź, jedź, jedź!

Trzykrotne powtarzanie komendy nie mogło wiele zmienić, jednak Syzyf w lot pojął, jak alarmowa jest sytuacja. Zresztą czekał na komisarza z odpalonym silnikiem, więc gdy tylko ten zdołał rzucić się na fotel, dodał gazu i z piskiem opon zawrócił.

– Do centrum?

– Tam, gdzie ostatnio.

– Robi się. Proszę zapiąć pas.

Deryło spojrział na mężczyznę z ukosa, ale posłusznie wykonał polecenie. Co prawda bmw nie miało irytującego przypomnienia dźwiękowego, które zawsze przyprawiało go o furję, lecz wystarczyło pierwsze kilkaset metrów pokonanych z zawrotną prędkością, by nie protestował.

Poprawił się w fotelu i odpiął kaburę. Był to indywidualizowany wyrób wykonany przez rymarza zgodnie z instrukcjami komisarza. O jego jakości najlepiej świadczył fakt, że w niemal perfekcyjnym stanie przetrwał ostatnie kilkanaście lat, w tym kilka sytuacji krytycznych. Najważniejszą zaletą tego sprzętu była możliwość przepięcia z pasa na klatkę piersiową, przy zastosowaniu wąskich pasków robiących za szelki. Mocowanie było stabilne i pozwalało na użycie nawet cięższej broni od walthera, jednak zmuszało do noszenia obfitych marynarek rodem z lat dziewięćdziesiątych.

Syzyf kątem oka obserwował poczynania Deryły. Po dłuższej chwili milczenia odezwał się lekko zakłopotanym tonem.

– Panie komisarzu, czy...

Urwał w pół zdania, gwałtownie wciskając pedał hamulca i obracając kierownicę. Z bocznej ulicy wyjechał motocyklista, który najwyraźniej źle ocenił ich prędkość. Albo wcale ich nie dostrzegł. Dopiero oszalałe trąbienie oraz błysk zbliżających się świateł go oprzytomniły. Było już jednak za późno, by mógł cokolwiek zrobić.

Jedynie natychmiastowa reakcja Syzyfa uratowała życie motocyklisty. Bmw przemknęło kilkanaście centymetrów od yamahy i straciło przyczepność. Napęd na tył zrobił swoje. Autem zarzuciło i wypchnięte zostało na przeciwny pas ruchu. Całe szczęście, że ten o tej porze był zupełnie pusty. Mimo wszystko Syzyf przez cały czas sprawiał wrażenie, jakby miał wszystko pod kontrolą. Delikatnie otworzył usta i przygryzł wargę. Zmarszczył czoło, wykonując stanowcze, ale nie nerwowe ruchy kierownicą. Po chwili udało mu się ustabilizować tor jazdy.

– Zdradzi mi pan, co to za sprawa? – zapytał tonem, jakby nic się nie wydarzyło. – Zastanawiałem się, czy nie wrabia mnie pan i w ogóle jest prawdziwym policjantem, ale w końcu widziałem, jak wchodzi pan do komendy.

Deryło odsapnął. Wstyd było mu przed samym sobą przyznać, że przez ostatnie sekundy nerwowo zaciskał pięści i wbijał buty w podłogę, jakby usiłował nimi zahamować. Poza tym odkąd dostał sygnał od Dżeja Ziego, jego nerwy ponownie znalazły się w strzępach. Huśtawka emocji poruszała się od względnego spokoju i skupienia na zadaniu ku kompletnemu rozbiciu.

– Nie jestem przebierańcem – wycedził.

– Nie mógłby pan nim być. Nie ma pan munduru. Trudno się przebrać za kogoś, nie używając stroju do przebrania.

Syzyf uśmiechnął się i nieco zwolnił. Wjechał na uliczkę pokrytą kocimi łbami, przez co autem zaczęło trząść. Od celu dzieliło ich już niespełna sto pięćdziesiąt metrów.

– Można się przebrać za policjanta w cywilu – skwitował Deryło. Starał się brzmieć normalnie, a nawet nieco ironicznie.

– Zmienia pan temat. Czy to śledztwo w związku z morderstwem w saunie? To pan prowadzi tę sprawę, prawda?

Deryło westchnął. Przeciągnął dłońmi po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej kurz. Sprawa makabrycznego morderstwa w saunie na szczęście została już zakończona, ale nie mógł po niej w ogóle nabrać sił. Minęło ledwie kilka dni... Teraz tylko drobny fragment jego mózgu był skupiony na rozmowie z Syzyfem. Znaczna większość zastanawiała się nad tym, co miał mu do przekazania Dżej Zi.

– Wie pan, kim jestem?

– Widziałem pana na kilku konferencjach prasowych...

– I miał mnie pan za przebierańca?

– Uznałem, że może się pan tylko podszywać albo odstawiać inną manianę, bo w końcu jaki rozsądny policjant wypada przed maskę samochodu? Poza tym...

Deryło wszedł mu w słowo.

– Mniej wiesz, dłużej żyjesz. Tak mawiało moje pokolenie.

Jeszcze nim Syzyf zatrzymał auto, pchnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Rzucił się biegiem ku podwórzu, w którym mieściło się studio tatuażu. Nie zważał już na żadne środki bezpieczeństwa.

Deryłę gnębiło złe przeczucie. Gdy przebiegał przez ulicę, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przez myśl przeszło mu wyobrażenie szaleńca mierzącego do niego z karabinu snajperskiego i wyostrzającego obraz z lunety. Niemal słyszał

cichy trykot przeskakujących zębów mechanizmu. Niemal słyszał kliknięcie spustu...

Czy Dżej Zi dzwonił do niego, gdyż porywacze zadzwonili na pozostawiony telefon? Czy może ktoś wciągał go właśnie w pułapkę?

Komisarz poprawił mocowanie kabury i na moment przystanął przed drzwiami studia tatuażu. W tym miejscu był zagrożony jedynie strzałem z okien wychodzących na niewielkie, kamieniczne podwórze. Nie sądził, aby ci szaleńcy, kimkolwiek byli, mogli zająć któryś z tych lokali. Musieliby mieć zdolność wizualizowania przyszłości lub czytania innym w myślach. Nikt nie mógł przewidzieć, że w podobnej sytuacji komisarz skontaktuje się właśnie z Dżejem Zim.

Przez dwie lub trzy sekundy Deryło nasłuchiwał. Nie dobiegł go żaden dźwięk, a mimo to czuł się dziwnie obnażony. Podglądany.

Nabrał powietrza i ostrożnie pchnął drzwi studia. Wszedł do środka, po czym przystanął w krótkim korytarzu. Z pomieszczenia, które służyło za pracownię, wylewała się poświata rzucana przez ekran komputera oraz niewielką lampkę. Komisarz niemal bezgłośnie ruszył w jego stronę. Jedną dłoń trzymał w gotowości, by sięgnąć po pistolet, lecz nie chciał z nim w ręce paradować po pomieszczeniu. Wolał jak najdłużej ukrywać fakt, że jest uzbrojony. Nawet przed kimś, kto miał mu pomóc. A może właśnie przede wszystkim przed nim.

Zrobił kolejny krok i w tym samym momencie tuż obok siebie usłyszał chrobot. Ciche szurnięcie, jakby ktoś zbliżał się w jego stronę. Momentalnie się wyprostował, napiął mięśnie i sięgnął pod marynarkę.

– Jezu!

Dżej Zi uskoczył, odruchowo zasłaniając twarz ręką. Zaskoczony spojrzał na komisarza i się rozejrzał.

– Po co się pan tak skrada? Mieliśmy bawić się w podchody czy co?!

Deryło, wciąż nie opuszczając ręki, zerknął na tatuażystę.

– Jesteś sam?

– A z kim mam być?

– Po co... – Ugryzł się w język, nie chcąc się zdradzić w razie ewentualnego podsłuchu. Wolał nie wyrażać na głos systemu ostrzegania, jaki wcześniej uzgodnili. – Po co, no wiesz...

– Chciałem pana pośpieszyć.

– Tylko to? Przecież...

– Trafiłem na coś cholernie ciekawego.

Dżej Zi zawrócił do pracowni i machnął dłonią, dając komisarzowi znak, by ten podążył za nim. W milczeniu usiadł na skórzanym fotelu przy leżance. Obrócił się w stronę niewielkiego biurka, na którym stał laptop. Na ekranie był wyświetlony skomplikowany kod, z którego Deryło nie potrafił wyczytać niczego sensownego. Kilkukrotnie go przeanalizował niemal znak po znaku.

Chvd 50°23'12" 24°13'44" 21.17

Zwk 50°03'21" 23°58'14" 22.08

Drh 49°21'00" 23°30'00" 23.14

– Co to jest, do cholery?

W momencie, gdy wypowiadał to pytanie, uświadomił sobie, że spogląda na rząd współrzędnych GPS z konkretnymi godzinami oraz skrótami nazw miejscowości. Gwałtownie pobudzony spojrzął na Dżeja Ziego. Przeciągnął dłońmi po twarzy i przytrzymał palce przytknięte do podbródka.

– Czy to jest...

– Właśnie tak.

– Jak do tego dotarłeś? Przecież to ściśle tajne dane.

– Naprawdę to pana interesuje?

Deryło westchnął. Przyglądał się kolejnym literom, przy których widniały współrzędne geograficzne, jednak już bez wyszczególnionych godzin. Domyślił się, że ma przed sobą trasę konwoju, którym przewożono Stepana Egera. Musiał się on znajdować jeszcze na terytorium Ukrainy, być może oczekując na pozwolenie przekroczenia granicy. Zapewne po stronie polskiej miały go przejąć tutejsze służby, by następnie eskortować w drodze do lubelskiej prokuratury.

Deryłę znacznie bardziej interesowało jednak coś innego. Czekał, aż Dżej Zi da mu jakikolwiek znak, że ustalił o wiele więcej. Wiedział, że tatuażysta nie może powiedzieć mu tego na głos. Dlatego drgnął z zadowoleniem, gdy mężczyzna odwrócił się i ukradkiem podał mu niewielką kartkę. Szeroko się przy tym uśmiechnął.

– Dżej Zi nie odwała fuszery – oznajmił tatuażysta, puszczając komisarzowi oko.

Deryło natychmiast, z szaleńczo bijącym sercem, zerknął na krótką wiadomość.

29

Pacjent otworzył teczkę i przez chwilę przyglądał się jej zawartości. Wreszcie wyciągnął z niej metalową nakrętkę słoika, a potem stronę wyrwaną z gazety.

– Znalazłem to rano w swoich rzeczach.

– To? – Doktor nachylił się, aby przyjrzeć się obu przedmiotom, lecz nie zamierzał brać ich do ręki.

– To może być zakrętka od słoika, w którym trzymano robaki. Wie pan, od tego, w którym trzymałem je we śnie.

- Sny się nie materializują.
- Tak mówią pańskie książki, Doktorze?

Pacjent uśmiechnął się blado i wydał pyzate, zaczerwienione policzki. Po nosie spływały mu kropelki potu, a oddech stał się niemal chrapliwy. Wbił wzrok w swoje solidne dłonie o krótkich palcach.

– Wiele słoików ma zakrętki, to fakt – odezwał się po chwili. – Ale to jest bardziej skomplikowane...

Mężczyzna podał Doktorowi wycinek z gazety. Terapeuta przez chwilę wahał się, czy wziąć go do ręki, wreszcie ostrożnie chwycił go między palce.

- Mam przeczytać całość?
- Mnie zajęło to prawie kwadrans, dla pana to pewnie ledwie minuta.
- Dobrze, niech ci będzie.
- Minuta, a ja widzę całe kwadransy...

Doktor nie skomentował tych zagadkowych słów. Przeczytał artykuł, w którym opisywano mord, jakiego dokonano na pewnej studentce. Kobietę zaciągnięto do pustostanu, skrępowano, a następnie rozpruto jej brzuch, do którego wepchnięto rozmaite robaki. Krótko mówiąc, wydarzenia dokładnie odpowiadały tym, o jakich śnił Pacjent. Doktor uważnie na niego zerknął, po czym wyprostował się w fotelu. Zabębnił opuszkami palców o podłokietnik.

- Zapewne przeczytałeś to przed snem i przez to w nocy miałeś koszmary.
- Tak pomyślałem w pierwszej chwili.
- I to jedyna słuszna myśl.
- Nie. – Pacjent pokręcił głową. Zrobił to nienaturalnie szybko, przypominając nieco otrzępującego się psa. – W związku z tym również pojawia się problem. Mam mnóstwo problemów, doktorze.

Całe mnóstwo problemów... Właściwie może to ja jestem problemem?

30

Deryło z kartką w ręce wypadł ze studia tatuażu. Gdy znalazł się na podwórzu, na moment przystanął i rozejrzał się wokół. Powoli i metodycznie. Jak myśliwy, a nie jak zraniona, ścigana zwierzyna.

Jedyne miejsce pozostające poza zasięgiem jego wzroku znajdowało się za dwoma wielkimi kubłami na śmieci. Komisarz ostrożnie zrobił dwa kroki w ich stronę. Nie wiedział dlaczego, lecz podświadomie czuł, że musi sprawdzić ten zakamarek. Jakby pragnął jak najprędzej stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy porwali Tamarę. Chciał ich dorwać i sprawić, aby naprawdę cierpieli, lecz jednocześnie coś w głębi serca mówiło, że powinien się do tego spotkania dokładnie przygotować. Mimo to zrobił kolejny krok.

Z tyłu zgrzytnął zamek zasunięty przez Dżeja Ziego. Tatuażysta pozostawał zapobiegliwy i zapewne po dziwnej wizycie komisarza jeszcze wzmógł czujność. Deryło miał jednak nadzieję, że nie wygląda teraz na podwórze. Nie chciał wyjść na szaleńca choćby w oczach byłego ćpuna.

Ostrożnie zbliżył się do kubłów i położył dłoń na rękojeści pistoletu. Serce pompowało mu krew ze zdwojoną siłą, a przyśpieszony oddech rozsadzał płuca. Musiał się uspokoić. Żałował tylko, że jedyna zawieszona w podwórzu lampa znajduje się niemal dokładnie za jego plecami. Utrudniało mu to patrzenie,

a zarazem sprawiało, że sam doskonale wystawiał się na ewentualny atak.

Wstrzymał powietrze i błyskawicznie dopadł do kubłów. Aby zaskoczyć ewentualnego przeciwnika, zamiast się wychylić, z impetem jeden z nich przesunął. W tym samym momencie zaszeleściło coś na lewo od niego. Cień przemknął po ścianie tuż obok. Deryło podskoczył jak oparzony, chwycił pistolet, lecz jednocześnie uświadomił sobie, że zza kubła wyskoczył kot. Zwierzę przebiegło obok jego nogi i zniknęło w głębi podwórza.

– Cholera...

Komisarz odetchnął i na sztywnych nogach ruszył w stronę bramy. Przechodząc przez nią, przecesał palcami włosy, starając się wyzbyć nieprzyjemnego dreszczu, który wciąż stawiał włoski na jego karku.

Gdy wyszedł na ulicę, ponownie się rozejrzał. Wokół nie było żywego ducha. Bmw Syzyfa stało zaparkowane kilkadziesiąt metrów dalej, w największym możliwym mroku, dokładnie w połowie odległości pomiędzy latarniami rzucającymi słabe pomarańczowe światło.

Deryło, nieco przygarbiony, przebiegł do auta, szarpnął drzwi i błyskawicznie wszedł do środka.

– Mam ruszać? – Syzyf drgnął zaskoczony. Trzymał ręce na kierownicy i najwyraźniej przez ostatnie minuty przysypiał.

– Spokojnie... Chwila.

– W filmach gliniarze zawsze mówią, żeby szybko ruszać. A potem auta, do których wsiadają, nie mogą odpalić.

Deryło sapnął. Otworzył schowek przed kolanami i bez pytania o pozwolenie przeszukał go dłonią. Nie skomentował szklanej lufki, na którą trafił pod palcami.

– Masz mapę?

– Mapę?

– No, takie cholerstwo pełne rysunków pokazujących świat z góry. Muszę wyszukać adres.

– Nie korzysta pan z GPS-a?

Deryło się skrzywił. No, tak, zapomniał o tym, że przez ostatnie kilka dekad technika niezmiennie szła do przodu. Mimo to starał się ukryć chwilowe zmieszanie.

– Wolałbym nie korzystać z... – Obrócił w dłoni telefon. – Poza tym nie jestem pewny, czy bym potrafił.

– Jasne.

Krótkie „jasne” Syzyfa sprawiło, że poczuł się jeszcze starszy. Został potraktowany, jakby jego anachroniczność nie była niczym dziwnym. Ludzie w pewnym wieku po prostu nie rozumieli współczesnej techniki i już. Nie było w tym nic zaskakującego. Kolejnym naturalnym etapem było już tylko płasanie z wsuniętą w majtki pieluchą.

– Muszę się dostać do przyjaciela – wymamrotał.

Syzyf spojrział na niego badawczo. Uruchomił silnik i wyciągnął telefon.

– I nie wie pan, gdzie ten przyjaciel mieszka? – zapytał z ironicznym uśmiechem. – A to ciekawe.

– Niedawno się przeprowadził.

– W takim razie poproszę o jego adres.

Deryło zerknął na pomiętą i oblepioną jego potem kartkę. Przez chwilę obracał ją w dłoni, aby złapać światło. Wreszcie odczytał adres, po czym wymówił go pewnym, spokojnym tonem. Nawet jeżeli był na podsłuchu, porywacze Haler nie mogli się domyślić, z kim zamierzał się spotkać.

– To człowiek, który pozwoli mi ustalić, któredy porusza się pewien konwój – oznajmił, choć Syzyf go o nic nie pytał.

Było to całkowite kłamstwo, lecz komisarz liczył, że i tym razem mu się upiecze. Obawiał się jednak, że jego limit szczęścia jest na

wyczerpaniu. Nie wiedział natomiast, jak bardzo te obawy są uzasadnione.

31

„Ten człowiek ustali adres – ja nie mam sprzętu”.

To była cała treść wiadomości napisanej przez Dżeja Ziego. Deryło nie miał pojęcia, kim był ów „człowiek”, ale nie wątpił w kontakty tatuażysty. Wiedział, że ma on tak szerokie znajomości, że nie stanowiło dla niego problemu nie tylko załatwienie wymarzonych narkotyków, lecz również broni lub jakiegokolwiek innego, nielegalnego towaru. Zgodnie z informacjami operacyjnymi, jakimi dysponował komisarz, Dżej Zi nie trudnił się jedynie handlem żywym towarem. Było to zresztą jednym z argumentów, dzięki którym Deryło go tolerował. Innym było to, że ponoć nigdy nie dostarczał narkotyków nieletnim. Mogło to być myślenie życzeniowe oraz próba usprawiedliwienia utrzymywanych stosunków, ale komisarz chciał wierzyć, że to również prawda. Cóż, usprawiedliwiających innych, zazwyczaj robimy to tylko po to, by usprawiedliwić samych siebie.

Minęła już czwarta, lecz niebo na wschodzie nie zaczęło nawet nabierać owego charakterystycznego fioletowo-granatowego koloru, jaki zyskuje przed świtem. Panowała kompletna ciemność. O tej porze roku słońce miało się podnieść znad horyzontu dopiero za jakieś dwie godziny. Zdawało się, że wraz ze słońcem ze świata zniknęło życie. Przez kilka minut nie minęli na drodze żadnego auta, a jedynym znakiem, że cywilizacja wciąż istnieje, były rozbłyski samolotu podchodzącego do lądowania na lotnisku w podlubelskim Świdniku.

Przez całą drogę Deryło wpatrywał się w ekran komórki. Jak na szpilkach spodziewał się, że lada moment porywacze zadzwonią, by dowiedzieć się, dokąd jedzie. Miał przygotowanych kilka odpowiedzi, w zależności od rozwoju wydarzeń, ale obawiał się, że człowiek wskazany przez Dżeja Ziego może być znany w półświatku. A wraz z nim jego adres.

– Ładna okolica... – Syzyf gwizdnął przez zęby. – Jesteśmy już niedaleko.

Zgodnie z informacją do celu pozostało sto pięćdziesiąt metrów. Znajdowali się na ulicy, po której obu stronach ciągnęły się wysokie ogrodzenia strzegące dostępu do niemal niespotykanych w Lublinie ogromnych rezydencji. Większość domów miała po dobrych kilkaset metrów kwadratowych powierzchni, piękne, podświetlone latarniami ogrody oraz eleganckie podjazdy. Na bramach wjazdowych oraz murach umieszczono tabliczki z nazwami firm ochroniarskich strzegących posesji. Przy jednym z wjazdów Deryło zauważył budkę strażniczą, jednak ze zgaszonym światłem.

– Nigdy tu nie byłem. – Syzyf zerknął na wyświetlacz telefonu i skrzyknął w lewo, w uliczkę, przy wjeździe w którą stał znak informujący, że jest ślepa. – Nie wiedziałem, że mamy w Lublinie taką ekskluzywną dzielnicę. Kogo na to wszystko stać?

– Ludzi ciężkiej pracy i przestępców.

– To cynizm?

– Raczej rozsądek i doświadczenie życiowe. Przeszło pięćdziesiąt lat na karku pozwala na wyciągnięcie kilku wniosków...

Syzyf zerknął na komisarza i chciał coś powiedzieć, lecz Deryło natychmiast go ubiegł.

– Nie mów, że nie wyglądam. Możesz to sobie darować.

– Chciałem powiedzieć, że jesteśmy na miejscu.

Deryło westchnął i z zaciekawieniem zerknął na rezydencję, przy której się zatrzymali. Był to jeden z mniejszych domów

w okolicy, lecz i tak imponujący. Jego fasadę podświetlało kilkanaście punktowych lampek oraz reflektorów. Na szczęście nigdzie nie było widać kamer.

– Tym razem również nie potrzebuje pan towarzystwa?

Szyf wyłączył silnik i wymownie spojrzał na komisarza. Deryło pokręcił głową.

– Nie mam prawa cię zatrzymywać, jeśli masz żonę, która na ciebie czeka, jedź do niej. Jeśli masz psa, wyprowadź go. Nie licz na fajerwerki ani listy gratulacyjne.

– Rola szofera całkiem mi odpowiada. Może słaby ze mnie intelektualista, ale wciąż pamiętam o medalu za zasługi.

Deryło nie odpowiedział. Pchnął drzwi auta i pośpiesznie skierował się w stronę furtki prowadzącej na teren kilkunastoarowej posiadłości. Gdy był o kilka kroków od niej, rozległ się cichy ton brzęczka. Furtka odskoczyła, zapraszając go do środka. Gospodarz najwyraźniej już wiedział, że ma się pojawić.

32

Deryło wszedł do holu rezydencji. Oślepiony automatycznie zapalonym światłem zmrużył oczy i powstrzymał się przed osłonięciem ich dłonią. Tę wolał mieć w pogotowiu w pobliżu broni.

Klatka schodowa stanowiła miniaturkę tych spotykanych w osiemnastowiecznych pałacach. Schody prowadziły na galerijkę i rozchodziły się w dwie strony, zataczając krąg nad głową wchodzącego. Jednak wystrój wnętrza stanowił mieszankę antyków oraz nowoczesności. Kilka marmurów mieszało się

z metalowymi rzeźbami w stylu Mitoraya, na ścianach wisiały pstrokate abstrakcje, a dwa wielkie żyrandole przypominały statki kosmiczne. Gust mieszał się z bezguściem niczym w lokum schizofrenika. Poza tym nigdzie nie było śladu po gospodarzu.

Deryło po chwili wahania ruszył na piętro. Uznał, że pomieszczenia na dole nie zasługują na przymiot reprezentatywności, a ktoś posiadający taki dom z pewnością lubi wyrzucić właściwe wrażenie. Wbiegał po dwa, trzy stopnie, co rusz odruchowo nasłuchując dzwonka komórki. Czuł ulgę, że telefon wciąż nie zadzwonił. Być może porywacze nie byli takimi profesjonalistami, za jakich wziął ich w pierwszej chwili. Mogli zmontować cały plan naprędce, zamierzając kontaktować się z nim o określonych godzinach. Gdyby to była jedyna kontrola, jaką nad nim mieli... Znów zaczynał myśleć życzeniowo. Z drugiej strony, nie wahali się zabić tamtego człowieka w jego mieszkaniu. Myśl o tym wciąż wywoływała w komisarzu mdłości i nakłaniała go do zachowania maksymalnej czujności. Jednocześnie był to dobitny znak, że jeżeli ich plan zacznie się walić, nie powstrzymają się przed sięgnięciem po wszelkie środki. Nawet te ostateczne.

Gdy Deryło znalazł się na szczycie schodów, rozejrzał się uważnie. Po raz pierwszy, odkąd wyjechali od Dżeja Ziego, w jego głowie pojawiły się chmurne myśli. A jeśli to była zasadzka? Może tatuażysta również został zastraszony i wywiódł go w pole? Powinien dopuścić taką ewentualność wcześniej.

– Dzień dobry w moich skromnych progach. A właściwie chyba powinienem powiedzieć, dobry ranek? Dobry świt, panu?

Deryło gwałtownie się odwrócił i spojrzał na wysokiego, szczupłego mężczyznę ubranego w czarny strój do joggingu. Miał on pociągłą twarz ze szczeciną jasnego zarostu, zapadnięte policzki oraz mętne oczy. Wyglądał na albo bardzo chorego, albo przewlekłe ćpającego, co właściwie wychodziło na to samo.

– Nazywam się... – odezwał się, lecz gospodarz wszedł mu w zdanie.

– Nie chcę wiedzieć, jak się pan nazywa. Będzie pan dla mnie panem X, a ja dla pana panem Y. Dobrze?

Deryło skinął głową.

– Niech tak będzie, panie Y. Czy Dzej Zi przekazał panu, że...

Komisarz zawiesił głos. Nie wiedział, jak mógłby dać nieznanemu do zrozumienia, aby nie wyjawiał prawdziwego powodu jego wizyty. Wciąż się obawiał, że jest na podsłuchu i balansuje na krawędzi zdemaskowania. Omsknięcie jego stopy mogło skazać Tamarę na śmierć.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie się pojawiłem? Potrzebuję szczegółów dotyczących pewnego konwoju.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo, Deryło wymownie zerknął na rozmówcę i poklepał się palcem wskazującym po uchu. Pan Y najwyraźniej wiedział, w czym rzecz. Uśmiechnął się szeroko, po czym gestem nakazał, by komisarz podążył za nim.

– Zdaje się, że mogę panu pomóc.

– Czy udało się panu cokolwiek ustalić?

Pan Y nie odpowiedział. Bez słowa skierował się ku pomieszczeniu w głębi korytarza. Prowadzące do niego dwuskrzydłowe drzwi były otwarte i z daleka było widać potężną sięgającą sufitu bibliotekę pełną książek oraz zalegających na półkach rupieci. Księgozbiór raczej nie obejmował pozycji antykwarycznych, gdyż w świetle kolejnej designerskiej lampy skrzyły się lakierowane okładki współczesnych pozycji.

Deryło zwrócił uwagę, że pan Y lekko utyka. Idąc, ciągnął prawą nogę i co kilka kroków wykonywał nieskoordynowany ruch, jakby chciał podbiec, nadrabiając stracone metry. Kończyło się to wygibasem grożącym upadkiem, ale mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Najwidoczniej odruch wszedł mu już od dawna w krew

i być może stanowił jedyną pozostałość dawnego, poważnego urazu lub schorzenia.

– Dziej Zi rzadko mnie o coś prosi – oznajmił, wchodząc do biblioteki, pośrodku której stało dwustronne, masywne biurko przypominające kiczowatą imitację mebli gdańskich. – Ale kiedy już o coś mnie prosi, wiem, że ma bardzo ważny powód.

Deryło wzruszył ramionami.

– Prosił, gdyż ja go o to poprosiłem.

– Czy przyłożył mu pan wtedy pistolet do głowy?

Pan Y raptownie się odwrócił, oparł się o biurko i spojrzał na komisarza. Deryło zatrzymał się w pół kroku. Po chwili opanował zaskoczenie.

– Czy zrobiłoby to panu różnicę? – zapytał, siląc się na uśmiech.

– Mnie nie. Lubię zdeterminowanych ludzi.

– W takim razie mam nadzieję, że nie przyjechałem nadaremno.

Deryło pozostawał czujny. Nie wiedział, na ile słowa pana Y mają drugie dno, a na ile są jedynie wyrazem ironii. Ukradkiem rozejrzał się po pomieszczeniu. Prowadziły do niego tylko jedne drzwi, choć nie wykluczał, że któraś z szaf bibliotecznych może ukrywać tajne przejście. Trzy wielkie okna dzieliły najdłuższą ścianę na cztery równe części. Pomędzy środkowymi stał czerniony pomocnik ze sprzętem komputerowym oraz drzwiczkami zamykanymi na klucz. Tuż obok ustawiono blisko dwumetrową lampę ze złotym abażurowym kloszem.

– Proszę się nie martwić. – Pan Y wskazał na jedno z rzeźbionych krzesel. – Niech pan usiądzie. Zaraz wszystko panu opowiem... Napijemy się kawy?

Mężczyzna przeciągnął dłonią po zmęczonej, szarej twarzy. Zerknął na Deryło i zrobił krok w stronę okien. W tym samym momencie rozległ się głośny brzęk. Komisarz odruchowo się schylił i zobaczył coś, co sprawiło, że w kolejnej chwili zastygł w bezruchu.

– Tę gazetę znalazłem przy łóżku dziś rano. To numer poranny, dlatego nie mogłem czytać jej przed snem. Nie wiem, czy ją kupiłem, czy w jaki sposób się u mnie znalazła...

Doktor jeszcze raz przebiegł wzrokiem artykuł, w którym opisano morderstwo. Zmarszczył czoło i spojrzał na Pacjenta z ukosa.

– Czy jesteś pewny, że ten koszmar przyśnił ci się dziś w nocy? A może zasnąłeś dopiero po przeczytaniu tego artykułu?

– To była noc, doktorze. Było ciemno, jak się obudziłem, więc to musiała być noc, prawda?

– Spójrz mi prosto w oczy, o tak, właśnie tak. A teraz powiedz, że ani razu mnie nie okłamałeś.

– Przysięgam, panie doktorze.

– Na co?

– Na matulę i tatula.

– Oni nie żyją, przekonaj mnie kimś, na kim ci bardziej zależy.

– Przysięgam na pana...

– Wiesz, o kogo mi chodzi. Jeśli mam ci uwierzyć, zrób to.

Pacjent poczerwieniał jeszcze bardziej niż dotychczas. Spuścił wzrok i zmieszany się uśmiechnął.

– Przysięgam na panią Sonię.

– Powiedz to głośno i wyraźnie.

– Przysięgam na panią Sonię, doktorze.

Doktor wyprostował się w fotelu i przecesał palcami włosy. Nagle podniósł się, po czym sięgnął do bocznych drzwiczek biurka.

Wyciągnął jedną z szuflad. Przez chwilę czegoś w niej szukał, wreszcie wyjął cienką aktówkę i ją otworzył.

– Co tam pan ma? Co to jest? – Zniecierpliwiony już Pacjent starał się zerknąć do dokumentów, ale nie odważył się wstać. – Proszę mi powiedzieć. Proszę, proszę...

Doktor spojrział na niego uważnie.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

– Nie wiem. – Pacjent wzruszył ramionami. Nie spuszczał jednak oka z dokumentów. – Nie wiem, panie doktorze, ale po prostu jestem okropnie ciekaw.

– Proszę, przeczytaj.

Doktor bez cienia uśmiechu podał Pacjentowi jedną z kartek.

– Pamiętasz, co to jest? Opowiadałeś mi o tym dokładnie przed tygodniem.

– Czy to... Ja nie...

Pacjent zaczął powoli głośno czytać. Z każdym słowem jego twarz wyginała się w grymasie głębszego przerażenia.

34

Z szyi pana Y trysnęła fontanna krwi. Mężczyzna uniósł prawą dłoń, lecz zaraz bezwładnie ją opuścił. Wszystko to komisarz widział jak w zwolnionym tempie. Szeroko rozwartymi oczami spoglądał na strzęp skóry zwisający z podbródka gospodarza, na ciemny otwór wielkości pięści zionący w miejscu jego grdyki, na splot różowych ścięgien oraz pulpę czerwonego mięsa. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że z rany wystaje kawałek języka pana Y. Kula musiała przejść bokiem i wyrwać część ciała mężczyzny

tak, że nie pozostawiła otworów wlotowego i wylotowego, ale jedną ogromną dziurę.

Ułamek sekundy później pan Y zwałił się na kolana. Deryle zdawało się, że zastygł w tej pozycji przerażająco długo, choć zapewne trwało to nie dłużej niż mrugnięcie okiem. Następnie upadł bezwładnie na bok, wciąż obficie brocząc podłogę krwią. Jego dłonie uderzyły o podłogę niczym ogon ryby wyrzuconej na brzeg.

– Szlag...

Komisarz, działając automatycznie, przykucnął, kryjąc się za czernionym pomocnikiem. Widział roztrzaskaną szybę w oknie oraz okruchy szkła na podłodze. Nie miał pojęcia, czy w willi mieszkał ktokolwiek poza panem Y. Odgłos z pewnością zwróciłby uwagę przechodniów, ale o tej porze zapewne w okolicy nie było żywej duszy. Domy sąsiadów również znajdowały się w pewnej odległości, do tego większość z nich miała zasłonięte rolety przeciwwłamaniowe, co z pewnością tłumili odgłosy z zewnątrz.

Deryło położył się i powoli przeczołgał w stronę pana Y. Uważał, by nie znaleźć się w polu widzenia nikogo z zewnątrz. Wysokie, wychodzące niemal z podłogi okna nie zapewniały mu szczególnego komfortu, ale strzał musiał paść z poziomu ziemi, gdyż naprzeciw nie było widać żadnych domów. Choć niektóre karabiny snajperskie miały przecież zasięg sięgający niemal dwóch kilometrów, a w ciemności nie miał możliwości dostrzec niczego oddalonego znacznie mniej.

Nadgarstek pana Y był zbryzgany jedynie kilkoma kroplami krwi, jednak komisarz nie wyczuł pulsu. Przeczolgał się bliżej mężczyzny i zerknął na ranę w jego szyi. Nie istniała możliwość, by ktoś z takimi obrażeniami mógł przeżyć. Było to tak samo wykluczone, jak w przypadku człowieka zamordowanego w jego mieszkaniu.

– Szlag... – powtórzył nerwowo, przeczesując palcami włosy.

Rozejrzał się i zaczął czołgać ku biurku. Przez przypadek położył dłoń na okruchach rozbitej szyby. Wstrzymał syknienie, jakby się spodziewał, że wydając głośny dźwięk, pozwoli się namierzyć. Nabrał powietrza i nie zważając, że krwawi, brnął dalej.

Wiedział, że po oddaniu strzału każdy profesjonalny strzelec wyborowy zmienia pozycję. Było to wskazane nie tylko na wojnie, lecz również w przypadku porachunków światka przestępczego. W tym przypadku nie obawiano się strzału wrogiego snajpera, ale ewentualnego namierzenia przez policję.

Wreszcie, ciężko dysząc, komisarz oparł się o masywny bok biurka. Karabin nie miałby problemu z przestrzeleniem nawet najgrubszego drewna, ale nikt nie mógł wiedzieć, że Deryło znajduje się właśnie tutaj. Uważał, by nie rzucić cienia na ścianę ani nie wystawić choćby włosa. Jedyne niebezpieczeństwo mogło go spotkać od strony drzwi. Nie sądził jednak, by ktokolwiek się w nich teraz pojawił. Mimo to położył dłoń na rękojeści pistoletu.

Przez kilka sekund wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z domu. Panowała w nim całkowita cisza, niezmacona choćby najdrobniejszym szelestem. Nawet delikatny przeciąg nie wywoływał żadnego świstu lub jęku. Drzwi, podobnie jak uchylone okna, pozostawały w bezruchu.

Wtem rozległ się niespodziewany dźwięk. Odgłos zasuwanego i rozsuwanego zamka błyskawicznego. Jego tony sprawiły, że Deryło poczuł przeszywający ból głowy. Drżącą ręką wyciągnął z kieszeni stary telefon komórkowy. Nie musiał patrzeć na wyświetlacz, by domyślić się, kto dzwoni. Miał wrażenie, że serce zatrzymało mu się w piersi.

– Widzi pan, która godzina?

– Co?

– Pytałem, czy widzi pan, która godzina.

Deryło odruchowo zerknął na starego tissota. Była za kwadrans piąta, co całkowicie go zaskoczyło, gdyż sądził, że jest co najmniej pół godziny wcześniej. Od razu domyślił się, do czego zmierza porywacz.

– Stracił pan prawie godzinę – stwierdził zgodnie z jego przypuszczeniem. – Z nami naprawdę nie warto pogrywać.

– Ale...

– Los pańskiej partnerki znalazł się w pana rękach, komisarzu. Tymczasem chciał pan spróbować z nami pogrywać i przez to zginał kolejny człowiek. Przyznam, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabić panny Haler. – Porywacz mlasnął. – Wie pan, dlaczego uznałem, że dam jej drugą szansę?

Deryło przełknął ślinę i przesunął się o kilkanaście centymetrów. Wsłuchiwał się w odgłosy rozlegające się w tle rozmówcy, lecz nie mógł wiele wychwycić. Zdawało mu się jednak, że porywacz rozmawia z nim przez tryb głośnomówiący, prowadząc samochód. Pasowałoby to do teorii, że ewakuował się ze swojej pozycji strzeleckiej, wracając w tym momencie do kryjówki.

– Przyjechałem tu ustalić trasę konwoju – wycedził komisarz, opanowując drzenie głosu. Nie miał wątpliwości, że porywacz nie blefuje. Bez wątpienia rozważał zabicie Tamary tylko dlatego, że zjawił się właśnie w tym domu. – Jak mam inaczej działać?

– Pan Y usiłował zrobić coś innego. – Porywacz westchnął. – Nie jesteśmy amatorami, komisarzu.

– Nie wiem, co usiłował zrobić, ale ja od niego oczekiwałem właśnie tego.

– Czyżby? Chce nas pan dalej oszukiwać?

– Nie, nie chcę.

– Panna Haler zapłaci za każde pańskie kłamstwo.

Deryło przeczołgał się przy biurku i dotarł do szafki z komputerem. Starał się poruszać całkowicie bezgłośnie, lecz miał wrażenie, że jego ruchy niosą się echem po całym domu.

– Chcę ją usłyszeć – rzucił, siląc się na żądający ton. – Muszę mieć dowód, że nic jej nie zrobiliście.

– To nie pan jest tu od rozkazywania.

– Jeśli nie dasz jej do telefonu, pieprzę to. Nie ruszę dla was palcem. Uznam, że ją skrzywdziliście i przysięgam, że w końcu was dorwę.

– Komisarzu, komisarzu, komisarzu...

Porywacz teatralnie sapnął prosto w głośnik.

– Skoro to ma pana uspokoić, proszę bardzo – odezwał się po chwili. – Muszę jednak przekazać połączenie. Macie dziesięć sekund i nie silcie się na żadne sztuczki.

Rozległ się szmer, kilka kliknięć, po czym Deryło usłyszał łagodnie wypuszczone powietrze. Najwyraźniej mężczyzna przyłożył telefon do telefonu.

– Tamara?

– Tak, to ja. – Głos Haler lekko drżał, zapewne pod wpływem nerwów, ale nie wydawała się obolała lub skrzywdzona. – Nic mi nie jest, ale nie ufaj tym gnojom. Będą chcieli mnie zabić bez względu na to, co zrobisz.

– Nie, obiecuję ci, że...

Deryło po raz kolejny usłyszał szelest, dźwięk rozłączanego połączenia i ciężki oddech porywacza.

– Staliście się zbyt teatralni. Ale jak pan widzi, wszystko u niej w porządku.

– Na razie.

– Nie mogę dać gwarancji na przyszłość, lecz musi pan mi zaufać na słowo. Nie ma pan nic więcej.

- Jeśli zrobicie jej krzywdę...
- Niech pan sobie daruje to gadanie. To nudne.
- Przysięgam, że was zabiję. I to nie jest tylko gadanie.

Deryło sięgnął po kartkę znajdującą się na drukarce. Zmrużył oczy i zaczął się w nią wczytywać. Powstrzymał się, by nie zakląć na głos.

36

Sierżant Richt wariował od ciszy. Wnętrze więźniarki było na tyle odizolowane od świata zewnętrznego, że nie dobiegały go niemal żadne dźwięki. Sporadyczny szum przejeżdżających aut bądź stłumione trąbienie były jedynymi odgłosami, które towarzyszyły im, odkąd wyjechali. Z kabiny pojazdu nie przedzierał się nawet szmer. Aby się skontaktować, należało przesunąć niewielki szyber oddzielający część przednią od luku transportowego.

Przepisy nie zezwalały na żaden kontakt z więźniem. Co prawda często je naginano i lekceważąc to, z kim się ma do czynienia, prowadzono z aresztantami rozmowy na nic nieznaczące tematy. Czasem wysłuchiowano ich żali lub zaklinań o tym, że są niewinni. Jednak w tym przypadku panowała całkowita cisza.

Stepan Eger nie odezwał się nawet słowem. Siedział wyprostowany, ze wzrokiem wbitym w przesuwane drzwi, a jego pierś falowała w rytmie regularnego oddechu. Sierżant Richt starał się nie patrzeć w jego stronę. Przezornie przez cały czas trzymał dłoń na rękojeści służbowego pistoletu. Jego towarzysz, Wiktor Bruk, był nieopierzonym żółtodziobem, na którym nie mógł polegać. Ktoś powinien odpowiedzieć za przydzielenie do tej

sprawy konwojenta z doświadczeniem jedynie w transportowaniu złodziei i pijaczków.

Richt był podenerwowany od samego rana. Gdy żona robiła mu śniadanie, poprosił jedynie o jedną kanapkę z plasterkiem szynki. Bał się, że w trakcie tak ważnej operacji kiszki odmówią mu posłuszeństwa. Brał udział w wielu konwojach, ale nigdy nie zetknął się z dewiantem podobnym do Egera. Świadomość tego, czego dopuścił się ten człowiek, przerażała go i napawała do niego głęboką odrazą. Jednocześnie, choć Richt usiłował to zrobić, nie potrafił w sobie wzbudzić należytej złości. Złość, oczywiście w pewnej porcji, była bowiem bardzo pożądana. Potrafiła naprowadzić nerwy na właściwe tory i zaprogramować ciało do działania automatycznego, wyrzucając z mózgu niepotrzebne myśli.

Jednak te myśli wciąż się kotłowały i za nic w świecie nie chciały odejść. Wyobrażenia okrutnie okaleczonych ciał, ostatnich minut męki niewinnych ludzi, perwersja, z jaką działał Eger... Nie, w tym przypadku strach był silniejszy od złości. Richt nie mógł nic na to poradzić.

Marzył o tym, by wreszcie dotarli do celu. Marzył o przerwie na kawę i o momencie, gdy wreszcie pozbędą się tego człowieka. Tfu! Nie mógł nazywać tej bestii w ludzkiej skórze człowiekiem. To byłoby obrazą dla całego gatunku ludzkiego.

A jednak złość się gdzieś w nim tliła. Jednak potrafił się na nią zdobyć, choć zapewne na zewnątrz było widać jedynie bezgraniczny strach. Wstydził się tego. Jak cholera się tego wstydził, tym bardziej że Bruk wydawał się całkowicie odprężony. Ot, szaleństwo amatorów. W końcu nieświadome istnienia śmierci dzieci również doświadczają trybu nieśmiertelności.

Nie powinien jednak okazywać strachu... Powinien być wzorem do naśladowania i przykładem znajdującego się na rzeczy wiarusa.

Po dwunastu latach służby musiał się odważyć, by chociaż raz spojrzeć w oczy Złu.

Nie odrywając dłoni od rękojeści pistoletu, powoli podniósł spojrzenie. Przeniósł je po ścianie więźniarki, po rozluźnionej twarzy Bruka, wreszcie wstrzymał oddech i wbił wzrok wprost w twarz Egera. Przeszył go lodowaty dreszcz.

37

Na kartce były wydrukowane współrzędne geograficzne. Tym razem Deryło od razu domyślił się, co oznacza rząd cyfr oraz liter. Miał jedynie nadzieję, że kartka nie przeleżała na drukarce paru dni i umieszczona na niej treść nie dotyczyła jakichś podejrzanych spraw pana Y. Było to mało prawdopodobne, lecz możliwe. Biorąc pod uwagę limit szczęścia, który musiał się wyczerpać, nawet bardzo możliwe. Mimo to komisarz wiedział, że jest to jego jedyna szansa. Wciąż nie wierzył w możliwość uwolnienia więźnia transportowanego z Ukrainy, a nawet gdyby to się udało, wątpił, by porywacze zgodzili się wypuścić Tamarę. Haler mogła żyć tak długo, jak była im potrzebna. Gdy tylko dostaną, czego pragną, natychmiast się jej pozbędą.

– Jest tam pan, komisarzu?

Deryło drgnął. Przycisnął telefon do ucha i przeczołgał się ku drzwiom. Nadal obawiał się, że snajper będzie chciał go zastrzelić. Niby był przekonany, że strzelcem jest porywacz, z którym właśnie rozmawiał, i że mężczyzna ten prowadzi teraz samochód, ale w tym przypadku dopuszczał wyjątkowo duży margines błędu.

– Będę posłuszny – odezwał się, zatrzymując na chwilę w progu pokoju. Ostrożnie wyjrzał zza drzwi, ale na korytarzu nie było

nikogo. – Musicie tylko pozwolić mi działać tak, jak chcę, skoro mam odbić więźnia. To nie jest jakiś cholerny western.

– Ma pan wolną rękę tak długo, dopóki nie próbuje nas oszukać.

– Dobrze, zrozumiałem. Chciałbym w to wierzyć...

– Niech się pan zanadto nie zastanawia. Nie muszę chyba przypominać, że czas ucieka, komisarzu... Konwój niedługo przekroczy granicę.

– Co takiego?

– Dobrze pan usłyszał. Powinien się pan pośpieszyć.

– Sam nic nie zdziałam. Muszę wiedzieć więcej o...

– Sądzę, że już się pan sporo dowiedział. Dziej Zi w czymś panu się przydał, prawda?

– On tylko...

– Skłamał pan, komisarzu. Po raz kolejny. Ale tym razem panna Haler za to zapłaci.

Nim Deryło zdołał zaprotestować, jego rozmówca zakończył rozmowę. Chwilę później komisarz poderwał się na równe nogi i rzucił w stronę klatki schodowej. Nie bacząc na nic, przeskakiwał po kilka stopni, gnany ponurą myślą, że Syzyf tym razem odjechał na dobre. Dane z kartki były jedynym, co mogło mu pomóc. Musiał działać. W tym momencie ryzyko przestawało być istotne, a groźba porywacza skrzywdzeniem Tamary podziałała na komisarza otrzeźwiająco. Przez ostatnie godziny przede wszystkim paraliżował go strach, lecz teraz wreszcie nakręcił go do działania. Co miało znaczyć, że Haler zapłaci za jego kłamstwo? Nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Przynajmniej wiedział, że nagrany na telefonie agonálny krzyk nie należał do niej.

Upewnił się, że pistolet bezpiecznie tkwi w kaburze, i wypadł na dwór. Zerknął na zegarek. Była za trzy piąta, co oznaczało, że naprawdę powinien się spieszyć. Tymczasem, zgodnie z ponurymi przypuszczeniami, nigdzie nie widział bmw Syzyfa.

– Cholera...

Deryło rozejrzał się raz jeszcze i zacisnął pięści. Na uliczce przed posiadłością pana Y nie było żadnego auta. Wokół panowała całkowita cisza. Najwyraźniej o tej porze okoliczni mieszkańcy nadal byli pogrążeni w głębokim śnie.

– No, pięknie... – syknął sam do siebie.

Zerknął na ściskany w dłoni wydruk i obrócił go do światła. Latarnie wciąż się paliły, ale na wschodzie niebo delikatnie przecierał fiolet poranka. Rząd cyfr mówił mu co najwyżej tyle, że wskazuje miejsce położone w pobliżu Lublina, może nawet w samym Lublinie. Nie wiedział niczego więcej i nie miał pojęcia, jak to sprawdzić. Jego znajomość obsługi internetu przez telefon ograniczała się do otworzenia poczty oraz portalu informacyjnego. Wyszukiwarka stanowiła niezbadany grunt. Zaawansowana kartografia i nawigacja również.

Komisarz szybkim krokiem przemknął ku linii rosnących przy ulicy drzew. Wolał schować się w ich mroku, wciąż podświadomie obawiając się, że gdzieś w pobliżu czyha snajper. Czy jego śmierć mogłaby być krzywdą wyrządzoną Haler? Ta myśl wydała mu się wyjątkowo nieprzyjemna, jednak natychmiast ją odsunął. Rozważał wezwanie taksówki lub ściągnięcie Brzeskiego, lecz to drugie wyjście było zbyt ryzykowne. Porywacze nie tylko go obserwowali, ale najwyraźniej mieli również rozeznanie w jego znajomościach. Brzeski, jako policjant, z pewnością nie stanowiłby dla nich mile widzianego towarzystwa.

Deryło uderzył pięścią w otwartą dłoń. Wściekły, starając się coś wymyślić, rzucił się pędem ku głównej ulicy. W tym samym momencie usłyszał warkot silnika samochodu, a po chwili oślepiły go światła. Odskoczył na bok, usiłując schować się we wgłębieniu przy wiacie śmietnikowej jednej z rezydencji. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że kierowca musiał go widzieć.

Auto zwolniło i komisarz odruchowo sięgnął ku kaburze. W tym samym momencie rozpoznał kształt starego bmw. Ze środka wyjrzała pociągła, roześmiana twarz Syzyfa. Mężczyzna pchnął drzwi i wykonał ruch zapraszający go do środka.

– Słyszałem jakiś hałas – odezwał się, gdy Deryło wsiadł do auta. – Chciałem iść do tej chawiry, ale przecież mi pan zabronił... Potem w okolicy przejechał wóz policyjny i spanikowałem. Zresztą na filmach zwiadowcy oraz porządni szoferzy są nieustannie w ruchu. Wtedy nawet wyczulone kamery nie zwracają na nich uwagi i...

Syzyf umilkł, gdy Deryło podsunął mu kartkę niemal pod sam nos.

– Dasz radę wpisać ten adres do nawigacji? To współrzędne geograficzne.

– Widzę, że nie zwalnia mnie pan z etatu.

– Przestań się wydurniać. Jeśli chcesz mi pomóc, musisz się kurewko pośpieszyć.

Deryło otarł pot z czoła i w napięciu zerknął na Syzyfa. Ten wyciągnął komórkę, wykonał kilka operacji, po czym się uśmiechnął.

– Gotowe. To całkiem niedaleko stąd... Co to za miejsce?

Deryło znów musiał skłamać. Ponownie liczył, że jeśli jest na podsłuchu, porywacze niczego nie skojarzą.

– Do mieszkania mojego kumpla. Musi mi pomóc namierzyć pewien konwój...

Syzyf natychmiast dodał gazu i zabębnił palcami w kierownicę.

– To, co robimy, jest na styku legalności, prawda? – zagadnął, uśmiechając się szeroko. – W przeciwnym razie udział cywila byłby stanowczo wykluczony.

– Wtedy byś zrezygnował?

– Gdzie tam! W domu czeka na mnie wyjątkowo wściekła kobieta.

– W takim razie ty też nie masz nic do stracenia.

Szyyf oderwał wzrok od drogi i zerknął na komisarza. Już bez cienia uśmiechu poważnie skinął głową.

– Coś w tym jest, komisarzu. Coś w tym jest.

39

Deryło miał dziwne przeczucie, że w tempie jazdy Syzyfa niebawem dogonią porywacza, który oddał strzał do pana Y. Oczywiście, o ile ten kierował się do kryjówki, a kryjówka ta znajdowała się w miejscu o współrzędnych podanych na kartce odnalezionej na drukarce. Zmiennych było wiele, jednak wszystko do siebie pasowało.

Od samego początku głównym zadaniem pana Y miało być ustalenie lokalizacji, z której zastrzeżony numer nawiązywał połączenie z Deryłą. Takie też dyspozycje przekazał mu Dzej Zi, lecz mimo wszelkich wybiegów oraz prób maskowania mężczyzna musiał się zdradzić. Choć komisarz dopuszczał możliwość, że został wyeliminowany wyłącznie po to, aby go przestraszyć i zmusić do posłuszeństwa, a nie ze względu na cokolwiek innego.

Bez względu na szczegóły oraz motywacje strzelec musiał ewakuować się z kryjówki i powrócić do punktu wypadkowego. Nie było to przesadne założenie, tym bardziej że porywacze

musieli gdzieś przetrzymywać Haler. Jednak w tym przedmiocie komisarz miał rozmaite domysły. Odgłosy kilkukrotnego przełączenia w trakcie ich ostatniej rozmowy sugerował, że obok Tamary znajdował się aparat nastawiony na automatyczne włączanie. Kobieta mogła być przetrzymywana w całkowicie innym miejscu niż to, w którym schronili się porywacze. Zgodnie ze schematem ostatnich lat, statystycznie właśnie tak działo się najczęściej. Wyłomem pozostawali kidnaperzy, zmuszeni w jakiś sposób zajmować się uprowadzonymi dziećmi. Swoją drogą była to jedna z przyczyn coraz mniejszej popularności porywania nieletnich.

– Mamy niezły rozstrzał... – Syzyf zwolnił i rozejrzał się po okolicy. – Zdecydowanie wolałbym mieszkać w dzielnicy tamtych rezydencji...

– Kto mówi o mieszkaniu tutaj?

Deryło zerknął na opuszczone hale i magazyny ciągnące się po obu stronach wyboistej uliczki. Znajdowali się na rubieżach Lublina, w pobliżu dawnych zakładów produkcji samochodów. Teren był opuszczony i zapomniany. Aż dziwne, że nie upominali się o niego żadni deweloperzy, sukcesywnie zalewający betonem każdą wolną działkę.

– Jesteśmy niemal na miejscu.

– Jak dokładnie możemy określić lokalizację ze współrzędnych?

– Myślę, że z precyzją do kilku metrów. Może kilkunastu, ale nie więcej.

Deryło kiwnął głową.

– W takim razie o które miejsce może chodzić?

Po prawej w bladym świetle świtu prężył się szkielet dawnej fabryki. Tuż za nim rozciągał się spory, pusty plac, naprzeciw którego znajdowały się dawne bloki dla robotników. Były to trzy dwupiętrowe szeregowce. To właśnie w ich stronę skinął Syzyf.

– Wydaje mi się, że mowa dokładnie o tamtych budynkach. Może o środkowym z nich.

– Ile byś na niego postawił?

– Ile bym postawił? – Syzyf cicho gwizdnął. – Gdyby to była loteria z możliwością wygrania czegoś ciekawego, jeszcze bym się zapożyczył. Ale ja jestem urodzonym ryzykantem, komisarzu.

– I to mi się podoba. – Deryło wyjrzał przez okno i wskazał na zatoczkę po prawej. – Zgaś światła i zaparkuj gdzieś tutaj.

– Nie podjeżdżamy pod wejście? Dzieli nas kilkaset metrów...

Komisarz nie zwrócił uwagi na to pytanie.

– Wyłącz silnik i czekaj na mnie – stwierdził kategorycznie. – Jeżeli zrobiłoby się gorąco, wiesz chyba z filmów, co znaczy „gorąco”, uciekaj. Nie baw się w bohatera.

– Ale ja...

– Powiedziałem: nie baw się w bohatera. Życie ma niewiele wspólnego z meczem piłkarskim. I z filmem.

Deryło pchnął drzwi, po czym z łomoczącym sercem skierował się ku opuszczonym blokom. Wydawało mu się, że w jednym z okien błysnęło światło.

40

Coraz szybciej robiło się widno, więc jakakolwiek próba ukrywania się w cieniu zrujnowanych zabudowań nie miała sensu. Gdyby ktoś w tym momencie wyjrzał i spojrzał na uliczkę bez wątpienia zobaczyłby skradającego się Deryłę. Dlatego komisarz postanowił pokonać dzielący go dystans jak najszybciej. Poruszał się przy tym cicho i zwinnie. Jeżeli ktoś ukrywał się w budynku przed nim, nie mógł usłyszeć silnika zaparkowanego

kilkaset metrów dalej bmw. W okolicy nie było widać żywej duszy. Dawna hala produkcyjna przypominała śmietnisko i zapewne zimą stanowiła wygodne lokum dla bezdomnych. Obecnie nawet oni wzgardzali takimi warunkami noclegowymi.

Gdzieś z oddali dobiegło dudnienie rozpędzonego tira. Opuszczony kompleks znajdował się niespełna pół kilometra od dwóch bardzo ruchliwych arterii, które dawniej czyniły jego położenie atrakcyjnym. Być może teraz stanowiły jeden z argumentów nakazujących deweloperom kilkukrotne zastanowienie się przed rozpoczęciem inwestycji. Nikt nie chciał mieszkać przy głównej ulicy, do tego nieopodal dawnej robotniczej dzielnicy, gdzie zamiast ducha pracy przetrwały przede wszystkim ubóstwo oraz patologia.

Deryło uważał, by nie potknąć się o walający się na bruku gruz oraz butelki. Zapewne w gorące noce ściągała tu jedynie żądna wrażeń młodzież oraz narkomanii. Przez cały czas nasłuchiwał, starając się wychwycić najdrobniejszy niepasujący do otoczenia dźwięk.

Powstrzymując dyszenie, zatrzymał się przed wejściem do budynku wskazanego przez Syzyfa. Okna były zabite deskami, a błysk światła, który widział przed chwilą, okazał się refleksem mrugającej latarni na jednej z nielicznych ocalałych szyb. Deryło zrobił dwa kroki wzdłuż fasady bloku i wychylił się, zerkając na drzwi prowadzące na klatkę schodową. Westchnął.

Zamknięta, solidna kłódka wykluczała to, by ktoś znajdował się w środku. Nigdzie nie było widać innego wejścia, a konstrukcje zasłaniające okna nie wyglądały na łatwe do zdjęcia. Komisarz przesunął się do najbliższego z nich i ostrożnie dotknął desek. Zostały przybite od środka do jakiegoś stelaża, więc pod jego naciskiem nawet nie drgnęły.

Zaklął w myślach. Czyżby się pomylił? Czy lokalizacja wskazana na wydruku nie była związana z porywaczami Haler? A może

stanowiła kolejną podpuchę, która miała sprawić, że w odpłacie za pychę straci kolejne bezcenne minuty? Tyle że te minuty były dla porywaczy tak samo ważne jak dla niego. Przecież to im zależało na tym, by uwolnić transportowanego mordercę.

Nagle komisarz drgnął. Z boku opuszczonego domu, w miejscu osłoniętym od światła dostrzegł zaparkowane stare kombi. Zdezolowany samochód całkowicie nie pasował do bezludnego otoczenia. Poza tym nieodległa kałuża była rozchlapana, a mokry ślad prowadził właśnie w stronę auta, co znaczyło, że musiało ono po niej przejechać co najwyżej przed paroma minutami. To nie mógł być zbieg okoliczności.

Deryło nabrał powietrza i wyciągnął z kabury pistolet. Krok za krokiem, niczym skradający się kot, ruszył ku drugiemu z budynków. Wreszcie jednym susem dopadł do niego i przyłgnął do ściany. Wstrzymał oddech, nasłuchując jakiegokolwiek szmeru. Wydawało mu się, że gdzieś ze środka dobiega go odgłos rozmowy, ale słowa rozwiewały się i całkowicie zamilkły. Mogły być również szmerem wiatru, zdeformowanym przez jego tonący w adrenalinie umysł.

Komisarz mocniej ścisnął pistolet i przemknął obok okna zasłoniętego jedynie tekturą. Być może dałoby się ją jakoś przesunąć, nie chciał jednak ryzykować przedwczesnego zdradzenia swojej obecności. Przemknął ku głównemu wejściu i z zadowoleniem stwierdził, że te drzwi nie zostały zamknięte na kłódkę. Delikatnie je pchnął, tak że uchylły się zaledwie na kilka centymetrów. Na szczęście stare zawiasy nie wydały żadnego dźwięku.

Na dworze było jednak jeszcze zbyt ciemno, aby poświata dnia mogła rozjaśnić wnętrze. Zdawało się, że panuje w nim kompletny mrok oraz cisza. Budynek zdawał się całkowicie opustoszały.

Deryło ostrożnie, samymi opuszkami palców pchnął drzwi. Tym razem te delikatnie skrzypnęły, lecz odgłos stopił się z cichym

jękiem wiatru przeciskającego się przez otwór okienny. Mimo to komisarz na moment przystanął. Odczekał w miejscu, licząc do pięciu. Dla bezpieczeństwa dorzucił kolejne dwie sekundy bezruchu, po czym wemknął się do środka i, przytrzymując klamkę, przymknął drzwi. Znalazł się niemal w kompletnej ciemności.

Znów musiał stracić kilka sekund, by jego oczy przywykły do panującego w środku półmroku. Powoli rozpoznawał kształty. Załomy korytarza, wyrwane z zawiasów drzwi, fragment ramy okiennej, stos butelek oraz puszek po piwie...

Zrobił krok w stronę najbliższego pomieszczenia. Poruszał się powoli, dziwnie przekonany, że na podłodze poniewierają się szklane odłamki. W tym samym momencie rozległ się stłumiony kobiecy krzyk. Deryło nie miał wątpliwości, że był to głos Haler. Nie zważając na nic, rzucił się w kierunku, z którego dobiegał.

Komisarz długimi, ciężkimi susami pokonywał kolejne metry. Nie zważał na kawałki szkła brzęczące pod jego butami, na to, że słyhać go zapewne w całym budynku, ani na to, że krzyk Tamary nagle się urwał. Nie kalkulował tego. Nie zastanawiał się, co stało się Haler ani czy nadal coś jej się dzieje. Poruszał się automatycznie. Być może zresztą w jego ruchach nie było zawodowego profesjonalizmu, owych schematów wpajanych w trakcie szkoleń, lecz zwykły zew natury. To instynkt mężczyzny, przyjaciela, a przede wszystkim po prostu dobrego człowieka, kazał mu działać. Gdyby trzymał się procedur, zapewne powściągnąłby teraz emocje i nadal się skradał. Tak nakazywały mu rozsądek oraz doświadczenie. Jednak w przypadku, gdy to komuś bliskiemu dzieje się krzywda, rozsądek i doświadczenie nieuchronnie zostają odsunięte na bok. Przystają się liczyć. Dlatego zgodnie z zasadami nikt nie powinien prowadzić śledztwa w sprawie swoich bliskich. Mimo to w tej sytuacji żadne podręcznikowe zasady nie mogły mieć zastosowania. Porywacze zadbali, by komisarz zachowywał się spontanicznie i reagował sprzecznie ze swoim wieloletnim, potężnym doświadczeniem.

Dlatego Deryło popełnił błąd. Przebiegł przez otwór drzwiowy i błyskawicznie wymierzył z pistoletu najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Pomieszczenie było puste. Delikatnie rozświetlało je blade światło wpadające między zasłaniającymi okno deskami. To w jego blasku komisarz dostrzegł leżący na parapecie przedmiot. Gdy zrobił krok w jego stronę, kobiecy krzyk się powtórzył. Ściął krew w jego żyłach i sprawił, że Deryło zmarł

w półkroku. Wtedy zrozumiał, jak łatwo dał się złapać w zasadzkę.

Na parapecie leżał telefon, z którego w regularnych odstępach odtwarzano nagranie. Krzyk Tamary uwieczniono już dawno, zapewne w trakcie jego pierwszej rozmowy z podkomisarz. Powtarzał się dokładnie co kilkanaście sekund.

– Szlag...

Deryło zaklął i natychmiast się odwrócił. Mimo to już było zbyt późno. W chwili, gdy jego spojrzenie omiatało pokój, dobiegł go odgłos kroków stawianych tuż za jego plecami. Ułamek sekundy później gruchnął strzał. Potężny huk poniósł się echem po całym budynku.

42

Mężczyzna nachylił się nad leżącą na ziemi kobietą. Ułożył ją ostrożnie prosto na ściółce leśnej i na szeleszczących liściach. Zapadał zmierzch, a promienie słońca z trudem przebijały się przez korony drzew. Wydawało się, że niebo przybrało kolor krwi.

– Kocham cię – wyznał i się uśmiechnął.

Pochylił się jeszcze mocniej jak do pocałunku. Przez chwilę spoglądał w jej piegowatą twarz, na wąskie usta, prosty nos, wreszcie na przymknięte oczy zwieńczone kreskami rdzawych brwi.

Pocałował jej powiekę. Wyciągnął język i polizał jej kość policzkową, a potem zatoczył koło po łuku brwiowym i nosie. Wreszcie ponownie skupił się na oczodole. W pewnym momencie lekko otworzył usta i wciągnął powietrze. Jego wargi zassały się na gałce ocznej. Wciągał ją tak mocno, że rozboleły go policzki.

Kobieta cicho popiskiwała, lecz środki zwiotczające nie pozwalały na stawienie jakiegokolwiek oporu.

Mężczyzna cały poczerwieniał i zaczął tracić dech. Chciał wyssać jej gałkę oczną, ale nie było to łatwe. Na pewno nie tak łatwe jak wysysanie jajka ze skorupki. Nie tak łatwe, jak mu powiedziano. Może nawet było to niemożliwe?

Wyprostował się, po czym wierzchem dłoni otarł usta i nabrał powietrze głęboko do płuc. Wyciągnął z kieszeni łyżeczkę do herbaty. Choć wszyscy mieli go za głupka, potrafił planować. Tym razem naprawdę przygotował się na rozmaite ewentualności.

Wsunął łyżeczkę między powieki kobiety, po czym tak nią operował, by nie naruszyć gałki ocznej. Słyszał, że Egipcjanie właśnie w ten sposób przeprowadzali mumifikację. Zawsze fascynował go tamten dawny świat mumii, faraonów oraz piramid. Nie wiedział o nim wiele, ale miał kilka książek dla dzieci z wieloma obrazkami. W jednej z nich zaledwie pobieżnie opisano mumifikację, lecz i tak zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Wyciąganie gałki ocznej ustami ponoć zapewniało zmarłemu po śmierci sokoli wzrok. Wyjęcie jej zaś pomocą przyrządów było mniej pożądane, ale przynajmniej nie powinno zmarłym szkodzić. Mówiły o tym liczne znaki... Jak się one nazywały... Hera... Hiero... Nieważne. To nie był moment, by się nad tym przesadnie zastanawiać. Zresztą zastanawianie się nie było jego mocną stroną.

Mężczyzna delikatnie obrócił łyżeczkę, tak że ta podważyła gałkę oczną kobiety. Ta, leżąc, drgnęła, a z jej ust dobyło się bolesne westchnięcie.

Mężczyzna jeszcze mocniej nacisnął łyżeczkę. Z oczodołu popłynęła krew zmieszana z jakimś płynem. Jednocześnie gałka oczna kobiety znalazła się niemal w całości na wierzchu, przypominając kształtem nieco rozlane jajko w koszulce. Biało było rozbite, lepkie i ciekące. Oderwanie nerwów oraz

rozmaitych przyczepów wymagało nieco siły, do tego mężczyzna użył kości jako podpórki dla dźwigni. Rozległo się cmoknięcie, po którym gałka oczna wypadła na ziemię. Natychmiast oblaży ją mrówki i oblepiło ją igliwie.

– Cholera... – Mężczyzna się skrzywił, ale po chwili ponownie skupił całą uwagę na kobiecie.

Gałka oczna była mniej ważna niż mózg. To jego wyssanie stanowiło ponoć najważniejszy moment procedury mumifikacji. Dokonywano go przez oczodół lub nos, ale mężczyzna uznał, że ten pierwszy wariant jest znacznie ciekawszy. A on przecież uwielbiał zaspokajać ciekawość.

Był dosłownie jak dziecko. Powtarzano mu to wielokrotnie.

43

Ogłuszony Deryło odruchowo się skulił. Schował głowę między ramiona i mocniej ścisnął pistolet. Jednak w tym samym momencie ktoś z impetem rąbnął go czymś twardym w plecy. Paralizujący ból sprawił, że pochylił się i zachwiał. Wtedy zadano mu drugi cios. Pręt lub inny metalowy przedmiot trafił go w prawe ramię. Palce dłoni mimowolnie rozprostowały się i wypuściły pistolet. Komisarz z trudem zebrał siły, by nie zwalić się na podłogę. Oszalały z bólu usiłował pochwycić pistolet, lecz wówczas usłyszał krótkie, niepozostawiające złudzeń polecenie:

– Niech pan nie próbuje. Chyba że chce mieć pan dziurę w głowie.

Deryło z trudem się wyprostował, ale wciąż stał zwrócony plecami do napastnika. Ramię pulsowało mu, jakby przybierało rozmiary arbuza.

– Właściwie to i tak pan niebawem będzie trupem, komisarzy.

– Więc po co to wszystko?

Deryło odwrócił się z godnością, powstrzymując bolesny tik. Po intonacji wiedział, że oto staje twarzą w twarz z osobą, która wcześniej maskowała głos za pomocą urządzenia kodującego. Teraz spoglądał w zimne, niebieskie oczy dość przystojnego Słowianina. Mężczyzna miał typowe, wschodnie rysy, ciemnoblonde włosy, kwadratową twarz i mocne kości policzkowe. W dłoni trzymał ogromnego desert eagla, pistolet, który nie robił dziur w głowie, a po prostu ją odrywał. Wystarczył jeden strzał.

– O mały włos, a byśmy pana nie docenili. Tymczasem cholernie nas pan zawiódł...

– Gdzie jest Tamara?

– Czyżby chciał pan zginąć razem z nią? W zasadzie od samego początku dopuszczaliśmy tak romantyczny scenariusz.

– Polacy mają romantyzm w genach.

To ostatnie zdanie wypowiedział mężczyzna, który wszedł do pomieszczenia od strony korytarza. Był bardzo podobny do drugiego, właściwie nie budziło wątpliwości, że są braćmi. Różnił ich jedynie głos. Drugi z mężczyzn, nieco starszy, znacznie wyraźniej zaciągał. Komisarz natychmiast zrozumiał, że to z nim rozmawiał przez telefon przed paronastoma minutami. Wcześniej, zdenerwowany, nawet nie zwrócił uwagi na naturalnie brzmiący głos.

– Co wam da jej śmierć? – Deryło kątem oka starał się zlokalizować pistolet, ale okazało się, że ten leży dobre trzy metry od niego. Nie miał szansy do niego doskoczyć i nie zostać dosłownie rozstrzelanym. – Ten cały Eger to wasz kumpel? Zdawało mi się, że to żaden gangster, tylko zwykły, psychicznie chory seryjny morderca. A do tego gwałciiciel.

– Nic pan o nim nie wie.

– Wiem wystarczająco, żeby go ocenić. Został skazany za ohydne zbrodnie, za które osobiście wolałbym posadzić go na krześle elektrycznym.

Pozornie hardy ton Deryły był jedynie popisem jego umiejętności aktorskich. W rzeczywistości serce komisarza waliło jak oszalałe, a płuca wołały o zwiększoną porcję tlenu. Coraz trudniej panował również nad drżącymi dłońmi.

– To, co zrobił Stepan, nie jest pańską sprawą. – Młodszy z mężczyzn potrzęsął desert eaglem. – Pańskim zadaniem było pomóc nam w jego uwolnieniu. Nie chcieliśmy niczego więcej, a pańska współpracownica została uwolniona.

– Tak jak dwie osoby, które zabiliście na moich oczach?

– Ci obaj mężczyźni mieli powód, by zginąć. Może być pan o to spokojny.

– Nie wam decydować o życiu ludzkim...

Bracia spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się sarkastycznie. Starszy z nich powoli pokiwał głową.

– Podoba mi się pan. Jest pan... Jak to się mówi... *Krutym chłopcem*. Szkoda, że nie zdecydował się pan z nami współpracować.

Mężczyzna uniósł dłoń, w której trzymał colta M1911. Najwidoczniej obaj porywacze mieli upodobanie do amerykańskiej klasyki.

– Trudno. – Mlasnął i powstrzymał się przed splunięciem. – Będziemy musieli poradzić sobie sami. Znany komisarz polskiej policji miał być kluczem do zamka, ale zmienimy plan i poszukamy sobie innego... W ostateczności je wyłamiemy.

– Musisz popracować nad dykcją i metaforami. – Deryło zrobił pół kroku w stronę napastnika. Napiął wszystkie mięśnie, gotów nagle rzucić się na niego, lecz wiedział, że szansa, iż dopadnie go żywy, jest bliska zeru.

Mężczyzna roześmiał się i wycelował wprost w pierś komisarza.

– Straciliśmy zbyt wiele czasu... – Wzruszył ramionami. – Żegnaj, Eryku.

Ułamek sekundy później huknęły dwa strzały, po których nastąpiła cisza.

44

Deryło nie czuł bólu. Przez kilka sekund stał nieruchomo, pewny, że śmierć, niczym fala uderzeniowa, lada moment przetoczy się po całym jego ciele i powali go na ziemię. Nic takiego się nie działo.

Poruszył dłonią, a wtedy odezwał się jedynie ból w stłuczonym przed chwilą barku. Nie czuł, by po jego ciele spływała krew. Być może rana była tak poważna, że już teraz był martwy. Przez myśl przeszło mu, że po śmierci zachowuje się jeszcze na jakiś czas świadomość. Sekundę, dwie lub dziesięć. Nie dłużej.

Za chwilę zniknie. Zapadnie się w wiecznym niebycie, a jego ciało trafi do grobu lub zostanie zalane betonem. Może wyląduje na dnie rzeki albo jeziora. Chyba że... Chyba że śmierć wyglądała właśnie w ten sposób. Tracił jedynie więź z ciałem, które nie reagowało na żadne bodźce.

A jednak... Przecież czuł ciśnienie barku, klucie w uchu i pot spływający po plecach. Wszystkie te rozważania, choć zdawały się trwać całe minuty, nie zajęły dłużej niż kilka mrugnięć oczami. Wtedy komisarz zakodował, że przez ostatnie sekundy trzymał je zamknięte. Tak zadziałał bezwarunkowy odruch powiązany z hukiem i przekonaniem, że zostanie się zranionym przez pocisk.

Wstrzymując powietrze, otworzył oczy. Niespełna trzy metry od niego na podłodze leżały dwa ciała. Obaj porywacze byli całkowicie nieruchomi. W czole młodszego z nich znajdował się otwór

wlotowy wielkości dwuzłotówki. Miał otwarte oczy, które zastygły w wyrazie bezgranicznego zdziwienia. Jego mózg wylał się na podłogę i upstrzył ją szaro-czerwonym deseniem.

Drugi z mężczyzn leżał na nogach towarzysza, dziwnie skulony i zdeformowany. Siła wystrzału sprawiła, że jego głowa obróciła się pod nienaturalnym kątem. Wydawało się, jakby skręcił kark, lecz oczywistą przyczyną śmierci był postrzał. Deryło widział zarówno ranę wlotową, tuż nad lewym policzkiem, jak i wylotową, na szczycie czaszki. Kula niemalże wyrwała całą jej pokrywę, ściągając z mężczyzny skalp. Krwawy bryzg znaczył całą ścianę. W panującym w pomieszczeniu półmroku krew miała czarny kolor, lecz komisarz odnotował, że wcześniej powierzchnia była czysta. Być może stanowiła jedyne czyste miejsce w pomieszczeniu.

Drgnął. Opanował pierwszy szok i rozluźnił mięśnie. W tym momencie to, co się z nim stanie, było dla niego całkowicie bez znaczenia. Sparaliżowała go całkowita obojętność, spod której dopiero po chwili wynurzyły się naturalne instynkty. Jeszcze szerzej otworzył oczy, pohamował krzyk i zacisnął usta. Drżącą dłoń zacisnął w pięść. Dopiero wtedy zapanował nad swoim ciałem na tyle, by móc przestąpić z nogi na nogę i się obrócić.

Wbił spojrzenie w rozpartego w wejściu do pomieszczenia Syzyfa. Mężczyzna stał całkowicie rozluźniony, z opuszczonym pistoletem i opierał się barkiem o framugę. Wydawało się, że jatka, która rozegrała się przed chwilą, nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Nie miał już na sobie bluzy z logiem Motoru Lublin, lecz marynarkę zarzuconą na czarny T-shirt.

– Zobaczył pan ducha, komisarzu? – Uśmiechnął się i puścił do Deryły oko. – Duchy nie domagają się medali, prawda?

– Niech cię szlag. Wiedziałem, że...

– Że co?

– Że coś jest z tobą nie tak. – Deryło zamrugał, jakby w ten sposób chciał powstrzymać paraliżujący ból głowy i spojrzał prosto w oczy Syzyfa. – Kim jesteś? Co cię łączy z tymi sukinsynami?

– Jeśli pan się tego obawia, zapewniam, że nie byli moimi współnikami.

– Nie interesuje mnie, kim nie byli. Interesuje mnie, kim ty jesteś i czego ode mnie chcesz. Gdzie jest Tamara?

– Jest pan cholernie ciekawskim człowiekiem, komisarzy.

– Myślałem, że to, co mówiłeś o żonie... O meczach i tak dalej... Szlag.

Świadomość głębokiej pomyłki co do natury Syzyfa jeszcze mocniej wzmagała ogólne rozbitcie komisarza. Choć powróciły już jego poczucie rzeczywistości i chęć życia, a wraz z nimi strach, czuł się piekielnie rozczarowany. Sobą oraz swoim losem. A może również Bogiem. Zawiodło go wszystko, w co wierzył najmocniej. W co kiedykolwiek wierzył.

Syzyf sapnął i znacząco obrócił w dłoni pistolet.

– Proszę się nie zadręczać. Nie miał pan możliwości ani mnie rozgryźć, ani trafić na jakikolwiek ślad prawdy. Gra toczy się z najlepszymi z najlepszych, a pan... Nie umniejszając panu, jest ledwie komisarzem policji na wschodzie Polski. Dobrym, nawet bardzo dobrym, ale ci dwaj byli o niebo lepsi od pana.

– Mówisz o nich, jakby również byli gliniarzami.

– Ależ pan ciągnie za język... – Syzyf parsknął. – Ale niech pan słucha uważnie. Mam dla pana dobrą i złą wiadomość. Tamara Haler wciąż żyje, a jeśli wszystko pójdzie gładko, odzyska wolność.

Deryło przeniósł wzrok na pistolet Syzyfa i westchnął. Obawiał się, że na tym dobre wiadomości się kończą.

– Jaka jest ta zła wiadomość?

– Ci gnoje mieli rację, jest pan cholernie ciekawski, komisarzy.

Tuż obok rozległ się cichy stukot. Syzyf błyskawicznie odwrócił wzrok i zerknął na ciała zastrzelonych mężczyzn. Dłoń młodszego zsunęła się z nogawki jego towarzysza i spadła na podłogę. W tym momencie Deryło uznał, że musi wykorzystać szansę.

45

Wybór był trudny. Od leżącego na podłodze pistoletu Deryłę dzieliły trzy kroki, co, biorąc pod uwagę czas reakcji Syzyfa, stanowiło spory dystans. Nieco bliżej miał do okna, które, jak sądził, było zasłonięte jedynie przegniłą dyktą. Przynajmniej starał się sam siebie do tego przekonać. Gdyby się pomylił, konsekwencje mogły być opłakane.

Mimo to zadziałał automatycznie. W momencie, gdy mężczyzna wciąż patrzył na ciała porywaczy, zebrał wszystkie siły i jednym susem dopadł do parapetu. Z impetem uderzył barkiem w wypełnienie okna. Nie zważał na ból ramienia, lecz momentalnie poczuł podekscytowanie, zdając sobie sprawę, że wypada na zewnątrz. Na szczęście wylądował na trawie, przeokoziółkował i natychmiast się podniósł. Rzucił się pędem za róg budynku.

Usłyszał dobiegające zza pleców przekleństwo, dźwięk rozbijanej dykty, a potem tupot kroków. Nie odwracał się. Gnał jak oparzony. Pędził slalomem, spodziewając się, że w każdej chwili może gruchnąć wystrzał, jednak Syzyf najwyraźniej wołał nie ryzykować. A może po prostu jeszcze nie znalazł dogodnej pozycji.

Dyszząc z wysiłku, komisarz skierował się ku stojącemu dwieście metrów dalej bmw. Auto było ustawione przodem ku wyjazdowi

z terenu fabryki, lecz wbrew jego poleceniu miało zapalone światła. Najwyraźniej Syzyf szykował się do szybkiego odjazdu, pewien, że nikt nie poważy się ukraść jego samochodu. Silnik był odpalony, co dodało Deryle jeszcze więcej sił. Łut szczęścia jest najlepszą motywacją do przetrwania.

Od wielu minut działał jak maszyna. W tym momencie jego głowa była pozbawiona jakichkolwiek myśli. Nie zastanawiał się, kim tak naprawdę byli Syzyf oraz porywacze. Nie analizował tego, co wydarzyło się przed chwilą. Instynkt przetrwania nakazywał mu po prostu działać. Wiedział, że w bmw są dokumenty wręczone mu przez Dżeja Ziego i że to w nich może kryć się odpowiedź na jego pytania. Musiał się tylko skupić. Nie mógł popełnić błędu, choć czuł, że teraz Haler może być w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż wcześniej. Porywacze zdawali się mieć jakiegokolwiek skrupuły, w ich słowach dostrzegł jakąś racjonalność, tymczasem Syzyf... Myśl ponownie nie zdołała się ukształtować.

Całą uwagę komisarza pochłonęły kolejne czynności. Szarpnął drzwi auta, wskoczył do środka i z ulgą zauważył, że silnik rzeczywiście pracował. Kluczyk był w stacyjce. Wystarczyło wrzucić bieg i dodać gazu. Koła zabuksowały na zwirowej nawierzchni, a po chwili bmw wyrwało do przodu.

Komisarz zerknął w lusterko. Syzyf był kilkadziesiąt metrów za nim i właśnie przykucał. Złożył się do pozycji strzeleckiej, mierząc w auto.

– Szlag...

Deryło nie odnotował, jaką bronią się posługiwał, ale większość współczesnych pistoletów nie miała problemu ze zrobieniem z blaszanego samochodu durszlaka. Karoseria oraz kanapa stanowiły słabą osłonę. Poza tym gdyby Syzyf przestrzelił opony musiałby uciekać na piechotę, a ostatnie sto metrów do wyjazdu

na główną ulicę znajdowała się na całkowicie odsłoniętym terenie. Wystawiłby się na cel jak rzutka podczas konkursu strzeleckiego.

Wtedy rozległ się cichy brzęk. Pocisk spenetrował bagażnik i utkwiał gdzieś w środkowej części kabiny. Deryło gwałtownie poruszył kierownicą, tyłem auta zarzuciło, lecz po chwili zdołał je opanować. Tym razem pusta przestrzeń okazała się wybawieniem.

Z ogromną prędkością, licząc, że nie rozpoczął się jeszcze poranny ruch, wypadł na ulicę. Niemal jednocześnie rozległo się szaleńcze trąbienie oraz poniósł pisk hamulców. Komisarz kątem oka dostrzegł pędzącego prosto na niego tira.

46

Tir zbliżał się z zabójczą prędkością. W razie zderzenia z bmw zostałyby niewiele więcej niż zgnieciona puszka konserw. Deryło wcisnął gaz do dechy i gwałtownie obrócił kierownicę. Na szczęście drugi pas jezdni był całkowicie pusty. Samochód wpadł w poślizg, uderzył bokiem felg o krawężnik, potem odbił w prawo i niemal otarł się o pędzącą ciężarówkę. Świst powietrza zdawał się nigdy nie kończyć. Złomotem, niczym tornado, przetoczył się po kabinie bmw.

Wreszcie komisarz zdołał w pełni opanować pojazd i wrócił na właściwy pas ruchu. Z ulgą przeczesał palcami zroszone potem włosy. Dyszał. W końcu zirytowany uderzył dłonią o kierownicę.

– Sukinsyn...

Nie wiedział, dokąd powinien jechać. Rozwahał udanie się do Dżeja Ziego, ale po chwili odrzucił ten pomysł. Tatuażysta nie

mógł mu już w niczym pomóc. Co najwyżej, zjawiając się u niego, naraziłby go na niebezpieczeństwo. Nic więcej.

O co w tym wszystkim chodziło? Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź na to kluczowe pytanie. Domysły zdawały się całkowicie abstrakcyjne. Przez kilka minut jechał z regulaminową prędkością, starając się zebrać myśli, ale te rodziły się, przekształcały w surrealistyczne imaginacje i znikwały.

Kilkukrotnie zerknął w lusterko, lecz nie dostrzegł żadnego śladu pościgu. Syzyf najprawdopodobniej został bez auta. Nie stało to oczywiście na przeszkodzie, by podążył za nim ukradzionym pojazdem. Z pewnością nie zawahałby się zdobyć go nawet siłą i przy użyciu broni. Przez krótki moment, gdy znajdowali się w opuszczonym budynku, Deryło dostrzegł w jego oczach bezgraniczne zło. Zło, które widział tylko kilkakrotnie w spojrzeniach najokrutniejszych zwyrodnialców. Morderców, gwałcicieli i pedofili. Na samo wspomnienie zagryzł wargę i ciężko sapnął.

Zerknął na teczkę leżącą na siedzeniu obok. Informacje przekazane mu przez Dżeja Ziego wciąż czekały na przejrzenie. Może w końcu nadszedł na to właściwy czas?

Znacznie zwolnił i rozejrzał się, starając się zorientować, gdzie jest. Przez ostatnie minuty jechał, nie zważając na otoczenie, po prostu przed siebie. Dotarł na wylotówkę z Lublina, jakby umysł sugerował mu ucieczkę. W ostatnim momencie, zamiast włączyć się do ruchu na głównej jezdni, skierował się ku drodze zjazdowej.

Zamierzał zatrzymać się gdzieś na uboczu i spokojnie przejrzeć wszystkie dokumenty. Kim dokładnie był Stepan Eger? Może poza karierą seryjnego mordercy w jego przeszłości kryły się wskazówki do zrozumienia tego, co się działo? W głowie komisarza po raz kolejny pojawiła się myśl, że mężczyzna był członkiem zorganizowanej grupy. Istniały przecież całe kluby morderców, z mottami i wewnętrznymi zasadami etyki.

Niektórzy psychopaci mieli zadziwiającą zdolność odnajdywania pokrewnych dusz. Przykładów było wiele, z pewnością na ten temat Tamara wiedziałaby więcej, ale właśnie taki scenariusz wydał się Deryle najbardziej prawdopodobny. Gdyby okazał się prawdziwy, w informacjach dotyczących Egera mogłyby tkwić wskazówki, jak poradzić sobie z resztą jego towarzyszy. Tylko kim była reszta? Jaki był związek porywaczy oraz Syzyfa? Przecież wydawało się wykluczone, by należeli do tej samej bandy. Przynajmniej teraz. Choć pozornie grali do jednej bramki, obaj Ukraińcy zostali bezwzględnie wyeliminowani z boiska.

Deryłę przebiegł nieprzyjemny dreszcz. W kieszeni poczuł wibrację komórki. Po chwili rozległ się dźwięk rozsuwanego i zasuwanego zamka błyskawicznego. Teraz zrozumiał jego znaczenie. Był to zamek worka na zwłoki.

47

– Nie może pan uciec, komisarzu. Dokądkolwiek się pan nie wybierze, zawsze za panem podążę. Ja albo kolejni. Nigdy nie będzie pan spokojny aż do momentu, gdy w końcu oboje zginiecie. Pan oraz podkomisarz Haler.

Deryło zjechał na pobocze i włączył światła awaryjne. Przygryzł wargę. Wolał nie zwracać na siebie uwagi, lecz był zbyt rozstrojony, aby jednocześnie rozmawiać z tym szaleńcem i prowadzić. Ryzyko dostrzeżenia przez jakiś patrol dziurki po pocisku było mniejsze niż roztrzaskania się o inne z aut w coraz większym porannym ruchu.

– Musi pan wreszcie zrozumieć, że nie ma żadnego wyboru. Jest pan jedynie mało znaczącym elementem w całym systemie

zdarzeń.

Komisarz nic nie odpowiedział. Przyciskał słuchawkę do ucha i starał się zebrać myśli. Z głośnika dobiegał spokojny, nieco ironiczny głos Syzyfa.

– Tkwi pan w tym gównie zbyt wiele lat, by mieć złudzenia. Uwierzy pan, że tamci dwaj, których zastrzeliłem, kiedyś byli agentami ukraińskiego wywiadu? Jeden sam zrezygnował, a drugi został z niego wyrzucony. Wiem, że pan dobrze mnie słyszy, komisarzu i radzę nie uronić z tego, co mówię, nawet słowa.

– Mów więc dalej. – Deryło błyskawicznie przekalkulował sytuację i uznał, że nie ma żadnego atutu. Nie mógł nawet grać na czas. Starał się jedynie właściwie zakwalifikować informację o przeszłości zamordowanych mężczyzn, ale ta nie wydawała się do niczego przydatna. Co najwyżej wprowadzała jeszcze większy zamęt. – Zależy mi, aby Tamara wyszła z tego cało. Chcę wiedzieć, gdzie jest.

– Ho, ho! Tego ja również nie wiem. A przynajmniej nie jestem pewny, choć udało mi się co nieco podsłuchać.

– Czego chcesz?

– To była ta zła wiadomość, której nie zdążyłem panu przekazać. Domyśla się jej pan?

– Być może.

– Jestem pewny, że tak. Ale powiedzmy to wprost. – Syzyf na moment zamilkł, po czym cicho zagwizdał. – Fanfary, werble, akcja!

Deryło się skrzywił, lecz wciąż trzymał telefon aż nazbyt mocno przytknięty do ucha.

– Pańskie zadanie pozostaje aktualne bez względu na jego mocodawców. Jedyne zmiany polegają na tym, że teraz to mnie ma pan dostarczyć Egera.

– Co takiego?

- Nie przesłyszał się pan.
- Przecież to jest niewykonalne. Czy wy wszyscy postradaliście zmysły? Jak niby mam...
- Syzyf wszedł komisarzowi w słowo.
- Owszem, jest całkowicie wykonalne. Pomogę panu.
- Skoro nie wiesz, gdzie jest Tamara, po co miałbym ci pomagać? Wiesz co, pieprz się!
- Hola, hola, komisarzu! – Syzyf nie wydawał się ani odrobinę zbity z tropu ostrzejszym tonem Deryły. – Po pierwsze, domyślam się, gdzie może być pańska podwładna. Po drugie, wiem, jak się tego dowiedzieć. A po trzecie, wiem, co jej grozi. Chce pan to usłyszeć? Powiem panu, komisarzu...
- Każde kolejne słowo przyprawiało Deryłę o szaleństwo.

48

„Podkomisarz Haler została pochowana żywcem”.

„Tlenu wystarczy jej na niewiele dłużej, niż wyznaczono panu na odbicie Stepana Egera”.

„Dla pewności, w jej trumnie umieszczony został również ładunek z zapalnikiem czasowym, oczywiście skorelowanym z tym samym terminem”.

Te trzy informacje wystarczyły, by w Deryle zagotowała się krew, a potem ścięła się niczym lód. Komisarz dosłownie fizycznie zdrętwiał. Odebrało mu dech, a serce zdawało się przez kilkadziesiąt sekund martwe, by nagle uderzyć ze zdwojoną siłą.

Tego, co wydarzyło się później, niemal nie pamiętał. Wiedział, że kilkakrotnie usiłował dowiedzieć się, kim naprawdę jest Syzyf i dlaczego chce uwolnić seryjnego zabójcę. Oczywiście nie uzyskał

żadnych informacji. Błagał o wydłużenie czasu i tłumaczył, że nie jest w stanie zatrzymać konwoju z transportowanym zbrodniarzem. Wszystko trafiało jak o ścianę. Jedyne groźby wobec Haler pozostały jasne i całkowicie bezpośrednie. Tym bardziej że do ich zrealizowania pozostało już tylko kilka godzin.

Szyf się rozłączył i chyba dopiero wtedy Deryło wpadł w autentyczny popłoch. Opuściło go powoli nacierające po nieprzespanej nocy zmęczenie, lecz nowo rozbudzona energia nie nastrajała pozytywnie, a przyprawiała o obłąd. Rozsadzała go niczym zamkniętego w klatce jaguara.

Komisarz nie miał pojęcia, kiedy dotarł do swojego mieszkania. Była to jego bezpieczna oaza, przystań, która miała pozwolić mu zebrać myśli. Jednak nagle, jak przebudzony, przypomniał sobie o leżących w salonie zwłokach Clyde'a, zapewne już stężałych i powoli nabierających trupich kolorów.

Na sztywnych nogach przeszedł w tę i we w tę po przedpokoju. Nie mógł się zdecydować, by pójść do gabinetu, mając za ścianą umarlaka. Nie potrafiłby się na niczym skupić. Poza tym... Myśli nadal rwały mu się i nie znajdowały logicznych zakończeń.

Rzucił na ziemię dokumenty odnalezione przez Dżeja Ziego, po czym upewnił się, że przekręcił zamek w drzwiach. Były to solidne antywłamaniówki, które jednak nie mogły oprzeć się ani policyjnemu taranowi, ani technikom szaleńców. Mimo to komisarz musiał zdobyć choć pozory spokoju.

Wreszcie jak struty pomaszerował do łazienki, wyjął z szafki długi koc kąpielowy i z postanowieniem zakrycia nim Clyde'a skierował się do salonu. Z ociąganiem zapalił światło. W tym samym momencie stanął jak wryty, po czym przeciągle zaklął. W pomieszczeniu nie było ani zwłok, ani śladu po krwawych rozbryzgach.

W kilku miejscach na ścianach Deryło dostrzegł smugi, jakby po szorowaniu. Wydawało mu się, że czuje również specyficzny zapach ostrych środków czyszczących, ale mogło to być jedynie złudzenie zmęczonego umysłu. Mimo wszystko nie był aż tak zmęczony, by oszaleć. Niejednokrotnie pochłonięty pracą nie spał po dobę lub dwie.

Jednak faktem było, że w jego mieszkaniu jeszcze niedawno leżał martwy, sztywny jak kołek facet, a teraz nie został po nim choćby ślad. Gdyby ktoś opowiadał mu tę historię, zapewne na tym etapie z niedowierzaniem kręciłby głową lub parskał zirytowany nadmierną wyobraźnią rozmówcy. W tym momencie nie było mu jednak ani trochę do śmiechu.

– Boże... – sapnął, obracając między palcami srebrny sester. Moneta spoczywała w kieszeni jego spodni jako nigdy niedziałający amulet. – To obłąd!

Podparł się o stół i schował głowę między ramionami. Przez chwilę ciężko oddychał, starając się uspokoić. Znów zerknął na podłogę, lecz trup nadal się nie pojawił. Komisarz również nie obudził się ani nie pojawił się nikt z trąbką i kolorowym kapeluszem na głowie, oznajmiając mu, że to wszystko jest jedynie ponurym żartem. Nie. To, co się działo, było cholernie ponurą i prawdziwą rzeczywistością.

– Chrzanić to.

Deryło gwałtownie się wyprostował i ruszył w stronę gabinetu. Nieważne, w jaki sposób zniknęły zwłoki Clyde'a ani po co miał uwolnić Egera. Liczyło się tylko to, że Tamara była w śmiertelnym niebezpieczeństwie i musiał coś z tym zrobić.

Musiał ją uratować. Każda sekunda stracona na roztrząsanie szaleństwa mogła zaważyć na jej życiu.

Ostrożnie zerknął do kuchni, upewniając się, że nikt się w niej nie ukrył. Sprawdził również sypialnię oraz dawny pokój córki. Zajrzał pod jej łóżko, a nawet odsunął zasłonę. Nie chciał przez cały czas czuć na karku dreszczu, wywołanego poczuciem, że ktoś może go obserwować. Że ktoś może stać tuż za jego plecami albo mierzyć mu w głowę z pistoletu. Dość. Musiał wreszcie przejąć inicjatywę i należało zabrać się za to od siebie. Własne nastawienie było podstawą.

Po zakończeniu przeszukania mieszkania Deryło sięgnął po rzuconą na podłogę teczkę i skierował się do gabinetu. Nie chciał tracić czasu na robienie kawy, więc po drodze wyjął z lodówki dwa napoje energetyczne oraz opakowanie łososia. Pochłonął to wszystko nie przez apetyt, właściwie nie był ani trochę głodny, ale mając świadomość, że musi dostarczyć organizmowi jak najwięcej energii. Jednocześnie przerzucał kolejne kartki wydruku wręzonego mu przez Dżeja Ziego.

Dokumenty w głównej mierze dotyczyły Stepana Egara oraz stanowiły wyciąg z akt śledztwa prowadzonego w związku z kilkunastoma mordami. Protokoły przesłuchań, notatki z rozpytań policyjnych, kilka ekspertyz biegłych oraz sprawozdania patologów. Wszystko wydawało się standardem spotykanym w większości podobnych przypadków i nie różniło zbyt wiele od polskich akt. Na szczęście wydruk stanowił pewną kompilację, przez co całość zmieściła się do jednej teczki, zamiast trafić do kilkudziesięciu tomów akt. Chyba że Ukraińcy po prostu byli bardziej treściwi.

Po blisko godzinie przerzucania stron Deryło poczuł zniechęcenie. Nie odnalazł niczego, co pomogłoby mu ruszyć do przodu, a już na pewno ani jednej informacji, dzięki której przybliżyłby się do uwolnienia Egara. Ani jednej wskazówki

przydatnej do odnalezienia Haler. Zdał sobie sprawę, że odruchowo przez cały czas składał żurawie origami, które, pomięte, kolejno lądowały w koszu lub obok niego. Na podłodze leżało kilkanaście zgniecionych papierowych ptaków.

Deryło zerknął na cyferblat tissota. Minęło już wpół do ósmej i na dworze zrobiło się zupełnie jasno. Mimo to nie zdecydował się podnieść żaluzji. Wciąż pracował niemal w zupełnym półmroku przy bladym świetle przesączającym się do środka. Z irytacją przerzucał kolejne strony. W momencie, gdy w duchu zapewniał się, że powinien z tym skończyć, coś przykuło jego uwagę. Przyglądał kartkę i spojrzał na czarnobiałe zdjęcie.

Nagle podekscytowany zabębnił palcami o biurko. Wreszcie na coś trafił.

50

Pomieszczenie było przestronne, pomalowane na zielono, a na jego środku stał stół bilardowy wykonany z egzotycznego drewna. Zwieszała się nad nim trójpunktowa lampa, która dawała żółte, ciepłe światło. Żarówki o niskiej mocy z trudem radziły sobie z kłębamii gęstego dymu wypuszczanego przez palącego cygaro mężczyznę. Postawny blondyn miał około pięćdziesięciu lat, nalaną twarz, podkrążone oczy i bliznę na podbródku. Był ubrany w czarne, zaprasowane w kant spodnie oraz czerwoną koszulę. Towarzyszył mu znacznie drobniejszy, łysiejący okularnik w szarym, przydużym garniturze z krwistoczerwoną poszetką.

Mężczyźni trzymali kije do bilarda, lecz od dłuższego czasu nie grali. Blondyn opierał się o krawędź stołu i co chwilę spoglądał na zawieszony na jednej ze ścian zegar okrętowy. Wyraźnie mu się

śpieszyło. Popalał cygaro, nie zważając na to, że popiół spada na elegancki dywan. Obok niego na mahoniowym, przenośnym barku stała zamknięta butelka szampana. Oba kieliszki były suche i puste.

Okularnik był całkowicie opanowany, spoglądał na towarzysza z wyrazem kpiącego lekceważenia i w zamyśleniu odruchowo skubał palcami podbródek. Wyglądał na znudzonego.

– Nie mamy czasu na rozważanie „za” i „przeciw” – tłumaczył blondyn. – Mój szef chce mieć czystą sytuację, rozumiesz? A lada moment będzie to niemożliwe.

Okularnik mlasnął i spojrzął na układ bil na stole. Nie pamiętał już nawet, które są jego. Kilkunastominutowa rozgrywka stanowiła ich zwyczajowy ekwiwalent *small talku*. Potem przeszli do rzeczy. Żałował, że nigdy nie udało się im dokończyć choć jednej partyjki.

– Twój szef nie ma nic do gadania – odparł oschłym tonem. – To nie jest jego sprawa. Nie powinien się mieszać – ani on, ani ty.

– Sądzę, że każda sprawa dotycząca eksperymentu jest po prostu wspólna.

– Wspólna? Rzeczy wspólne zazwyczaj nie mają żadnych właścicieli. W tym przypadku mówimy o moim dziecku, więc proszę cię, trzymajcie się od niego z daleka.

Blondyn przeczesał palcami włosy i wypuścił potężny kłęb dymu. Spojrzął, ile z cygara mu pozostało. Rozczarowany skrzywił się, po czym zerknął na drugiego mężczyznę.

– Jesteś nadopiekuńczym, zwyrodniałym ojcem. Popełniasz błąd.

– Zachowując swoje dziecko przy życiu?

– Nazywając je dzieckiem. – Blondyn parsknął. – Już dawno straciłeś dystans i nie potrafisz być obiektywny.

– Czyżby?

Okularnik wzruszył ramionami. Po raz kolejny skubnął palcami podbródek i zmarszczył czoło. Przypominał wielkiego szczura z kreskówki. Kiedyś ktoś mu nawet o tym powiedział, co zresztą potraktował jako komplement. Cenił szczury za inteligencję oraz zdolność adaptacji. Były jednymi z nielicznych zwierząt żyjących na wszystkich kontynentach i wiele wskazywało, że na Ziemi przetrwają dłużej niż ludzkość. Nie miałby nic przeciwko temu.

– Jak dla mnie ryzyko nie jest jeszcze zbyt duże – stwierdził spokojnym tonem. – Uwierz mi, że potrafię na wszystko spojrzeć z naukowym osądem. Analizuję i wyciągam właściwe wnioski.

– Analizujesz? Brakuje ci pieprzonych danych, żeby cokolwiek analizować! Opierasz się na swoich wyssanych z palca przypuszczeniach oraz tabelkach, a życie biegnie kompletnie oddzielnym torem. Czy mogłeś przewidzieć tę sytuację? No, powiedz to całkiem szczerze.

– Oczywiście.

Blondyn, słysząc tę odpowiedź, gniewnie rzucił cygaro do kryształowej popielniczki i pokręcił głową. Wypuścił dym w stronę lampy.

– Jesteś szalony. Posunąłeś się o krok za daleko i boisz się do tego przyznać.

– Wcale tak nie uważasz.

– Owszem, taka jest prawda. Przynajmniej daj mi cholerne słowo, że całą odpowiedzialność bierzesz na siebie.

Okularnik uśmiechnął się pogardliwie. Pchnął jedną z bil tak, że uderzyła o kolejne i wpadła do łuzy.

– Naprawdę tylko o to ci chodzi? Ogarnął was aż tak wielki strach?

Nie czekając na reakcję blondyna, skierował się w stronę dwuskrzydłowych, drewnianych drzwi. Pchnął je, po czym zatrzymał się progu. Odwrócił się do towarzysza.

– Nie zdradzę was – zapewnił z błyskiem w oku. – On też. Jednak przysięgam, że już nigdy o nas nie usłyszycie. Po prostu o wszystkim zapomnij i nie staraj się ponownie nawiązywać kontaktu. Tak będzie najlepiej.

51

Deryło nie miał wątpliwości. Iwan Macharow, którego zdjęcie miał przed sobą, był młodszym z braci zamordowanych przez Syzyfa. Tym, który mierzył do niego z desert eagla. Fotografie wykonano zapewne całkiem niedawno na potrzeby jakiegoś urzędu. Komisarz przez chwilę przypatrywał się portretowi mężczyzny, mając jednocześnie przed oczami obraz tego, jak teraz wyglądały jego zwłoki.

Westchnął i nie tracąc czasu, zaczął wczytywać się w dokument. Był to protokół przesłuchania świadka jednego z morderstw. Powoli wyłaniał się z niego obraz sprawy, której znaczenia komisarz nie mógł do końca zrozumieć.

Macharow podawał się za brata dwudziestojednoletniej kobiety, Swietłany, pielęgniarce oraz wolontariuszki, która siedemnastego marca przed dwoma laty powróciła rano do domu po nocnym dyżurze. Iwan rozmawiał z nią przez telefon, gdy wjeżdżała na parking przed swoim blokiem i kiedy następnie szła klatką schodową. Nie poruszali żadnych głębszych tematów. Miał ją chwilę później odwiedzić i dopytywał się, czy aby nie będzie jej przeszkadzał. Kobieta zapewniała, że dyżur nie był ciężki. Ochoczo przystała na odwiedziny brata, z którym miała bliskie relacje, lecz z rozmaitych względów nie widzieli się od kilku tygodni. Gdy weszła do mieszkania, rozłączyła się, rzucając

wcześniej, że Macharow może do niej przyjść, kiedy mu się tylko żywnie podoba. Zostawiała otwarte drzwi, gdyby jednak przez przypadek przysnęła i nie słyszała zepsutego, bardzo cichego dzwonka. Iwan miał jeszcze do załatwienia jakieś sprawunki w jednym z iwano-frankowskich komisów samochodowych, a gdy tylko się z tym uporał, udał się do siostry.

Swietłana mieszkała w niewielkim bloku z lat siedemdziesiątych. Było w nim tylko pięć mieszkań oraz segment, dawniej zaadaptowany na magiel, a od co najmniej dekady służący za wspólne pomieszczenie gospodarcze dla lokatorów. Budynek znajdował się na jednym z klasycznych, socjalistycznych osiedli z dużą ilością zieleni i minimalną liczbą miejsc parkingowych. Iwan stracił kolejny kwadrans, szukając kawałka pustej przestrzeni, na której mógłby zostawić auto. Gdy wreszcie ją znalazł, od bloku siostry dzieliło go dobrych kilkaset metrów. Pokonał je bez specjalnego pośpiechu, paląc papierosa. Po drodze wstąpił do sklepu spożywczego i kupił ulubione czekoladki Swietłany. Wreszcie, niemal po godzinie od momentu, gdy zakończyli rozmowę, zadzwonił do niej domofonem. Kobieta nie odebrała, więc uznał, że śpi albo że dzwonek całkowicie się zepsuł.

Postanowił wejść do bloku i zapukać. Ze względu na częste awarie domofonu drzwi nie były zamknięte, więc bez problemu wszedł na klatkę. Wtedy też minął się z mężczyzną, sporej postury, który obrzucił go krótkim, dziwnym spojrzeniem. Macharow znał większość sąsiadów siostry, ale tego nigdy nie widział. Zapamiętał go, gdyż wydało mu się, że nieznajomy jest zdenerwowany i robi wszystko, aby nie dostrzegł jego twarzy. Odwrócił się w przeciwną stronę, po czym niemal wybiegł z klatki.

Iwan z pewnością zapomniałby o nim, ale to, co wydarzyło się niespełna dwie minuty później, zmusiło go do wielokrotnego odtwarzania zaistniałych wydarzeń. Swietłana nie zareagowała

na dzwonek, więc chcąc jedynie zostawić jej czekoladki, cicho wszedł do jej mieszkania. Położył słodycze na blacie szafki w przedpokoju i w tym samym momencie jego uwagę zwróciła spora czerwona plama na podłodze w salonie. Początkowo biorąc ją za wino, które rozlała jego siostra, zajrzał do pokoju. Wtedy niemal stracił przytomność.

Ciało Swietłany leżało na wznak, kompletnie nagie, na samym środku pomieszczenia. Jej ubrania zostały starannie złożone w kostkę i odłożone na kanapę. Dopiero po chwili Macharow uświadomił sobie, że czerwona kałuża rozlała się w miejscu, gdzie powinna być głowa jego siostry. Z jej szyi zionęła natomiast pustka tchawicy, sterczały strzępy czerwonej tkanki, jaśniejszych ścięgien oraz ciemniejszych mięśni. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, słodkawy zapach krwi. Iwan z trudem opanował mdłości.

Nie był jednak w stanie ich powstrzymać, gdy jego wzrok spoczął na zmasakrowanej głowie. Ta została przyczepiona do żyrandolu, niczym lampion. Obklejone krwią oraz fragmentami tkanki włosy wyglądały, jakby je przyozdobiono na jakąś upiorną uroczystość. Wybałuszone, półotwarte oczy spoglądały gdzieś w sufit. Spomiędzy opuchniętych, rozbitych warg wystawał nadgryziony język. Właściwie trzymał się on, będąc nabitym na zęby niczym kęs mięsa. Krew zaschła na podbródku kobiety, przypominając dalszą część przerażającego makijażu.

Deryło przerzucił stronę i jego wzrok spoczął na kolejnym zdjęciu. Zaczynał coraz więcej rozumieć. Musiał się tylko skupić, w jaki sposób tę wiedzę wykorzystać, by uwolnić Tamarę.=

Drugi z mężczyzn zastrzelonych przez Syzyfa miał na imię Wasyl i zgodnie z przypuszczeniami komisarza był bratem Iwana. On również został przesłuchany jako świadek morderstwa w związku z tym, że to do niego pierwszego po odkryciu zwłok Swietłany zadzwonił Iwan. Zjawił się w mieszkaniu siostry w niespełna pół godziny i to, co zastał, również kompletnie go zmroziło. Bracia, zgodnie ze swoimi zeznaniami, byli tak przerażeni, że na policję zadzwonili dopiero po kilku godzinach, odkąd w mieszkaniu pojawił się pierwszy z nich.

Ta informacja zwróciła uwagę Deryły. Pośpiesznie zebrał wszystkie fakty, zwrócił uwagę na puste rubryki, w którym powinny być wpisane zawody wykonywane przez braci, oraz odtworzył to, co powiedział mu o nich Syzyf.

Był niemal pewny, że w czasie, gdy mężczyźni rzekomo pozostawali pod wpływem szoku, w rzeczywistości prowadzili śledztwo na własną rękę. Zbierali dowody, chcąc wyprzedzić policję. Skoro byli pracownikami służb specjalnych, mogli posiadać konkretne umiejętności dochodzeniowe. Być może zresztą ich angaż dobiegł końca w związku z przekroczeniem uprawnień. Może ktoś odkrył, czym się zajmowali i jaki plan ich opętał. Z pewnością szefostwo podobnych instytucji nie jest przychylnie samowolce, o czym Deryło doskonale wiedział.

Bracia Macharow żyli pragnieniem dokonania zemsty na mordercy siostry. Prawdopodobnie poświęcili mu kariery zawodowe oraz wiele ostatnich miesięcy. Wiadomość, że policja namierzyła Egera przed nimi, musiała być dla nich ogromnym ciosem. Dlatego zdecydowali się na szaleńczy krok. Postanowili odbić go z rąk śledczych i wymierzyć mu sprawiedliwość we własny sposób.

W dokumentach tkwiła notatka o możliwości podejmowania działań mających na celu uwolnienie Stepana Egera. Policjanci

nie zdawali sobie jednak sprawy, kto zamierza tego dokonać. Uważali, że chodzi o jego współnika i partnera w zbrodni. Zapewne ryzyko związane z procesem oraz związane z nim koszty stanowiły jeden z argumentów, dzięki którym mordercę niemal bez problemu zgodzono się przekazać polskiej prokuraturze. Oburzenie publiczne, gdyby jakimś cudem został uwolniony, mogłoby zachwiać wiarę w tworzący się w bólach system sprawiedliwości. Nie można było utracić ani krzty z niewielkiego zaufania, jakim zaczynał się cieszyć.

„Ci obaj mężczyźni mieli powód, by zginąć. Może być pan o to spokojny” – Deryło przypomniał sobie to zdanie, które padło z ust jednego z braci. Już wtedy zwrócił jego uwagę specyficzny ton, jakim zostało ono wypowiedziane. Gdyby nie okoliczności, zapewne przyłożyłby do niego większą wagę. Tkwiła w nim potrzeba usprawiedliwienia, a może nawet lekkie zawstydzenie. Mimo wykonywanej niegdyś pracy bracia Macharow nie byli urodzonymi mordercami. Wyeliminowali dwóch ludzi, być może przestępców, o których wiedzieli wcześniej, tylko po to, by osiągnąć cel. Wszystkim, co pozostało im w życiu, była nadzieja na dokonanie zemsty.

Deryło potrafił ich zrozumieć. Nagle poczuł nie tylko współczucie, lecz nawet cień sympatii do dwóch Ukraińców. Czy byliby w stanie go zabić? Może usiłowali go jedynie nastraszyć, a scena pozorowanej egzekucji została starannie zaaranżowana? Tego miał się już nigdy nie dowiedzieć. Syzyf pokrzyżował ich plany i wdarł się do gry niczym intruz. To jego rola była teraz kluczem do rozwiązania zagadki, a przede wszystkim do uwolnienia Tamary. Mimo to komisarz miał dziwne przeczucie, że centralnym punktem jest właśnie Stepan Eger. Że być może tylko on w jakiś niezrozumiały sposób domyśla się, gdzie jest przetrzymywana podkomisarz.

Deryło zmiął kolejnego żurawia origami i się przeciągnął. W ustach czuł nadal słodki posmak energetyka mieszający się z innym, znacznie mniej przyjemnym, posmakiem mdłości.

– Dość...

Przerzucił kartki i sięgnął po przeglądany już wcześniej wydruk z trasą przejazdu Egera. Przypuszczał, którądy będzie przebiegała w Polsce, ale nie mógł mieć pewności. Działanie na ślepo było zbyt ryzykowne, mimo wszystko musiał spróbować. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

W momencie, gdy podniósł się od biurka, poczuł wibrację telefonu. Tym razem nie usłyszał dzwonka. Wyciągnął komórkę, po czym zdziwiony zerknął na ekran. Widniała na nim informacja o nowej wiadomości tekstowej. Wysłano ją oczywiście z zastrzeżonego numeru.

53

„Konwój właśnie wjechał do Polski”.

Ta krótka wiadomość uświadomiła Deryle, jak mało ma czasu. Pokonanie niespełna dwustu kilometrów z granicy do Lublina mogło trwać co najwyżej trzy godziny. Jeśli zamierzał choćby usiłować spełnić żądania Syzyfa w tym czasie, musiał odnaleźć konwój. Mógł zyskać parędziesiąt minut, gdyby Ukraińcy po tej stronie granicy przekazali więźnia do polskich pojazdów. Procedura zależała od ustaleń na wyższych szczeblach oraz od oceny rozmaitych czynników bezpieczeństwa.

Mimo pobudzenia komisarz czuł dojmującą rezygnację. To, na co się zamierzał porwać, było nie tylko szaleństwem, ale i zrywem całkowicie beznadziejnym. Szarżą kawalerii na czołgi lub wprost

na druty kolczaste. Z tym że kawalerzyści przynajmniej ginęli w chwale, a on dążył do tego, by przekreślić wszelkie swoje zasługi. Cała jego kariera oraz dobre imię, wyrobione przez lata służby, wisiały na włosku.

„Zniesławiony czy nie, w pierdłu czy martwy, co za różnica” – stwierdził, kierując się do wyjścia. Liczyła się dla niego jedynie Haler. Zdawał sobie sprawę, że misja uwolnienia jej opętała go tak samo, jak pragnienie zemszczenia się przez braci na Egerze.

Energicznie otworzył zamek i wypadł na korytarz. Ciężko tupiąc, jakby wszem wobec chciał oznajmić swoją obecność, zbiegł po schodach. Musiał postawić wszystko na jedną kartę, a na jakiegokolwiek wątpliwości nie było miejsca. Wiedział, że zarys planu, który się klarował w jego głowie, nadawał się do analizy psychiatrycznej, jednak nie wymyślił nic lepszego.

Przeszedł przez parking i skierował się do poczciwego citroëna H. Wsiadł do środka, lecz nim uruchomił silnik, wyciągnął swoją komórkę. Przez chwilę wpatrywał się w jej ekran, wreszcie drżącą dłonią wybrał jeden z zapisanych numerów.

– Tak, panie komisarzu? – Brzeski odebrał niemal natychmiast.
– Czegoś panu potrzeba?

W związku z pewnymi zawirowaniami przy ostatniej sprawie Deryło trafił na kilkudniowy przymusowy urlop, więc najwyraźniej w komendzie się go nie spodziewano. Aspirant najwyraźniej nie zamierzał nawiązywać do ich nocnego spotkania.

– Będę potrzebował auta. – Deryło oznajmił wprost. Po krótkim zastanowieniu uznał, że nikomu nie może zaufać tak bardzo, jak Brzeskiemu.

– Auta? Jakies problemy z zabytkową cytryną? A może odkupiło ją jakies pierwszorzędne, paryskie muzeum klasyków motoryzacji?

– Przestań żartować. Po prostu muszę mieć służbowy wóz.
– Formalnie jest pan na urlopie, więc...

– Wiem, gdzie jestem. – Deryło zniżył ton. – Dlatego dzwonię właśnie do ciebie.

– Czy mam... Okej, rozumiem.

A więc mieli jasność. Brzeski zawiesił głos i wymownie westchnął. Komisarz przekreślił kluczyk, po czym natychmiast dodał gazu, by silnik auta właściwie zaskoczył. Bez dodatkowej porcji benzyny wóz wchodził na nierówne obroty, a po kilkudziesięciu sekundach wydawał agonalne rżenie i ponownie odpalić go było można dopiero po chwili przerwy. Jak dotąd, mimo wielu prób, usterka nie doczekała się właściwej diagnozy.

– Kiedy mam przyjechać?

– Auto będzie gotowe za kwadrans. Muszę mieć chwilę na wypełnienie papierów i odpowiednie przedstawienie sprawy komu trzeba.

Deryło nie musiał dopytywać, o kogo chodzi. Dodał gazu i wytoczył się z parkingu. Włączył się do porannego ruchu. Minęła ósma. Zostało mu już bardzo mało czasu.

54

– Powie mi pan, co się dzieje?

– Nic takiego. Moje auto szwankuje, a zamierzałem wybrać się na wycieczkę. Coś w tym dziwnego?

– Eryk Deryło nie odstawia podobnej prywaty.

– Formalnie wszystko stoi na ciebie, więc nie mieszaj w to Eryka Deryły, dobrze?

Komisarz zmusił się do uśmiechu i klepnął Brzeskiego w ramię. Stali na parkingu komendy przy jednym z niedawno zakupionych aut. Podczas gali przekazania go policji obecny był nawet jeden

z wiceministrów któregoś z kluczowych resortów. Niewielu już łapało się w ich nazwach.

Brzeski podał Deryle kluczyki i wymownie westchnął. Spojrzał komisarzowi w oczy, jakby chciał go niemo zapytać o powód tego zachowania. Był zbyt taktowny i zbyt oddany, by dręczyć go pytaniami, jednak w jego oczach krył się wyraz autentycznego zmartwienia.

– Niech panu służy – oznajmił, wypuszczając kluczyki. – Ponoć trzeba uważać, bo w zakrętach cholernie zarzuca tyłem.

– Lubię taką jazdę.

Deryło jeszcze raz, jakby nie wiedząc, co powiedzieć, klepnął aspiranta w ramię. Otworzył drzwi i pochylił się, wsiadając do nisko zawieszzonego auta.

– Zwrócę go najszybciej, jak to możliwe. W nienaruszonym stanie.

– Wiem o tym.

– Nie martw się, nie będziesz się musiał tłumaczyć z blond włosów na siedzeniu pasażera ani z paczki prezerwatyw w schowku.

Brzeski wyduł usta w namiastce uśmiechu. Ich rozmowa przypominała konwersację żywych trupów.

– Swoją drogą... – Aspirant przytrzymał drzwi w momencie, gdy Deryło chciał je zamykać. – Tamara nie stawiała się jeszcze do roboty. Nie odbiera telefonu i nie dała znać... To nie w jej stylu, ale może panu dawała znać?

Deryło na moment się zawahał. Przez myśl przeszło mu to, by opowiedzieć Brzeskiemu o wszystkim, co się wydarzyło i rozpocząć formalne poszukiwania. Być może byłoby to najlepsze wyjście. Jednocześnie w kieszeni jakby poczuł ciężar starej komórki. Znajdowała się obok rzymskiego sesterca, który jak zwykle nie przynosił mu szczęścia. A może miał go w ciągu ostatnich godzin aż nadto?

Przed oczami przesunął mu się obraz zamkniętej trumny bez dostępu do świeżego powietrza i z uwięzioną w niej Tamarą. Wsunął kluczyk do stacyjki. Mimowolnie zerknął na zegar, który pokazywał ósmą trzydzieści dziewięć. Jakiegokolwiek formalności trwałyby zbyt długo. Jednocześnie nie mógł ryzykować wciągnięciem przyjaciela w tę paskudną sprawę. Musiał stawić jej czoła osobiście lub poświęcić kogoś, kto miał mniej do stracenia.

– Nic o tym nie wiem. Nie rozmawiałem z nią od wczorajszego popołudnia, kiedy miała się całkiem nieźle. – Ponownie zmusił się do uśmiechu. – Mówiła, że chce opić ostatni sukces, więc może nieco przesadziła...

Wzruszył ramionami i zamknął drzwi. Wrzucił bieg, nie spoglądając więcej na aspiranta. Czuł się podle ze świadomością, że właśnie dokonał wyboru, komu może zniszczyć życie. Zdecydował, że nie będzie to Brzeski. Wyjechał z parkingu i uruchomił stroboskop. Z rykiem silnika skierował się ku starówce.

55

Gdy Deryło zajechał pod salon tatuażu, dzień rozpoczął się już na dobre. Przez Podzamcze sunął rowerzysta ciągnący ruchome stoisko z kawami, parking był niemal pełny, a z autokaru wylała się grupa dzieci. Świat żył swoim właściwym rytmem, nie zważając na to, co działo się z Haler. Nikogo nie interesowały tragedie innych. Śmierć czająca się za rogiem była nieważna tak długo, dopóki nie wystawiła kosa w czyjąś stronę.

Przez całą drogę komisarz zastanawiał się, czy Syzyf wie, że stawił się w komendzie i że wziął policyjny radiowóz. Telefon

jednak uparcie milczał. Mógł to być zły znak, gdyż w przeciwieństwie do braci Macharow ten mężczyzna wydawał się pozbawiony jakiegokolwiek skłonności do dramatyzowania. Być może nawet nie zadzwonił, by poinformować, że ze względu na złamanie reguł komisarz już nigdy nie zobaczy Tamary. Tylko czy on w ogóle wiedział, gdzie jest Haler? Wreszcie, czy ustalił jakiegokolwiek reguły? W jego przypadku cel najwyraźniej uświęcał wszelkie środki. Przynajmniej na to liczył Deryło.

Pchnął drzwi i wszedł do salonu. W dziennej scenerii wszystko wydawało się bardziej przyjemne, a poczucie nieokreślonego zagrożenia znacznie spadało. Nie wydawało się, by ktokolwiek odważył się strzelać do niego na środku ulicy. Cienie nie wypełzały z ciemności i największy lęk dotyczył tego, co wydarzy się za dwie lub trzy godziny. Deryło wręcz czuł ucisk w dołku.

– A pan czego? – Brodaty mężczyzna przypominający wikinga spojrzał na niego spode łba. Najwyraźniej nie podobał mu się nieoznakowany radiowóz z włączonym stroboskopem przed wejściem. – Mamy jakieś kłopoty?

– Gdzie jest Dzej Zi?

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– Dobrze wiesz, ale uwierz, że jeszcze przez chwilę będę cenił twoją lojalność.

Deryło przeszedł w głąb pomieszczenia i otworzył kolejne drzwi. Z zadowoleniem stwierdził, że tatuażysta pochyła się nad leżącą przed nim klientką, tworząc wymyślny wzór na jej plecach. Podniósł wzrok i westchnął.

– To znowu pan...

– Będę cię potrzebował i nie interesują mnie żadne wymówki. Wiesz, jaki mamy układ.

Komisarz nie zważał na to, czy ktokolwiek go usłyszy ani jakie wnioski wyciągnie z jego słów. Nie miało dla niego znaczenia, że

może na zawsze stracić jedną z najważniejszych wtyk w półświatku. Podszedł do leżanki i podał kobiecie bluzkę.

– Dokończy pani sesję innym razem. Proszę nie odwracać się do lustra, wtedy nie zobaczy pani tego szkaradztwa, które pani wymalował.

– Co jest? Robicie sobie jaja?

Deryło, nie zważając na kobietę, wymownie zerknął na Dżeja Ziego. Zabębnił palcami w marynarkę w miejscu, pod którym powinna kryć się kabura.

– Mam cię zmusić czy zgłosić? – zapytał ostro.

– Ale...

– A może chcesz jeszcze dziś wrócić do pudła? Czeka tam na ciebie kilku znajomych, a jeśli się dowiedzą, co cię łączyło z gliniarzem...

Dżej Zi odłożył igłę i zdjął rękawiczki. Odrzucił do tyłu długie włosy, jakby stanowiło to jego najważniejszy rytuał przed podjęciem działania.

– To będzie ostatni raz – zapewnił Deryło. Nie czekając na reakcję tatuażysty, odwrócił się i ruszył do auta. – Masz moje słowo.

Dżej Zi westchnął.

– Co mam zrobić? Chyba nie ma pan na myśli ostatniego razu, ze względu na to, że przed kolejnym padnę trupem?

Komisarz nawet się nie uśmiechnął.

– Przebieraj się.

– Co takiego?

– Przebieraj się, powiedziałem.

– Ale ja naprawdę...

Deryło zacisnął pięści i Dżej Zi bez słowa sprzeciwu zaczął się rozbierać. Ściągnął czarne jeansy oraz koszulkę z krótkim rękawem. Znajdowali się na bocznej ścieżce przy podlubelskim lesie. Komisarz zjechał na ubocze tylko po to, aby tatuażysta mógł założyć policyjny mundur. Nie chciał, aby, przebierając się w aucie, wyglądał jak wymięty aktor teatralny. Pewien problem stanowiły długie włosy, ale te udało się tyle o ile upchnąć w czapce. Kosmyki z tyłu były niemal niewidoczne. Poza tym Dżej Zi miał robić jedynie za niemą asystę, za tło dla działań, których jeszcze dobrze nie przemyślał.

– Jak wyglądam, komisarzu? – Tatuażysta obciągnął bluzę mundurową i poprawił odblaskową kamizelkę. – Prawie mój rozmiar, choć mógłbym przytyć parę kilo.

– Wyglądasz jak gówno. Mam wrażenie, że jesteś naćpany, a wiesz, że nie cierpię ćpunów.

– Przysięgam, że...

– Że co? Nie przysięgaj, bo może po prostu jestem dziś nadwrażliwy.

– Nie brałem niczego od dwóch lat. No dobrze, kilka razy paliłem, ale głowę daję, że bez zaciągania się. Poza tym...

– Wsiadaj do wozu.

Dżej Zi posłusznie wykonał polecenie komisarza, a ten obszedł auto i usadowił się na miejscu kierowcy. Zerknął na zegarek, po czym odruchowo zabębnił palcami w kierownicę. Wciąż nie miał planu.

– Będę potrzebował asysty – odezwał się zmęczonym głosem. – Nie odzywasz się, nie pajacujesz, tylko przewijasz w tle, rozumiesz? Po prostu muszę zrobić coś, przy czym każdemu gliniarzowi towarzyszyłby partner.

– Pod warunkiem, że byłoby to legalne, ale to, co robimy, legalne nie jest, czy tak?

Dżej Zi brzmiał jak Syzyf. Deryło ostrożnie dodał gazu i auto wyrwało do przodu. Żwir wystrzelił spod opon. Po chwili znaleźli się na drodze wojewódzkiej, kierując się na południe. Plan komisarza ograniczał się do zarysu miejsca działania, ale jakiegokolwiek szczegóły czy nawet dokładne lokalizacje nie zostały w nim uwzględnione. Całe zadanie przypominało szaleństwo i usiłowanie upolowania lamparta procą zrobioną z gumki recepturki.

– Czyżby przeszedł pan na ciemną stronę mocy?

Dżej Zi nie krył rosnącego podekscytowania i gładził mundur. Dokładnie oglądał szwy oraz guziki, jakby czerpał z tego nadzwyczajne doznania.

– Zamknij się – warknął Deryło. – Daj mi pomyśleć.

– *Dark Side of the Moon*. To najlepszy album Pink Floydów. Cholernie inspirujące teksty oraz pobudzająca muzyka. Gdy go słucham, zawsze mamy ochotę, żeby...

– Zamkniesz się?!

Komisarz gwałtownie odwrócił się do tatuażysty i nie spuszczać nogi z gazu, chwycił go za kołnierz. Z całej siły przyciągnął go do siebie. Kątem oka obserwował drogę, lecz był w stanie, w którym nie robiło mu różnicy, czy za moment nie roztrzaskają się na drzewie.

– Muszę się skupić, rozumiesz? Mam ci to przeliterować? – mówił tak szybko, że ślina tryskała mu z ust. – Jeśli będziesz gadał, otworzę drzwi i nie zwalniając, wyrzucę cię z auta.

Dżej Zi zbladł i zaczął się dusić. Oczy wyszły mu z orbit, a naczynka popękały. Deryło nieco połuźnił uścisk.

– Już milczę! – wycharczał tatuażysta. – Jak grób! Jak pusty grób bez jakiegokolwiek zawodzącej duszy. Jak...

Zamilkł, widząc wyraz wściekłości na twarzy Deryły. Nigdy wcześniej nie widział, by komisarz był w podobnym nastroju. Zawsze wydawał się pozbawionym humoru służbistą, lecz nigdy nie tkwiła w nim perwersyjna wściekłość.

– Zatłukę cię...

Deryło zamachnął się, lecz w ostatniej chwili opuścił dłoń, zdając sobie sprawę, że policjant z przetrąconą gębą nie jest najbardziej wiarygodnym towarzystwem. W tej samej chwili dostrzegł pędzące z naprzeciwka auto. W ułamku sekundy obrócił kierownicę, zjeżdżając na przeciwny pas ruchu. Bezgłośnie zaklął jednocześnie, odpychając od siebie Dzeja Ziego. Tatuażysta poleciał jak kukła i uderzył bokiem głowy w szybę.

– Szlag...

Deryło z trudem opanował samochód. Nim ustabilizował jazdę, jeszcze kilkakrotnie zarzuciło tyłem, wreszcie powrócił na właściwy tor i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. W tym samym momencie uświadomił sobie, że w jego kieszeni wibruje telefon. Przez ryk silnika rozpędzonego auta z trudem przebijał się cichy dźwięk rozsuwanego i zasuwanego zamka. Komisarz łypnął na tatuażystę, który obrażony na całą sytuację spoglądał za okno. Sięgnął po komórkę i cicho wypuścił powietrze.

Odebrał.

57

– Czy to miejsce, w którym...

– Niech pan tam po prostu jedzie.

Deryło podyktował Dzejowi Ziemu współrzędne wskazane przez Syzyfa. Tatuażysta z ociąganiem wpisał je w nawigację, która po

chwili trawienia danych wskazała, że od punktu docelowego dzieli ich zaledwie siedem kilometrów, czyli cztery minuty jazdy.

– Muszę wiedzieć, na co mam być przygotowany. – Komisarz mocniej zacisnął lewą dłoń na kierownicy i skręcił we wskazaną przez nawigację dróżkę. – Obstawiam, że to nie są namiary więzienia, więc... Co u licha?

Wyświetlacz komputera pokładowego zaczął wariować. Przez chwilę przewinęły się przez niego rzędy cyfr oraz liter, wreszcie pojawił się komunikat o zaakceptowaniu błędu. Deryło pytająco zerknął na Dżeja Ziego, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Proszę zatwierdzić informację na ekranie dotykowym. – Syzyf mówił beznamiętnym tonem, jakby siedział tuż obok i wszystko obserwował. – No, dalej, komisarzu.

Deryło niechętnie dotknął właściwą ikonę. Po chwili ekran zamrugął i ponownie wyświetlił się podgląd na mapę. Jednak coś mu na niej nie pasowało. Coś było inaczej niż wcześniej i to... Nagle uświadomił sobie, co się stało.

– Punkt, do którego mam dojechać, porusza się... – wycedził. – Niech cię szlag.

– Szlag? Wydaje mi się, że to znaczące ułatwienie pańskiego zadania.

– Jeżeli to konwój... W jaki cholerny sposób miałbym go zatrzymać?

– Ma pan radio z częstotliwościami policyjnymi, prawda?

Deryło parsknął.

– I co mam im powiedzieć? Że złapali gumę i żeby zjechali na pobocze czy że zatrzymuję ich za przekroczenie prędkości?

– Być może któryś z tych sposobów byłby całkiem dobry.

Syzyf zawiesił głos, jakby coś skupiło jego uwagę. Po chwili odchrząknął i odezwał się ponownie.

– Niech pan włączy dyskotekę i będzie całkowicie spokojny.

– Będę spokojny, gdy dowiem się, że Tamara jest cała i zdrowa.

– Chyba pan rozumie, że to będzie możliwe dopiero, gdy będę mógł przybić piątkę z Egerem.

– Twój plan to szaleństwo. – Deryło pokręcił głową. – O ile w ogóle masz jakikolwiek plan.

Ponownie skręcił i wyjechał na dwupasmówkę. Była to stara trasa, z której większość ruchu ściągnęła wybudowana niedaleko droga ekspresowa. Zgodnie ze wskazaniem nawigacji od celu dzieliło go już tylko półtora kilometra i dwie minuty. Biorąc pod uwagę pozostawanie obiektów w ruchu, mogła to jednak być symulacja całkowicie nietrafiona.

– Musi pan ich po prostu zatrzymać. – Syzyf głucho zakaszłał. – Nie oczekuję od pana właściwie niczego więcej.

– Ale...

– Prosiłem, aby włączył pan dyskotekę.

Nim Deryło zdążył sięgnąć do właściwego przycisku, stroboskopy same się uruchomiły. Komisarz zacisnął usta i wymienił spojrzenie z Dzejem Zim. Choć tatuażysta nie słyszał jego rozmówcy, mógł odtworzyć szczątki jego wypowiedzi. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że został wplątany w naprawdę poważną sprawę. Odruchowo chciał założyć włosy za uszy, ale trafił tylko na pojedyncze kosmyki, które wymknęły się spod czapki policyjnej. Nerwowo mlasnął.

W tej samej chwili policyjny wóz zaczął niebezpiecznie przyśpieszać. Deryło bezradnie sapnął i usiłował naciskać pedał hamulca, ten jednak nie działał.

W świecie buddyjskich wierzeń istniała praktyka sokushinbutsu. Mężczyzna czytał o niej i żywo się nią interesował. Owo dalekowschodnie pojęcie można by przetłumaczyć jako „osiągnięcie świętości poprzez pozostawanie żywym”, lecz wbrew nazwie praktyka ta polegała de facto na samomumifikacji. Jej sedno stanowiło odpowiednie głodzenie się, ascetyczny tryb życia i wyrzekanie się aktywności fizycznej tak, by śmierć nie mogła zasadniczo zmienić składu chemicznego ciała. Sokushinbutsu już przed ponad stu laty została zakazana w Japonii, lecz wciąż istniały klasztory, w których się ją praktykowało.

Mężczyzna był tym głęboko zafascynowany. Lektury o mumifikacji w starożytnym Egipcie naturalnie poprowadziły go ku kolejnym, dotyczącym właśnie tej praktyki buddyjskiej. Co do zasady polegała ona na żywieniu się przez tysiąc dni jedynie ziarnami oraz orzechami przy jednoczesnych regularnych ćwiczeniach, które miały doprowadzić do niemal całkowitego pozbycia się z organizmu tkanki tłuszczowej.

Kolejne tysiąc dni sprowadzało się do stosowania jeszcze bardziej rygorystycznej diety, na którą składały się wyłącznie korzonki roślin oraz kora. Jako jedyny płyn spożywano napar z drzewa lakowego, który dodatkowo zmniejszał udział wody w organizmie. Napar ten był toksyczny i sprawiał, że po śmierci ciało nie stanowiło atrakcyjnego gniazda dla jakichkolwiek robaków.

Wieńcząc dzieło, mnisi praktykujący sokushinbutsu zamykali się w specjalnie wydrążonych grotach, po czym zasiadali w pozycji kwiatu lotosu. Ze światem zewnętrznym łączyła ich jedynie specjalna rurka doprowadzająca tlen, a ich nawet najdrobniejsze ruchy wprawiały w drżenie dzwonek, który oznajmiał ich towarzyszom na górze, że nadal żyją. Gdy dzwonek cichł, grocie zapieczętowano na tysiąc dni. Po tym czasie otwierano ją i wydobywano ciało. Jeżeli było ono należycie zmumifikowane,

uznawano, że praktykujący sokushinbutsu osiągnął oświecenie. Jeśli nie... Trafiało na wystawę do świątyń lub stawało się makabryczną ciekawostką turystyczną.

Mężczyzna wiedział o tym wszystkim, ale nie potrafił w żaden sposób sobie przypomnieć skąd. Tak, to była wiedza książkowa i z pewnością wyczytana w toku badań nad mumifikacjami w starożytnym Egipcie, ale... dręczyła go obawa, że tkwił w tym jakiś zupełnie inny sens. Podświadomie wręcz go wyczuwał.

W końcu co rusz do głowy przychodziła mu myśl o tym, że kiedyś również przyjdzie czas na jego samoudręczenie. Gdyby został namierzony przez służby, powinien umrzeć śmiercią męczennika. Natychmiast i najlepiej z własnej ręki.

Jednak gdyby go zatrzymano i usiłowano siłą wydobyć prawdę, powinien poddać się swoistemu sokushinbutsu – głodówce, która doprowadzi go do doskonałości. Wtedy wszystkie tajemnice zabierze ze sobą do grobu, dzięki czemu osiągnie prawdziwe zbawienie. Nirwanę. Wyrwie się z okropnego cyklu życia po życiu, by wreszcie stać się czystą doskonałością.

Tak, kiedyś musiał nadejść ten moment i nie należało się go w żadnej mierze obawiać. Stanowił coś tak naturalnego, jak potrzeba jedzenia lub picia. Śmierć nie była klęską, lecz ostatecznym zwycięstwem.

Jedynie czasem mężczyzna zadręczał się pytaniami, skąd podobne myśli przychodzą mu do głowy. Wydawało mu się, jakby to wcale nie były jego koncepcje ani przekonania.

Co, u licha, interesowały go wierzenia mnichów, którzy mieli ochotę zamykać się w grotach i wdychać powietrze przez rurkę? Co go obchodził Budda oraz jakie znaczenie miało życie po śmierci? Liczyła się raczej śmierć po życiu i właśnie o tym myślał, spoglądając na leżące przed nim zwłoki kobiety.

Czasem miał wrażenie, że obie półkule jego mózgu stanowią niezależne byty. Jakby tkwiły w nim dwie osoby, które

mają całkowicie różne oczekiwania oraz pragnienia. Z jednej strony bardzo chciał być po prostu dobry, a z drugiej wiedział, że tkwi w nim najgorsze, najmroczniejsze zło. Oddawał się mu z pełną świadomością. A może ta świadomość ocierała się o szaleństwo?

59

Samochód wciąż się rozpędzał. Deryło za wszelką cenę starał się utrzymać go w ryzach, lecz przy tej prędkości zawieszenie coraz słabiej radziło sobie z kiepską nawierzchnią. Potężne opony traciły przyczepność i najdrobniejszy ruch kierownicą sprawiał, że autem rzucało.

Komisarz zacisnął zęby. Przytrzymał telefon ramieniem i złapał kierownicę w obie ręce.

– Co pan, zwariował? – Dżej Zi obrócił się do komisarza. Wybałuszył oczy i chwycił się fotela, jakby tylko w ten sposób mógł się na nim utrzymać. – Pozabija nas pan!

– To nie ja...

– A kto? Może duch święty wciska ten cholerny pedał gazu?!

Deryło zaciskał dłonie tak mocno, że aż pobielały mu kłykcie. Zdawało się, że kierownica lada moment trzaśnie od jego uścisku. Auto podskakiwało na wybojach dawno nieremontowanej jezdni. Komisarz robił wszystko, byle tylko nie złapać pobocza, co z pewnością skończyłoby się tragicznie. Całe szczęście, że ulica była zupełnie pusta i mógł trzymać się niemal samego środka.

– Na litość boską, niech pan zwolni!

– Miałeś się zamknąć.

– To dlatego pan to robi? Błagam, ja... Chcę żyć!

Komisarz sapnął, nie zwracając uwagi na tatuażystę. Po przejechaniu kolejnych kilkuset metrów auto samo zaczęło powoli zwalniać, a pedał hamulca się odblokował.

– Gdybym chciał, mógłbym was teraz zabić. – Syzyf wypowiedział te słowa z lodowatą obojętnością. Ku zdumieniu Deryły popłynęły one z głośników samochodu. – Wystarczyłoby, żebym jeszcze mocniej dodał gazu albo zablokował układ kierowniczy. A może wywołał permanentny błąd hamulca. Mam naprawdę wiele możliwości, więc niech się pan postara zrobić to, o co proszę, komisarzu.

Tym razem Dzej Zi wbił w Deryłę błagające spojrzenie, jakby wszystko nagle znalazło się właśnie w jego rękach. Najwyraźniej zrozumiał, że to rzeczywiście nie komisarz odpowiadał za szaleńczą jazdę i że nie była ona spowodowana jego gadulstwem. Złapał się za głowę, po czym przerażony wypuścił powietrze. Tego było dla niego zbyt wiele.

– Czy rozumie pan, jak bardzo jest ode mnie zależny? – Głos Syzyfa nadal dobiegał z głośników auta. – Tak samo, jak panna Haler od Egera i powodzenia pańskiej misji.

– Misji? – Niemal bezgłośnie dopytał Dzej Zi. – Na czym, do cholery, polega ta misja?

Deryło oderwał jedną dłoń od kierownicy. Ociekała potem i była niemal całkowicie blada, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Zrobię, co będę w stanie.

– Musi pan zrobić o wiele więcej. Proszę na siebie uważać...

Z głośników dobiegło ciche kliknięcie, oznaczające, że rozmówca zakończył połączenie. Deryło zagryzł usta i wbił wzrok w drogę przed siebie. Wycie syren, jak nigdy, wbijało mu się głęboko w mózg. Sprawilo, że czuł, jakby ten dosłownie płonął.

Chwilę później, kilkaset metrów przed sobą, dostrzegł konwój złożony z auta eskorty oraz furgonetki do przewożenia aresztantów. Z wahaniem sięgnął ku nadajnikowi. Tak naprawdę

nie widział, co robi, lecz zdawał się na instynkt. Niczym wielu psychopatycznych morderców, którzy gnili w więzieniach na całym świecie.

60

– Tu komisarz Eryk Deryło, komenda policji w Lublinie, słyszycie mnie?

– Słyszemy bardzo dobrze.

– Zatrzymajcie się, otrzymałem rozkaz przejęcia więźnia.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mamy go przekazać prosto w ręce prokuratury...

Deryło jechał tuż za pojazdem eskorty, którego kierowca zwolnił, jakby chciał go bardziej odseparować od więźniarki. Przez przyciemnianą tylną szybę pojazdu nie mógł nawet dostrzec, ilu funkcjonariuszy jest w środku. Miał nadzieję, że dowódca grupy nie rozpoczął natychmiastowej weryfikacji jego słów i że będzie miał jeszcze chwilę na swoje bajeczki. Nie był tylko przekonany, do czego konkretnie miałyby zmierzać.

– Nie dostaliście komunikatu z centrali? – Udał zdziwienie i westchnął. – Ponoć powiadomiono was, gdy na granicy odbieraliście więźnia. Może ci durnie powiadomili Ukraińców...

Dokładnie, z pamięci wymienił miejscowość, w której zatrzymał się konwój. Jego dowódca nic nie odpowiedział. Zapewne właśnie się zastanawiał, w jaki sposób mógłby potwierdzić prawdziwość słów komisarza, nie narażając się na zrobienie z siebie głupka.

– Dostałem informację o możliwej próbie odbicia więźnia – wycedził Deryło. – Mam dyspozycję niezwłocznej zmiany trasy.

– Odmawiam. Powtarzam, że nie otrzymałem żadnego rozkazu.

Komisarz zacisnął zęby. Czuł na sobie spojrzenie Dżeja Ziego, który zdawał się z całej sytuacji kompletnie niczego nie rozumieć. A może nie chciał zrozumieć niczego więcej ponad to, czego się zaledwie domyślał. Siedział niemal kompletnie zeszywniały, z bladą twarzą i drżącymi dłońmi przyciśniętymi do kolan. Od czasu do czasu z dezaprobatą, niczym katatonik, kręcił głową.

– Nie rozumiesz pan? – Deryłę zaskoczyła ostrość jego własnego tonu. – Dzwon do komendy albo do samego ministra, ale musisz się zatrzymać! Lada moment możemy wpietrzyć się w zasadzkę. Chyba nie zdajecie sobie sprawy, kogo przewozicie. Jeśli będziemy mieć tu kolejną Magdalenkę, nie muszę chyba tłumaczyć, czyja głowa poleci w pierwszej kolejności.

– Tylko że...

– Istnieje ryzyko, że do więźniarki przymocowano aparaturę śledzącą. Wspólnicy aresztanta śledzą każdy wasz ruch, odkąd tylko przekrocyliście granicę.

– Ale ja naprawdę...

Dowódca konwoju przerwał w pół zdania i sapnął. Był wyraźnie skołowany. Po chwili odezwał się znacznie ciszej oraz spokojniej niż wcześniej.

– Zaraz wszystko zweryfikuję. Zjeżdżamy na ten otwarty teren po prawej, proszę trzymać się za nami, wysiąść i się wylegitymować.

– Oczywiście.

Deryło czuł, że odniósł niewielkie zwycięstwo. Z zadowoleniem potarł prawą dłońią o kolano i mlasnął. W ułamku sekundy przyszło jednak otrzeźwienie. Niby co takiego osiągnął? Dowódca konwoju zapewne za moment skontaktuje się ze swoim przełożonym, a ten czym prędzej każe aresztować Deryłę. To był jedyny możliwy scenariusz. Mimo to pozostawało mu tylko dalej improwizować.

„Musi ich pan po prostu zatrzymać. Nie oczekuję od pana niczego więcej”. Wspomnienie tych słów jednocześnie go pokrzepiało i napawało niepokojem. Można by uznać, że jota w jotę wypełniał polecenie Syzyfa. Z drugiej strony mężczyzna nie powiedział, co miałyby się wydarzyć dalej.

„A gdyby...”

W głowie Deryły załęgła się przesywająca, ponura myśl. A co, jeśli został wrobiony? Jeśli właśnie dopełniał się cały niecny plan zniszczenia jego kariery? Jeśli wszystko było jakąś cholerną inscenizacją i miało na celu jedynie zrobić z niego pośmiewisko?

Nie. To by było czyste szaleństwo. Tylko jego zmęczony, skrajnie wycieńczony umysł egocentryka mógł snuć podobne teorie. Jedne zmysły przeczyły innym. Rozgrywała się w nim wewnętrzna walka wywołana przez irracjonalność wszystkiego, co wydarzyło się przez ostatnie godziny. Przecież widział trupy obu braci Macharow, pana Y oraz Clyde'a. To nie były lalki ani wydmuszki wypełnione krwią zrobioną z keczupu lub soku porzeczkowego. To byli prawdziwi, cholernie prawdziwi ludzie, którzy zginęli na jego oczach.

Zjechał w zatoczkę, w której zatrzymał się konwój i zgodnie z poleceniem dowódcy zachował odpowiednią odległość. Obrócił trzymanego w kieszeni sesterca, po czym pchnął drzwi. Siłąc się na dziarski krok, ruszył w stronę pojazdu eskorty. Czuł, że pot przylepił mu koszulę do pleców.

– Stój!

Dowódca konwoju był ubrany w rynsztunek bojowy niczym średniowieczny rycerz. Brakowało mu tylko przyłbicy. Nosił specjalny kask, kamizelkę kuloodporną przypominającą zbroję płytową, a w zastępstwie kopii krótki karabinek szturmowy.

Deryło posłusznie zatrzymał się i wyciągnął przed siebie dłoń z legitymacją.

– Z kim rozmawiam? – rzucił, zdobywając się na głupawy uśmiech. – W raporcie nie przekazano mi żadnych szczegółów. Wszystko jest piekielnie na szybko...

– Major służby więziennej, Paweł Gawlik...

– A więc, majorze, nie mam czasu. W aucie czeka mój partner i we dwójkę mamy niebawem stawić się w prokuraturze. Wskazano nam konkretną trasę przejazdu.

– Wobec tego dlaczego niby nie poinformowano nas o ewentualnej aparaturze szpiegującej?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że mieliśmy skontaktować się na niskich częstotliwościach z bliskiej odległości. Tylko w ten sposób do samego końca zmiana planu mogła pozostać tajna. Wszelkie inne połączenia mogły zostać rozkodowane...

Gawlik, ściskając w dłoniach karabin zbliżył się do komisarza. Nie był przesadnie postawny, lecz umundurowanie bojowe sprawiało, że przypominał Robocopa. Miał pyzată twarz i duże, nieco wybałuszone oczy. Uważnie przyjrzał się legitymacji Deryły, po czym porównał umieszczone w niej zdjęcie z rzeczywistością.

Najwyraźniej porównanie wypadło korzystnie, gdyż momentalnie zeszło z niego powietrze. Kiwnął głową i wydał wargi.

Komisarz był przekonany, że teraz wszystko musi już pójść po jego myśli. Również się rozluźnił i wyciągnął dłoń na powitanie majora. Ten jednak gwałtownie zeszywniał.

– Na poufałości przyjdzie czas – rzucił szorstko, po czym odwrócił się do wozu, przy którym, osłaniając go, stał kolejny strażnik. – Muszę wszystko po kolei zweryfikować.

Deryło jęknął.

– Ale czas... Nie mamy czasu, rozumie pan, majorze?

– Nie rozumiem. Myślał pan, że przekażę panu seryjnego mordercę na podstawie legitymacji, którą można kupić na targu? To potrwa tylko chwilę.

– Chwila może być zbyt długa. Kumple tego więźnia mogą podziurawić nas na tym parkingu jak sito.

Major był jednak nieprzejednany. Jeszcze raz się odwrócił i zerknął w stronę samochodu, którym przyjechał komisarz. Skupił wzrok na Dżeju Zim. Tatuażysta wciąż siedział w środku i pomachał do niego. Przez moment major mu się przypatrywał, wreszcie najwyraźniej gnany poczuciem upływającego czasu, uznał, że towarzystwo Deryły nie powinno go interesować. Wrócił do swojego wozu i sięgnął po nadajnik. Pochylony, z jedną nogą w środku, czekał na nawiązanie połączenia.

Komisarz zatrzymał się dwa metry od pojazdu eskorty. Pot coraz mocniej oblepiał mu plecy i rosił włosy pod pachami. Miał wrażenie, że się rozpuszcza i że wkrótce na jego twarzy pojawią się nerwowe, czerwone rumieńce. Za wszelką cenę usiłował opanować oddech. Starał się nie patrzeć w stronę drugiego konwojenta, który trzymał go na muszce. Zgodnie z procedurami żaden z funkcjonariuszy podróżujących więźniarką w trakcie postoju nie opuścił pojazdu.

Gawlik wreszcie nawiązał połączenie i pośpiesznie się przedstawił. W kilku zdaniach zlustrował sytuację. Deryło czuł, że grunt osuwa mu się spod stóp. Powinien znaleźć sposób, aby przerwać tę wymianę zdań. Gdyby tylko ją jakoś zagłuszył, major być może pod presją czasu wydałby mu więźnia. Tymczasem nie miał pojęcia, jak mógłby to zrobić. Przesząpił z nogi na nogę i zerknął na antenę umieszczoną na tyle pojazdu. Pomysł, aby ją ułamać, był tak samo prosty, jak absurdalny. Poza tym już wszystko wydawało się stracone.

Major wychylił głowę z auta i zerknął na niego podejrzliwie. Kilkukrotnie coś potwierdził, po czym uważnie słuchał przełożonego. Teraz nie spuszczał oczu z komisarza. Lewą dłoń ponownie położył na karabinie.

– Wszystko zrozumiałem. Potwierdzam i bez odbioru – rzucił, po czym energicznie odłożył nadajnik na miejsce. – No, to mamy jasność.

Wyprostował się, a następnie zerknął spode łba na Deryłę. Upewnił się, że jego podwładny nadal znajduje się przy aucie. Poprawił uchwyt na karabinie i zrobił krok w stronę komisarza.

62

Deryło stał jak skamieniały. Nie miał wątpliwości, że major Gawlik lada moment wyciągnie kajdanki i każe mu paść na kolana. Kalkulował, czy mógłby gdzieś uciec. Z lewej strony miał ulicę, za którą ciągnęły się pola oraz bezdroża. Po prawej nie było lepiej. Pobocze graniczyło z nieużytkami, za którymi znowuż biegł głęboki rów melioracyjny. Nie miał najmniejszej szansy, by skryć się przed strzałem. Nie miał ani jak, ani dokąd uciekać.

Próba starcia się z Gawlikiem również nie wchodziła w grę. Major wydawał się profesjonalistą, który nie da się dziecinnie zaskoczyć. Nawet gdyby teraz rzucił się w jego stronę, zapewne nim by do niego dopadł, skończyłby z kulką w głowie.

Jedyną szansą była próba wskoczenia do wozu, który stał z odpalonym silnikiem. Od kabiny dzieliły go dwa lub trzy kroki. Drzwi nie stanowiły co prawda żadnej osłony przed kulami, ale w tym modelu z pewnością były wzmacniane szyby. Długa maska również mogła stanowić przynajmniej jako taką tarczę.

W momencie, gdy Deryło gotował się do szaleńczego zrywu, dowódca konwoju opuścił karabin. Uśmiechnął się i wymownie pokręcił głową.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale mam to gdzieś – stwierdził, sięgając do jednej z kieszeni po papierowy bloczek. – Rozkaz to rozkaz, więc nie zamierzam polemizować z wywiadem. Mogliście mnie jednak wcześniej uprzedzić, będę miał przez was od cholery roboty papierkowej...

Z wywiadem? Deryło nie miał pojęcia, co dokładnie miał na myśli major, lecz postanowił nie wnikać. Podpisał podsunięty mu przez Gawlika kwitek, po czym odruchowo się przeciągnął. Dopadło go piekielne zmęczenie. Zamiast podekscytowania, że jakimś cudem mu się udało, poczuł się przytłoczony ogromnym ciężarem. Jakimś cudem Syzyf musiał się włamać na częstotliwości policyjne i nakazać przekazanie Egera. To wydawało się czystym obłędem, ale też dowodziło, jak sprytnego osobnika ma naprzeciw siebie.

– Wywiad... – szepnął mimowolnie.

– Co, proszę? – Gawlik obrzucił go baczным spojrzeniem. – Nie dosłyszałem.

– Nie, nic takiego... Może pan mi już wydać aresztanta.

– Nie omieszka.

Gdy ruszyli w stronę więźniarki, Deryło wciąż zastanawiał się nad rolą wywiadu. Czyżby stał się uczestnikiem jakiejś prawdziwej rozgrywki między państwami? W końcu bracia Macharow ponoć również pracowali dla służb specjalnych. A ten Eger? Czy aby na pewno był po prostu cholernie osobliwym, okrutnym seryjnym mordercą? A może agentem specjalnym z licencją na zabijanie? Jegoteczka osobowa mogła zostać sfabrykowana i wykorzystana jako zabezpieczenie lojalności, swoisty weksel in blanco.

Nagle komisarz poczuł się wyjątkowo nieznaczący i słaby. Wydawało mu się, że jest jedynie bardzo słabym ogniwiem w ogromnym łańcuchu wydarzeń. Opuścił ramiona, jednocześnie napinając mięśnie. Z kabiny więźniarki wyszedł strażnik. W środku zapewne siedziało dwóch kolejnych.

– A pański partner? – Major wymownie zerknął w stronę nieoznakowanego radiowozu.

Deryło dopiero po chwili zrozumiał, co miał na myśli.

– Poradzę sobie sam. Mamy procedury odmienne od waszych...

– Skoro tak pan mówi. Ale ostrzegam, zaraz pan zobaczy prawdziwą bestię.

Gawlik podszedł do otwieranych tylnych drzwi więźniarki i głośno podał kod. Po chwili głucho szczyknął zamek. Drzwi powoli się otworzyły. Deryło zerknął do środka i zamarł w bezruchu.

Więzień miał na sobie intensywnie pomarańczowy kombinezon. Nie był przesadnie postawny, ale mimo że siedział, wydawał się

ponadprzeciętnie wysoki. W półmroku przedziału transportowego łyśkały łańcuchy kajdan krępujących jego ręce oraz nogi. Na głowie miał założony rodzaj kasku oraz przesłony na twarz. Widząc zdziwione spojrzenie Deryły, major Gawlik wskazał w stronę Egera.

– Usiłował gryźć... Dlatego musieliśmy mu założyć śliniaczek.

– Gryźć?

– Czy nie był pan na to przygotowany, komisarzu?

Gawlik wydał wargi w sarkastycznym uśmiechu i skinął na podwładnych.

– Wyprowadźcie go. A ty – zwrócił się wprost do więźnia – uspokój się, bo w końcu ktoś odstrzeli ci łeb. Dobra, dobra, wiem, że dziś byłeś grzeczny...

Stepan Eger się nie odezwał. Nie zważał na to, że strażnicy wstali, lecz wciąż siedząc, lustrował spojrzeniem Deryłę. Mimo że zza przesłony jego oczy były niemal niewidoczne, nie budziło wątpliwości, że patrzy właśnie na niego.

– Wstawaj – warknął jeden z funkcjonariuszy.

Eger jedynie cicho warknął. W tym krótkim odgłosie rozbrzmiała cała dzikość jego natury. Wreszcie powoli podniósł się z miejsca i przeciągał barki. Zgodnie z przypuszczeniem komisarza mierzył niemal dwa metry wzrostu, wobec czego był o dobrych kilka centymetrów wyższy od niego. Przez kilka sekund stał, ciężko oddychając i w miarę możliwości, pozostawionych przez kajdany, rozciągał kolejne mięśnie. Na koniec gimnastyki poruszył głową na boki, a potem do tyłu i do przodu. Strażnicy odsunęli się, jakby w obawie, że będzie usiłował ich zaatakować kaskiem.

– Wyłaż – nakazał mu Gawlik. – Przesiadasz się do drugiego auta. No, biegusiem, mój drogi. Czyżbyś nie rozumiał po polsku?

Z ust więźnia ponownie dobyło się warknięcie. Deryło odsunął się od furgonetki, robiąc miejsce dla eskortujących więźnia

funkcjonariuszy. Dotąd zdawało mu się, że jego misja jest niewykonalna, a teraz czuł się nieswojo, mając świadomość, że będzie musiał wsiąść do auta z kimś, dla kogo mordowanie przez całe lata stanowiło wyborną rozrywkę. Mimo wszelkich zabezpieczeń, łańcuchów, kajdan i kasku zdawało się, że Eger w każdej chwili może się uwolnić. Sprawiał wrażenie poruszającego się całkowicie swobodnie, jakby nic nie utrudniało mu ruchów. Podszedł do brzegu auta zupełnie naturalnie, po czym z niezwykłą swobodą zeskoczył na ziemię.

– Teraz to już tylko pański problem. – Major Gawlik podał Deryle klucze do kajdanek, po czym z błyskiem w oku niedbale mu zasalutował. – Żegnaj, Stepan. Poznanie ciebie nie było nawet najmniejszą przyjemnością. Właściwie powinienem powiedzieć: idź do piekła.

Eger odwrócił się do Gawlika, lecz zaraz spuścił głowę i głęboko nabrał powietrza. Z wyraźną przyjemnością wdychał rześki, przyjemny zapach przyleśnych pól. Maską zasłaniająca dół jego twarzy zafalowała, gdy usiłował zaczerpnąć tchu ustami. Po chwili zupełnie spokojnie ruszył w stronę Deryły.

– Może jednak skusi się pan na eskortę? – Gawlik jeszcze raz łypnął na komisarza. – Jesteście tylko we dwóch...

– Nie trzeba. – Komisarz stanął za Egerem i delikatnie pchnął go w stronę auta. – Nie wiadomo, który z waszych wozów może być śledzony. Lepiej dmuchać na zimne... I pamiętajcie, jedźcie zmienioną trasą.

– Skoro wszyscy tak twierdzą...

Deryło nie wiedział, kim byli wszyscy. Nie interesowało go to. Czas nieubłaganie pędził i nie mógł zwlekać już ani chwili. Nawet gdyby major miał teraz nabrać jakichkolwiek podejrzeń, nie powinien się wahać. Przed oczyma stanął mu obraz Tamary uwięzionej w jakiejś cholernej dziurze. Zapalnik obok niej nieustannie cykał, a do tego ilość powietrza mogła zostać tak

obliczona, by wybuch jedynie dopełnił dzieła. Miał naprawdę okropne przeczucie.

64

– Ja pieprzę, czy ten człowiek to jakiś Osama bin Laden?

Dżej Zi mówił szeptem, jakby bał się, że Eger go usłyszy. Do tego łąpał na niego we wstecznym lusterku, lecz co chwila odwracał wzrok, starając się udawać, że robi to tylko przez przypadek. Jednocześnie telepał się jak osika.

Reakcja tatuażysty nieco rozluźniła Deryłę. Uświadomiła mu, że na drabinie rozwoju gatunków znajduje się znacznie wyżej i że właściwie nie powinien się bać. Starał się stworzyć choćby pozory panowania nad sytuacją. Jechał powoli, zbierając myśli. Przez cały czas niecierpliwie oczekiwał telefonu od Syzyfa, ten jednak milczał jak zaklęty.

– Mamy w aucie cholernego terrorystę, prawda? – dopytywał Dżej Zi. – Może powinien go pan wysadzić i po prostu zastrzelić... To właśnie jest pańskie zadanie? Chociaż wysadzić to złe słowo, ale rozumie pan, co mam na myśli. Zawsze wiedziałem, że terrorystów nie trzyma się w więzieniach, ale po cichu likwiduje. To sprytne. To naprawdę sprytne.

Tatuażysta znacząco uniósł szczupły palec i potrząsnął nim. Czując na karku palące spojrzenie Egera, poprawił się w fotelu, po czym odwrócił w stronę okna.

– Nie podoba mi się to wszystko... Nie cierpię terroryzmu i przemocy. Nigdy nie zrobiłbym tatuażu fundamentalistom.

– Znowu zaczynasz?

– Że co? Po prostu, panie komisarzu, to wszystko jest ponad moje nerwy. Takie sytuacje są cholernie niezdrowe i sprawiają, że mam ochotę zapalić.

– Nawet o tym nie śnij.

– Kilka buchów sprawiłoby, że bym się rozluźnił. Pan również powinien tego spróbować.

– Zamknij się.

– O właśnie, ciągle buzują w panu emocje. Do tego cholernie negatywne emocje...

Mimo roztrzęsienia Dzej Zi jednak zamilkł. Schował twarz w dłoniach i zaczął palcami masować zamknięte oczy. Deryło nie zwracał na niego uwagi. Sam również co chwilę zerkał w lusterko, upewniając się, że więzień nie usiłuje majstrować przy specjalnym mechanizmie mocującym jego kajdany do pasów. Choć oddzielała ich metalowa krata, czuł się w jego towarzystwie nadzwyczaj spięty. Nigdy nie lubił przebywać w zamkniętych przestrzeniach z szaleńcami, choćby ci byli całkowicie spacyfikowani. Wiedział, na co ich stać i wspomnienia z dziesiątek przeprowadzanych spraw co rusz stawały mu przed oczami.

Komórka niezmiennie uparcie milczała. Komisarz nie miał pojęcia, w którą stronę powinien się kierować, wobec czego po raz kolejny zdał się na instynkt i ruszył na południowy wschód. Zamierzał uratować Halera, choćby ta była przetrzymywana na terytorium Ukrainy. Obiecał sobie i jej, że znajdzie na wszystko sposób. Tylko to trzymało go w jako takiej formie i pchało do przodu. Gdyby nie myśl o podkomisarzu, już dawno by zbastował i po prostu odpuścił. Albo popadł w całkowity obłąd.

Nerwowo wyciągnął telefon z kieszeni, po czym zerknął na wyświetlacz. Obawiał się, że przegapił dźwięk połączenia. Mimo to na ekranie nie było żadnego komunikatu. Cicho zaklął i po raz setny zerknął w lusterko. Eger siedział spokojnie, z wysoko

zadartym podbródkiem, jakby chciał wygodnie oprzeć kask o zagłówek. Zdawało się, że śpi.

Nagle w głowie komisarza zakołatała pewna myśl. Skupił się na niej i zaczął roztrząsać jej wady oraz zalety. Jak zwykle jedne i drugie zdawały się doskonale równoważyć. Mimo to musiał spróbować. Nie pozostawiono mu wyboru. Gwałtownie zjechał na pobocze i wcisnął pedał hamulca.

– Wysiadaj – rzucił do Dżeja Ziego. – No, już. Won z auta.

– Ale...

– Chyba nie podobało ci się to towarzystwo?

Tatuażysta złęknionym wzrokiem spojrzął na komisarza.

– Chce mnie pan wyrzucić na tym zadupiu? Niby w jaki sposób wrócę do Lublina?

– Zatrzymasz jakieś auto do kontroli. – Deryło pospieszył go skinieniem głowy. – Możesz sobie zostawić mundur, ale jeśli komuś zdradzisz, co widziałeś, wiesz, co się stanie.

Dżej Zi westchnął.

– Powiedz, że wiesz.

– Wiem.

– No to spływaj.

Tatuażysta otworzył drzwi i nie patrząc na Egera, pośpiesznie wysiadł. W tym samym momencie Deryło dodał gazu.

– Zostaliśmy sami, sukinsynu – wycedził. – Nadszedł czas, żebyśmy sobie szczerze porozmawiali.

Eger jedynie przechylił głowę. Deryło miał wrażenie, że schowane za maską usta mężczyzny wygięły się w uśmiechu.

Minęła dziesiąta. Wszystko wskazywało, że na uratowanie Haler pozostało już naprawdę niewiele czasu. Dwie osoby, które z pewnością wiedziały, gdzie jest przetrzymywana, nie żyły. Syzyf był nieosiągalny, zapewne zaszyty w jakiejś norze, z której w miarę możliwości śledził poczynania komisarza. Deryło miał jednak dziwne przeczucie, że to Eger stanowi klucz potrzebny do tego, by dotrzeć do Tamary.

Z całej siły zaciskając dłonie na kierownicy, pędził podrzędną drogą. Nie był pewny, czy Dzej Zi po skorzystaniu z podwózki nie poważy się, aby go zdradzić. Niby ryzyko takiego działania było dla niego zbyt duże, a korzyści znikome, lecz komisarz wolał nie sprawdzać lojalności tatuażysty. Właściwie nie wiedział, czy w półświatku zdradzenie gliniarza nie jest cenione mocniej, niż znienawidzona bywała krótka współpraca. Już dawno powinien to zweryfikować, szczególnie biorąc pod uwagę zakres pomocy udzielonej mu przez Dzeja Ziego. Półświatek nie powinien się obrazić, skoro była to relacja zupełnie nieoficjalna. Żadnych lojalek, żadnych wsyp ani donosów. No, może kilkukrotna powierzchowna infiltracja. Ogólnie nic wielkiego, choć lata temu, gdy stołeczne gangi trzęsły Polską, zdarzały się egzekucje za jakikolwiek kontakt z glinami. Wystarczyła krótka, przypadkowa rozmowa i można było zarobić kulkę. Ale tamte czasy już się skończyły... Jednak czy aby na pewno? Przecież rozgrywki wywiadów oraz agentów również kojarzyły się przede wszystkim z przeszłością albo filmami akcji...

Deryło zerknął w lusterko. Przez chwilę przyglądał się Egerowi, który zdawał się tkwić w całkowitym bezruchu. Nadal opierał się o zagłówek, a maska na jego twarzy wydymała się w rytmie regularnych oddechów. Przypominające kaganiec zabezpieczenie ust nadawało mu przerażający wygląd. W swojej karierze komisarz tylko kilkukrotnie spotkał się z koniecznością zastosowania tego sprzętu. Procedury uzależniały je od

indywidualnego przypadku oraz decyzji dowódcy konwoju lub konkretnego zakładu.

Stepan Eger nagle otworzył oczy. Przez zrobioną z pleksiglasu szybkę wydawały się zamglone i zniekształcone. Nie można było mieć pewności, na co dokładnie mężczyzna patrzy. Mimo to Deryło nie spuścił wzroku. Jeszcze przez kilka sekund obserwował aresztanta w lusterku, jednocześnie uważnie obserwując otoczenie.

Gdy spostrzegł boczną dróżkę prowadzącą w stronę lasu, gwałtownie skręcił. Aby nie roztrzaskać zawieszenia auta, musiał zdecydowanie zwolnić. W głębi duszy wciąż nie miał pewności, czy postępuje właściwie. Wszystko, co robił, mogło być zwykłą stratą czasu. Serce waliło mu jak oszalałe, a w wyobraźni wciąż przewijał się obraz Tamary. Gdyby tylko to ona była na jego miejscu... Wtedy byłby niemal spokojny o swój los. Albo teraz tylko tak myślał, z perspektywy bezpiecznego samochodu i zagrożenia ze strony zakutego w kajdany więźnia. Bułka z masłem...

Rozejrzał się i zatrzymał auto. Wokół nie było żadnych zabudowań. Odblokował tylne drzwi, wysiadł z samochodu, po czym przesiadł się na tył. Usiadł obok Egera. Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Gdzie jest moja partnerka? – Deryło znacząco pochylił głowę. – No, gadaj!

Eger pozostał całkowicie niewzruszony.

– Ci gnoje uwięzili ją w jakimś miejscu, które dobrze znasz. Gdzie przetrzymywałeś te swoje cholerne Ukrainki, co?

Nic. Cisza. Żadnej odpowiedzi ani choćby najdrobniejszej reakcji.

– Posłuchaj... Jeśli nie porozmawiamy po dobroci, najpierw wyłamię ci palec po palcu, a potem oderżnę dłonie i całe ręce. Mam mało czasu. Natomiast jeśli mi pomożesz, pogadam z prokuratorem...

Nadal nic. Eger jedynie poruszył się, jakby rozciągał zdętwiałe ramiona. Nawet się nie odwrócił do komisarza.

– Ty gnoju...

Deryło przysunął się do więźnia tak, że ich kolana się zetknęły. Nachylił się, niemal dotykając czołem maski Egera. Jednocześnie chwycił go za kark i z całej siły wbił w niego palce. Doskonale wiedział, jaki ból sprawia nacisk właśnie w tym miejscu. W ciągu kariery, chcąc nie chcąc, poznał wiele tajników przesłuchań, które miały zmuszać do zeznań, lecz nie pozostawić żadnych śladów. Małe siniaki były dopuszczalne.

– Odezwij się, ty cholerny sukinsynu! Dobrze wiesz, o co cię pytam, i uwierz, że zrobię wszystko, aby uratować Tamarę. Choćbym miał trafić na resztę życia do więzienia, a potem w najgorszy kąt piekła.

Wbijał palce tak mocno, że rozboleła go dłoń. Eger pochylił się i sapnął z bólu, a po jego karku przebiegł dreszcz jak u kota drapanego pod włos. Deryło nagle go puścił. Odchylił się i uniósł pięść. W chwili gdy był gotów wymierzyć aresztantowi cios prosto w potylicę, usłyszał dzwonek telefonu.

66

Doktor pilnie obserwował reakcję Pacjenta. Ostatnie zdania z dokumentu mężczyzna odczytywał, już jedynie mruczając, a nie jak dotąd na głos. Marszczył przy tym czoło i od czasu do czasu parskął. Momentami z niedowierzaniem kręcił głową. Wreszcie, gdy zamilkł, spojrzał na Doktora.

– Co to jest, do cholery? – warknął. – Przecież...

– Dlaczego się denerwujesz?

– Ja... Nie denerwuję się. Po prostu... Nie wiem, proszę, doktorze, niech mi doktor powie, co to jest.

– Dobrze wiesz, co to. Nie zamierzasz chyba powiedzieć, że masz problemy z pamięcią.

Pacjent skrzywił się i otworzył usta. Jego duże, tłuste wargi lśniły od śliny.

– Nie jestem mądry, doktorze, ale ja tego nie zrobiłem.

– A więc rozumiesz, co przeczytałeś?

– To opis mojego snu, który panu opowiedziałem przed paroma dniami.

– Przed tygodniem.

– Być może. – Pacjent zwiesił głowę, po czym ciężko westchnął. Jego muskularne ramiona opadły, a żyła na szyi uwypukliła się i zapulsowała w rytmie przyśpieszonych uderzeń serca. – Być może to było przed tygodniem, ale to bez znaczenia...

– Owszem, to ma znaczenie.

Doktor wskazał na trzymaną przez Pacjenta drugą kartkę.

– Swoją relację z koszmaru o mumifikowaniu zwłok kobiety przeczytałeś na głos, a ten artykuł tylko wymamrotałeś pod nosem. Dlaczego?

– Ja... Nie wiem.

– Wiesz. I musisz mi to powiedzieć.

Pacjent nagle się wyprostował i przeciągnął dłońmi po twarzy. Zaczął drżeć na całym ciele, a z jego oczu popłynęły łzy.

– Dlaczego wymamrotałeś ten artykuł? Wstydziliś się czegoś?

– Panie doktorze...

– Dlaczego?!

Ostry, krótki krzyk Doktora sprawił, że Pacjent opanował łzy i pokiwał głową. Za wszelką cenę starał się uspokoić.

– Dlatego, że ten artykuł opisuje morderstwo popełnione w taki sam sposób, jak o nim śniłem.

– Właśnie.

– Ale to nie ja... Przysięgam...

Doktor odchylił głowę w fotelu i przez chwilę wpatrywał się w sufit. Złożył dłonie w piramidkę, po czym ponownie spojrzął na Pacjenta.

– Wiesz, kiedy popełniono to morderstwo?

– Nie.

– Wobec tego słuchaj uważnie. – Doktor spojrzął prosto w oczy mężczyzny. Również na jego czole pojawiły się kropelki potu. – Ktoś wydlubał tamtej kobiecie oczy i wyciągnął przez oczodoły część jej mózgu... Wieczorem, w dniu, w którym opowiedziałeś mi swój sen.

– Przecież...

Doktor nie pozwolił sobie przerwać.

– Nie powiesz mi chyba, że widzisz przyszłość i że twoje sny są prorocze. A może właśnie tak jest?

67

Deryło przez chwilę się wahał, czy sięgnąć po telefon. Przez myśl przeszło mu, że wciąż znajduje się na podsłuchu i że Syzyf dzwoni, by zapobiec wyciągnięciu przez niego informacji o miejscu uwięzienia Tamary. Nie mógł być tego pewny, a jednak korciło go, by nie odebrać.

Eger wciąż siedział z pochyloną głową. Nacisk na kark sprawił mu wyraźny ból, który wciąż nie minął. Mimo to nie wydawało się, aby był skłonny do współpracy.

Odgłos rozsuwanego i zasuwanego zamka dobywał się raz po raz. Deryło poczuł pot zbierający się mu na czole poniżej linii włosów. Dotknął kieszeni. Powoli, jakby grając z samym sobą na

czas, wsunął do niej palce. Sięgnął po telefon i powoli obrócił go w dłoni. Był gotów nacisnąć czerwoną słuchawkę.

Co by się stało, gdyby teraz zaczął działać na własnych zasadach? Co zrobiłby Syzyf, gdyby przejął pałeczkę rozgrywającego i pokrzyżował jego szaleńcze plany?

Telefon przestał dzwonić, a na ekranie wyświetlił się komunikat o nieodebranym połączeniu. Komisarz sapnął i zacisnął usta. Łypnął na Egera. Ten niezmiennie siedział odwrócony, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Był gotów ponownie go chwycić, lecz tym razem sprawić mu jeszcze większy ból. Wykręcić rękę ze stawu, a potem, gdyby była taka potrzeba, zrealizować groźbę obcięcia mu palców. Jednego po drugim...

W momencie, gdy nachylił się ku więźniowi, poczuł nagłe szarpnięcie. W pierwszej chwili nie wiedział, co się stało, potem uznał, że auto musiało zeskoczyć z jakiejś nierównej powierzchni. Zapewne nie zaciągnął hamulca ręcznego. Jednak sekundę później szarpnięcie powtórzyło się, a silnik samochodu odpalił. Włączyło się światło kabinowe, po czym opadły blokady drzwi.

– Cholera...

Deryło błyskawicznie odwrócił się i szarpnął za klamkę. Nic to nie dało. Szarpnął raz jeszcze, tak że niewiele brakowało, by klamka została mu w dłoni. Bezskutecznie. Był uwięziony razem z Egerem na tyle policyjnego radiowozu. Od kabiny kierowcy oddzielała go solidna metalowa kratka, której, wiedział, że nie da rady zdemontować. Wzmacniane szyby zgodnie ze specyfikacją miały być odporne nie tylko na uderzenia pięścią, lecz również na rzucane kamienie i butelki. Komisarz bezradnie zamachnął się i stuknął w nią łokciem. Szyba ani drgnęła, a jego ramię przeszył tępy ból.

– Cholera... – zaklął ponownie.

Zapobiegawczo odsunął się od Egera i zerknął, upewniając się, że mężczyzna ma zapięte kajdanki na rękach oraz nogach. Syzyf

mógł w każdej chwili zwolnić mechanizm, który uniemożliwiał aresztantowi wstanie.

Deryło błyskawicznie rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł żadnej możliwości ucieczki. Znajdował się w cholernej pułapce bez wyjścia. W więzieniu na kołach, z którego nie można było uciec.

Eger odwrócił się do niego i zdawało się, że spogląda na komisarza spode łba. Deryło zacisnął pięści, lecz w tym samym momencie ponownie rozdzwonił się jego telefon. Leżał na kanapie między nim oraz aresztantem. Szybkim ruchem chwycił go i tym razem natychmiast odebrał. Przez kilka sekund z mikrofonu dobiegał jedynie cichy szum. Dopiero gdy Deryło nerwowo odchrząknął, Syzyf odezwał się monotonnym, spokojnym tonem.

– Mam nadzieję, że poprzednim razem po prostu nie zdążył pan podnieść słuchawki, a nie, że chciał mnie pan olać.

– Miałem coś do roboty.

– O tak, z pewnością... Dlatego zatrzymał się pan na całkowitym zadupiu. Ale nie poszedł się pan wysikać.

– Jestem w aucie ze Stepanem Egerem.

Ten komunikat sprawił, że Syzyf głośno wciągnął powietrze. Po chwili ze słuchawki wydobyło się coś przypominającego krótki, tryumfalny chichot.

– Dobrze, bardzo dobrze, komisarzu. Spisał się pan naprawdę na medal.

– Teraz powiedz, gdzie jest Tamara. – Deryło starał się wyzbyć błagalnego tonu. – Mów, gdzie ona jest!

– Nie tak prędko, mój drogi. Nie tak prędko.

– Taka była umowa.

– O nie, nie. Umawialiśmy się zupełnie inaczej. – Syzyf parsknął. Wciąż nie mógł pohamować zadowolenia. – Musi mi pan dostarczyć Egera żywego, a wtedy powiem, w jaki sposób uwolnić pańską partnerkę.

Deryło się skrzywił. Niemal każdym porem ciała czuł upływ czasu. Zerknął na Egera i aż zdrewniał. Mężczyzna był odwrócony i nachylał się w jego stronę. Jego twarz od twarzy Deryły dzieliło ledwie kilka centymetrów. Szarpnął kajdanami, lecz te wciąż pozostawały zapięte. Mechanizm również trzymał go w specjalnym siedzisku.

– Skąd mam mieć pewność, że jej nie zabijesz? – zapytał komisarz, odsuwając się w stronę drzwi.

– Nie może jej pan mieć. Ale w wyrazie sympatii dam panu niebawem dowód, że panna Haler nadal żyje.

– Zrób to teraz.

– Teraz posłusznie przesiądzie się pan do przodu i wpisze do nawigacji podyktowane przeze mnie współrzędne.

Szyf wymownie westchnął i w tym samym momencie blokada drzwi odskoczyła.

68

– Jazda potrwa około godziny. – Deryło rzucił to do słuchawki, gdy nawigacja przetrawiła wpisane przez niego współrzędne. – To cholernie dużo czasu...

– Myśli pan, że gdy pan odbijał Egera, ja próżnowałem? – Szyf zachichotał. – Mówiono już panu, że nagrania z głosem podkomisarz Haler są odpowiednio przetransferowywane. Ani przez moment nie była choćby w promieniu kilkunastu kilometrów od pana.

– Czyli dokładnie wiesz, gdzie ona jest?

– Być może.

Deryło zerknął na zegarek. Pozostało mu około dwóch godzin do momentu, gdy zapalnik miał aktywować ładunek wybuchowy. Jakakolwiek pomyłka lub opóźnienie mogły kosztować Tamarę życie. O ile w ogóle Syzyf przewidywał jej uwolnienie, w co komisarz głęboko wątpił.

– Rozumiesz, że Tamara może zginąć, nim dojadę na miejsce?

– Istnieje takie ryzyko, o ile się pan nie pośpieszy.

Beznamiętny ton Syzyfa sprawił, że po karku komisarza przebiegł dreszcz.

– Okej, okej... – wyszeptał, wrzucając bieg. – Powiedz mi tylko, czy służby już wiedzą, że więzień trafił w nieuprawnione ręce. Masz na ten temat jakiegokolwiek informacje?

– Gdyby włączył pan radio, usłyszałby pan, że właśnie rozpoczęto poszukiwania.

– Kurwa... I będąc ściganym, mam pokonać stukilometrową trasę?

– Mniej więcej tak.

Deryło głośno wypuścił powietrze i zaśmiał się histerycznie.

– Pięknie, pięknie! Uczestniczę w całkowitym szaleństwie!

– Już tak pan mówił, a jednak gładko sobie poradził. Przypominam, komisarzu, że czas ucieka.

– Przyrzekłeś, że dasz mi dowód, że Tamara żyje...

Syzyf parsknął.

– Może tak, może nie. Musi pan zaakceptować, że wszystko zależy od mojej łaski. Od mojego widzimisię oraz humoru, a ten, wie pan, jak może polepszyć.

Z głośnika dobiegł dźwięk zakończonego połączenia. Deryło rzucił telefon na siedzenie pasażera i zerknął na ekran nawigacji. Do pokonania pozostało mu dokładnie sto siedem kilometrów. Trasa biegła na południowy wschód, w stronę Zamościa.

Komisarz na chybił trafił wybierał kolejne opcje na ekranie dotykowym samochodu. Wreszcie udało mu się trafić na to, czego

szukał. Opcję: „Wybierz drogi lokalne”. Wierzył, że poruszając się drugorzędnymi, nieuczęszczanymi traktami, będzie miał choć cień szansy uniknięcia pościgu.

Po obliczeniu nowej trasy nawigacja wskazywała, że od celu dzieli go dokładnie sto czterdzieści jeden kilometrów. Czyli przy racjonalnym założeniu systemu dwie godziny oraz siedem minut jazdy. Stanowczo zbyt wiele. Tamara miała umrzeć jakieś pół godziny wcześniej.

69

Deryło pędził jak szalony. Mimo że nawierzchnia w wielu miejscach przypominała irakijski pas startowy po amerykańskim bombardowaniu, niemal nie zwalniał. Co rusz zawieszenie auta zgrzytało, a podwozie ocierało się o wyboje. Na szczęście mnóstwo systemów elektronicznych oraz porządne opony trzymały je w ryzach przy pokonywaniu zakrętów.

Przez cały czas komisarz analizował wydarzenia z ostatnich godzin. Przed oczyma na zmianę stawała mu twarz Halera oraz Syzyfa. Raz po raz zastanawiał się, kim naprawdę jest ten szaleniec i co go łączyło z Egerem. Czy znając odpowiedzi na te pytania, mógłby uwolnić Tamarę? Czy cokolwiek by to zmieniło?

Nie sądził. Najbardziej prawdopodobny jego zdaniem scenariusz zakładał, że Syzyf był współnikiem mordercy. Nie chciał, aby ten ujawnił ich sekrety oraz jego możliwy współudział. Być może obawiał się, że Eger pójdzie na współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Na razie, jako całkowicie nieujawniony zabójca, mógł się czuć względnie bezpiecznie. Jednak wraz z ujściem współnika jego spokój musiał się zawalić. Mimo to nie obawiał się,

że Deryło mógłby doprowadzić do jego zatrzymania. To skłaniało do stawiania kolejnych pytań, na które komisarz nie znajdował już odpowiedzi. Jedyna, mglista, zakładała, że Syzyf nie dopuszczał możliwości, by go wydał – być może przez dłuższy czas, trzymając go w szachu przetrzymywaną w niewoli Tamarą. Ale przecież to nie mogłoby trwać wiecznie. Chyba że mężczyzna miał przygotowany plan ucieczki i był pewny, że ta mu się powiedzie. W dzisiejszym świecie nie było to jednak łatwe, choć nie było też niemożliwe. Poza tym operacje plastyczne potrafiły stworzyć człowieka na nowo...

Drugi scenariusz zakładał wariant niemal przeciwny. Taki, że Syzyf zamierza zamordować Egera. Że tak naprawdę to on, a nie bracia Macharow, poszukuje zemsty za jakąś zbrodnię. W takim razie dlaczego po drodze do celu sam eliminowałby tyle osób? A jeśli to bracia Macharow byli współnikami Egera?

Deryło zerknął w lusterko. Morderca siedział w całkowitym bezruchu, z odchyłoną głową i przymkniętymi oczami. Maseczka na jego ustach falowała w równym rytmie oddechów. Najwyraźniej ululany podróżą spał. Komisarz poczuł nieprzebraną niechęć do tej upiornej bestii. Najchętniej zatrzymałby auto i stłukł go na kwaśne jabłko. Nigdy do końca nie wierzył we współczesny wymiar sprawiedliwości. Seryjni mordercy powinni cierpieć znacznie bardziej niż zamknięci w celi, karmieni lepiej niż pacjenci szpitali i z dostępem do telewizji oraz gier komputerowych. Być może zgodziłby się nawet z koncepcją, że powinni być regularnie torturowani. Czasem jego poglądy były wyrwane z innej epoki, ale nigdy się z tym nie ukrywał. Choćby skazywano go na ostracyzm, nie cenzurował języka ani przekonań.

– Kim jest Syzyf? – Deryło wypowiedział to pytanie, nie przenosząc wzroku ku lusterku. – To twój przyjaciel? Współpracownik?

Eger milczał. Nawet nie drgnął, jakby niezmiennie był pogrążony w głębokim śnie.

– Wiesz, że chce cię uwolnić? I wiesz też, że byłeś o krok od śmierci?

Ostatnie słowa wzbudziły zainteresowanie mordercy. Delikatnie obrócił głowę, po czym oderwał ją od zagłówek. Choć nie było tego widać, Deryło wiedział, że otworzył oczy i wbił w niego spojrzenie.

– O tak, byłeś o krok od śmierci. Są ludzie, którzy chcą cię zabić, więc jeśli zaczniesz ze mną współpracować, może ocalisz życie. Rozumiesz?

Nic. Żadnej odpowiedzi. Deryło przełknął ślinę, uświadamiając sobie, że mówiąc to wszystko na głos, mógł ściągnąć na siebie wściekłość Syzyfa. A tego wolał na razie uniknąć. Mężczyzna już kilkakrotnie dał popis swoim umiejętnościom i sadyzmowi. Komisarz nie mógł mu za grosz ufać, lecz musiał dopasować się do narzuconych przez niego reguł.

Z zamyślenia wyrwał go ryk syreny oraz trąbienie. Nagle zdał sobie sprawę, że kilkadziesiąt metrów przed nim znajduje się policyjna blokada. Jechał jednopasmówką, która uniemożliwiała zawrócenie w taki sposób, by nie zwrócić na siebie uwagi. Cicho zaklął.

– I co teraz?

Nie miał pojęcia, czy zwraca się sam do siebie, do Egera czy może podsłuchującego go bez przerwy Syzyfa. A może to pytanie kierował prosto do Boga.

Od blokady dzieliły ich już tylko trzy auta. Pierwsze policjanci przepuścili bez problemu, do drugiego zajrzeli i poprosili kierowcę o dokumenty. W tym samym momencie uwagę jednego z nich zwrócił samochód, w którym znajdował się Deryło oraz Eger. Trącił towarzysza i wskazał w ich stronę palcem. Krępy sierżant pokiwał głową. Rezolutnym gestem nakazał sprawdzonemu kierowcy jechać dalej, po czym skierował się ku Deryle. Jednocześnie sięgnął ku kaburze.

– Cholera...

Komisarz wiedział, że nie ma czasu na zastanawianie się. Coś musiało zwrócić uwagę gliniarzy i nie miało znaczenia, co to było. Lada moment zostanie zatrzymany, a Tamara straci szansę na przeżycie. To dla niej robił to wszystko. To myśl o niej pchała go do przodu, choć najchętniej wysiadłby właśnie z auta z wysoko uniesionymi rękoma. Jedna część jego mózgu miała naprawdę święcie dość. Marzył o odpoczynku, bez względu na to, czy będzie to odpoczynek na betonowej posadzce celi, czy w szpitalu psychiatrycznym.

Mimo to druga część przywoływała wspomnienie Tamary i nakazywała mu działać. Wciąż to ona brała górę i wydawała polecenia mięśniom. Dlatego też niemal automatycznie Deryło wrzucił bieg wsteczny, po czym dodał gazu. Na szczęście z tyłu nie ustawiły się jeszcze żadne auta. Nim policjanci zdążyli zareagować, pokonał co najmniej sto metrów i znalazł się poza strefą bezpiecznego oddania strzału. Jak nikt znał procedury, więc wiedział, że żaden z funkcjonariuszy nie poważy się na ryzyko postrzelenia kogoś postronnego. Im obiekt znajduje się dalej, tym wyżej się mierzy, a przez to chybiony strzał leci dalej. To właśnie, zapominając o tej zasadzie, najczęściej dochodziło do postrzelen przez myśliwych.

Komisarz z piskiem opon zawrócił auto. Na moment jedno z przednich kół straciło przyczepność i zawisło nad niewielkim

rowem, lecz na szczęście samochód miał napęd na tył. Po chwili wyrwał dziko do przodu. Mimo to stracone dwie lub trzy sekundy sprawiły, że policjanci z blokady zdołali oprzytomnieć po początkowym zaskoczeniu. Jeden z radiowozów wycofywał, by z rykiem silnika ruszyć w pościg. Kierowca drugiego właśnie wsiadał do środka. Deryło wydawało się, że gdzieś z tyłu słyszy krzyki. Być może przez megafon nakazywano mu zatrzymać się, ale nie zamierzał nawet się nad tym zastanawiać.

Jak na złość dwa zjazdy w boczne ścieżki pod rząd zagrodzone były drewnianymi szlabanami stosowanymi przez okolicznych rolników wyczulonych zapewne na rajdy crossowe i zabawy kładami. A może chodziło o coś zupełnie innego?

Deryło pochylił się i zerknął przez przednią szybę w górę. Nie miał wątpliwości, że akcji towarzyszy wsparcie powietrzne, lecz zastanawiał się, czy śmigłowce były już w powietrzu, czy czekały na lotnisku na dyspozycje. W tym drugim przypadku miałby co najmniej kilka minut na zerwanie się pogoni. Na niebie nie dostrzegł żadnej maszyny, lecz jeszcze przez chwilę jechał z otwartą szybą, nasłuchując łoskotu wirników. Słyszał jedynie pęd powietrza wpadającego do środka.

Łypnął w lusterko. Eger już nie siedział tak spokojnie jak dotąd. Teraz rozglądał się szaleńczo na boki i telepał głową, jakby świetnie się bawił. Komisarzowi zdawało się nawet, że słyszy jego stłumiony przez szum rechet. Ponownie skupił wzrok na drodze i jeszcze mocniej dodał gazu. Z tyłu dobiegło go zawodzące wycie syren. I chichot. Syreny i śmiech. Co za połączenie.

Deryło właściwie nie liczył na to, że ucieknie. Nie kalkulował i nie zastanawiał się nad tym. Adrenalina wyłączyła mu większą część mózgu, przekazując energię członkom odpowiedzialnym za rajdową jazdę. Pędził naprawdę szaleńczo, a mimo to względnie bezpiecznie.

– Trzymaj się... – syknął, biorąc nagle bardzo ostry zakręt.

Niemal pod kątem prostym władował się w boczną ścieżkę. Przemknął tuż obok przestraszonego rowerzysty, który o mały włos się nie przewrócił. Przez moment wahał się, czy nie wjechać na zaorane pole, lecz doszedł do wniosku, że auto mogłoby się zakopać, a wtedy znalazłby się na całkowicie otwartej przestrzeni. Oczywiście to byłby koniec.

Nagle, nie wiedzieć skąd, tuż za nim znalazł się wielki, policyjny SUV. Wyrósł w lusterku niczym ogromny statek i po chwili zbliżył się na tyle, że całkowicie wypełniła je wielka atrapa jego chłodnicy. Deryło zaklął.

Widział, że polna droga za jakieś sto metrów rozgałęzia się przy drewnianej kapliczce. Wolał uniknąć wjechania w nią i skoszenia malowanej figurki z Matką Boską oraz Dzieciątkiem, za co być może groziła kara znacznie dotkliwsza niż więzienie. Była to jedyna luźna myśl, która całkowicie mimochodem przeszła mu po głowie. Uśmiechnął się nerwowo i postanowił zaryzykować. Zdawał się na łaskę opatrności.

Kapliczka zbliżała się w błyskawicznym tempie. Był już od niej o trzydzieści metrów, ale w żaden sposób nie sygnalizował, gdzie skręci.

Dwadzieścia metrów.

Poruszał się niemal samym środkiem polnej ścieżyny, która po jednej stronie graniczyła ze rżyskiem, a z drugiej ograniczała ją ściana niewielkiego wąwozu. Co rusz wystawały z niej korzenie rosnących powyżej drzew.

Dziesięć metrów.

Pięć.

Deryło niemal niezauważalnie zwolnił, na tyle, by pojazd za nim prawie dotknął jego zderzaka. Kapliczka była już dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wydawało się, że komisarz postanowił za wszelką cenę się o nią rozbić. Wtedy jednocześnie zaciągnął hamulec ręczny i obrócił kierownicę. Tył auta, niczym na filmach, ułożył się dokładnie tak, jak tego pragnął. Minął kapliczkę dosłownie o centymetry.

Komisarz zerknął w lusterko. Ścigający go pojazd zahaczył o kamienną podstawę i odbił w drugą stronę. Po ułamku sekundy suv zniknął mu z pola widzenia, co świadczyło o tym, że przynajmniej na jakiś czas został wyeliminowany z pościgu.

Deryło głośno sapnął. O dach i szyby jego auta zastukały giętkie gałęzie zwieszające się z drzew rosnących tuż nad skarpą. Przez moment było ich tak wiele, że nie widział drogi.

Gdy nagle ponownie została odsłonięta perspektywa, Deryłę przebiegł lodowaty dreszcz. U wylotu dróżki stał policyjny suv, którego przed chwilą sądził, że zgubił. Najwidoczniej obie odnogi prowadziły do tego samego miejsca.

Nie miał szans, by się wycofać ani uciec gdziekolwiek w bok. To był koniec ucieczki i zapewne koniec Halera.

– Mój Boże... – wyszeptał.

Deryło z rezygnacją zwolnił. Nie zamierzał się zabić, próbując staranować wielkiego suva. To nie byłaby dobra ani estetyczna śmierć. To nie byłaby śmierć, która mogłaby cokolwiek zmienić albo zostać zapamiętana. Westchnął.

Dostrzegł policjanta mierzącego do niego z boku ścieżki. Drugi przyjął pozycję strzelecką, stojąc na rżysku tak, by mógł pohamować ewentualne zapędy destrukcyjne komisarza. Deryło był w kropce. Nie mógł zrobić już nic więcej. Przegrał i musiał to zaakceptować albo popaść w szaleństwo.

Kompletnie przybity wyhamował auto, jednak z niego nie wysiadł. A może wzmacniane szyby wytrzymałyby strzał? Może powinien spróbować rzucić się w ostatnią, straceńczą szarżę? Nie. To było niewykonalne. Suv blokował jeden kierunek jazdy, drugi był zamknięty przez skarpe, a trzeci stanowiło pole z grudami ziemi większymi od arbuźów. O szybkim wycofywaniu się nie było nawet mowy.

Komisarz, usiłując się uspokoić, położył obie dłonie na kierownicy. Zawsze starał się zachowywać z pewną dumą oraz godnością. Bez względu na to, co działo się wokół. Jednak teraz wspomnienie Tamary i świadomość tego, że ją zawiódł, spłynęły na niego ze zdwojoną siłą. Sprawily, że przebiegł go nieprzyjemny dreszcz rozpaczy. Był zmęczony, potwornie zmęczony, a napięte od wielu godzin mięśnie ramion bolały go tak, jakby były szarpane obcęgami.

– Tamara... – wyszeptał.

Jednocześnie po raz pierwszy od dawna w jego oczach zaskrzyły się łzy. Były to łzy nie tylko cierpienia, ale przede wszystkim wściekłości i bezradności. Czuł okropny, przejmujący zawód. Nie zdołał uratować osoby, która była mu bliska jak własna córka. Obwinał się, że był zbyt słaby i zbyt nieporadny. Zbyt stary. A może po prostu głupi. Wiele razy zawiódł w życiu osoby, które mu bezgranicznie ufały...

Spojrzał na biegnących w jego kierunku policjantów. Nie wiadomo skąd pojawili się kolejni, którzy ich asekurowali. W stronę wozu Deryły zmierzało trzech z nich. Jeden wysunął się na przód i gestem pokazał, by komisarz wyłączył silnik oraz

otworzył drzwi. Ten, jakby z mimowolną rezygnacją, przekreślił kluczyk. Jeszcze raz zerknął na Egera, który uspokoił się i ponownie zamarł w bezruchu.

– To koniec...

Deryło pchnął drzwi i uniósł ręce w górę. Czy nie powinien rzucić się na tych policjantów choćby z gołymi pięściami? Czy nie powinien walczyć do końca i zginąć? Przecież nie mógłby żyć ze świadomością, że Tamara zginęła przez jego nieudacznictwo. Nie zasługiwał na ani jedną minutę trwania, gdyby coś jej się stało. A teraz...

Przez moment skupił uwagę na kieszeni, w której trzymał telefon. Komórka milczała, choć Syzyf zapewne musiał już zwrócić uwagę, że auto zatrzymało się pośród bezdroży. Mimo wymaganego pośpiechu i uciekających sekund.

Deryło zerknął na wyświetlacz nawigacji. Do celu pozostało mu trzydzieści siedem kilometrów, co przekładało się na dwadzieścia dwie minuty drogi. Oznaczało to, że względem pierwotnych założeń nadrobił co najmniej kwadrans. Była dokładnie jedenasta dwadzieścia pięć. Haler pozostała jakaś godzina życia. Jednak teraz wszystko przestawało mieć już znaczenie i stawało się jedynie żalonym tłem, jękiem wyrzutu rozbrzmiewającym z tyłu jego głowy. Może próba rzucenia się na policjantów nie byłaby taka zła? Gdyby zginął podziurawiony niczym tarcza strzelnicza, zaoszczędziłby sobie najgorszych chwil życia. Wiedział, że najbliższe minuty przyprawiają go o szaleństwo, lecz właśnie szaleństwo mogło być jedyną pokutą, na jaką zasługiwał.

Powoli wciągnął powietrze i opuścił głowę. Kątem oka zaobserwował, że dwóch policjantów mierzy do niego zaledwie z kilku kroków, a trzeci zbliża się w jego stronę. Jednak ku zaskoczeniu komisarza minął go, po czym podszedł do auta. Zajrzał do środka.

– Ile zamordowałaś osób, co? – warknął do Egera. – Pieprzony drań. Cholerne bydlę, które nie powinno mieć prawa chodzić po tym świecie.

Deryło usłyszał ciche odchrząknięcie i wydało mu się, że Eger coś szepcze do funkcjonariusza. Powstrzymał się, by się nie odwrócić. Starał się wychwycić dobiegające z samochodu stłumione słowa. Nie potrafił ich jednak rozróżnić i uznał, że prawdopodobnie jedynie się przesłyszał. Niby dlaczego Eger miałby się odezwać do tego gliniarza, gdy przez dwie godziny nie wypowiedział do niego ani zdania? A może mu się coś w nim nie podobało? Może nie lubił brunetów? Szaleństwo mogła zwieńczyć jedynie kpiarska, żałosna konkluzja...

Komisarz nie zdążył sformułować kolejnej myśli. W momencie, gdy starał się sobie wszystko poukładać, policjant w kamizelce kuloodpornej i kasku chwycił go pod ramię, po czym odciągnął na bok. Ukradkiem dał znać swoim ludziom, by trzymali się z daleka.

– Cholernie miło pana spotkać, komisarzu Deryło... – wycedził.
– Choć okoliczności są, jakie są... – Nagle urwał, przygryzł wargę i po chwili odezwał się ponownie: – Musimy działać, jak nam każą, prawda? Jesteśmy tylko marionetkami w obcych rękach.

Policjant wymownie zerknął na trzymany w dłoni pistolet. Powoli go uniósł.

Dłoń policjanta powędrowała w górę. Deryło był pewny, że lada moment strzał przeszyje mu klatkę piersiową. Jak to uzasadnią? Próba ucieczki? A może usiłowanie zaatakowania uzbrojonego

gliniarza lub nieszczęśliwy wypadek? Wszystko można było zamieść pod dywan. Wszystko można było ukartować z zaskakującą łatwością.

W sumie śmierć nie byłaby taka zła. Wyprostował się i wstrzymał powietrze. Śmierć oznaczała kres cierpienia oraz samooskarżeń. Uwolniłaby go od szaleństwa i wyrwała ze spirali nieszczęść. Nie bał się. W jakiś sposób był nawet gotów umrzeć, jednocześnie nie widząc w tym niczego strasznego ani patetycznego. Po prostu właśnie przychodził jego kres.

– Po co to wszystko? – zapytał, lecz chyba nie zależało mu już na odpowiedzi.

Spojrzał wprost w oczy policjanta i kiwnął głową, jakby chciał mu dodać odwagi. O tak, wszyscy jesteśmy marionetkami w obcych rękach. Nie powinniśmy mieć wyrzutów sumienia, lecz musimy działać zgodnie z własnymi przekonaniem. Czy marionetki mogły mieć sumienie? Pomyślał, że to cholernie słaby dylemat, aby roztrząsając go, zakończyć życie.

– Strzelaj – wycedził z zaskakującym spokojem. – Choć nie wiem, kto za tym wszystkim stoi.

– Strzelać?

Policjant spojrzał na niego spode łba. Wszystko rozgrywało się w ciągu sekund, lecz Deryło miał wrażenie, że odkąd wysiadł z auta, minęła co najmniej godzina.

– Dlaczego miałbym strzelać? – Policjant uśmiechnął się zmieszany i skinął głową w stronę samochodu za plecami komisarza. – Niech pan wsiada i jedzie dalej.

– Co takiego?

Deryło w pierwszej chwili uznał, że się przesłyszał, ale nie mógł dopasować żadnych słów, by zmienić znaczenie zdania wypowiedzianego przez sierżanta.

– Powiedziałem, żeby pan wsiadał i szybko odjechał. Taki mam rozkaz.

– Ale...

Komisarz sapnął. Nie odwracając się, cofnął się o pół kroku.

– Chcecie strzelić mi w plecy, prawda? – zapytał ponuro. – Jakbym rzucił się nagle do ucieczki?

– Przepraszam, jeśli pana zawiodę, ale tego w rozkazie nie przewidziano.

– Więc po prostu mam odejść? Wsiąść do auta i odjechać? W takim razie po co był ten cały cyrk?

– Musieliśmy wiedzieć, czy pan to pan.

Kompletnie skołowany Deryło zrobił kolejne dwa kroki do tyłu. Auto musiało być już tuż za nim, a mimo to nie widział, aby ktokolwiek szykował się do strzału. Wydawało się nawet, że otaczający go policjanci się rozluźnili, jakby czekali, aż całe zamieszanie dobiegnie końca.

Eger... Czy to on mógł powiedzieć coś, co nakłoniło dowództwo do wstrzymania akcji? Jednak komisarz nie słyszał, by sierżant rozmawiał z jakimkolwiek przełożonym. A może już wcześniej było wiadomo, że akcja musi zostać przerwana po zaistnieniu jakichś konkretnych okoliczności? Cóż to mogły być za okoliczności?

Deryło, wciąż czując nieprzyjemny dreszcz, jakby szykował się na nagły ból, wskoczył do auta. Zatrzaskał drzwi i przekręcił kluczyk. Ku jego bezgranicznemu zdumieniu blokujący mu drogę SUV odjechał na bok. Większość policjantów opuściła pistolety. Deryło dodał gazu i z zaciekawieniem zerknął w lusterko. Eger znów siedział nieruchomo. Komisarz nie miał już jednak żadnych wątpliwości, że to on stanowi klucz do znalezienia odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Niestety, brakowało czasu, by się teraz nad tym zastanawiać. Już kilka godzin wcześniej postanowił, że wszystkie karty wyklada, biorąc udział w grze Syzyfa. Dopasowując się do niej.

Musiał to robić dalej, choć pewnie z jednej śmiertelnej pułapki pakował się w kolejną, jeszcze gorszą.

74

Do celu pozostało już tylko osiemset metrów, a komisarz nie miał pojęcia, co mogło nim być. Znajdował się pośrodku leśnych bezdroży, do granic możliwości eksploatując zawieszenie auta. Po tym, co przeszło przez ostatnie kilka godzin, powinno zostać uznane za konstrukcję stworzoną przez geniusza. Większość pojazdów w tym czasie rozpadłaby się na kilka części.

Od celu dzieli cię dwieście metrów.

Komunikat sprawił, że Deryło zaczął się rozglądać jeszcze uważniej. Zwolnił i nabrał czujności. Już daleko w tyle pozostawił rozważania o tym, dlaczego policjanci puścili go oraz Egera wolno. To było dawno temu i do tego teraz wydawało się całkowicie nieistotne. Liczyła się tylko Haler. A żeby do niej dotrzeć, musiał wypełnić polecenia Syzyfa. Tymczasem zaczął się obawiać, czy na pewno wpisał do nawigacji właściwe współrzędne.

Od celu dzieli cię sto metrów.

Nic. Cisza. Leśna głusza i wyboista błotnista ścieżka, którą jechał. Pokonanie ostatnich dwóch kilometrów zabrało mu więcej czasu niż przebycie wcześniejszych dwudziestu. Czas Tamary nieubłaganie dobiegał końca.

Deryło sięgnął po telefon i zerknął na wyświetlacz. Nie miał żadnych nieodebranych połączeń. Syzyf milczał, być może nie mając nawet pojęcia o perturbacjach z policyjnym pościgiem. Cierpliwie czekał, przygotowując komisarzowi serdeczne powitanie.

Od celu dzieli cię dwadzieścia metrów.

Jesteś u celu.

Dwa wygłoszone niemal pod rząd komunikaty sprawiły, że Deryło poczuł rozczarowanie. Coś poszło nie tak. Znajdował się w miejscu, w którym nie było żywej duszy ani żadnych zabudowań. Między drzewami nie rosło zbyt wiele krzaków, przez co, jak na leśne warunki, miał niezłą perspektywę. W zasięgu wzroku nie dałoby się ukryć nawet zamaskowanego wojskowego bunkra.

Mimo to Deryło pchnął drzwi i wyszedł z auta. Nawet nie zwrócił uwagi, że stanął wprost w błotnistej kałuży, która ochlapała mu buty oraz nogawki spodni. Wyprostowany jeszcze raz rozejrzał się wokół.

Kompletnie nic...

Wściekle uderzył dłonią o dach auta i zrobił kilka kroków w jedną i drugą stronę. Nawet jeżeli nawigacja pomyliłaby się o kilkadziesiąt metrów, znajdował się po prostu w leśnej głuszy. Chyba że...

Może gdzieś w pobliżu kryła się jakaś jama? Na pewno nie było żadnej tuż obok niego, ale przy założeniu, że miałyby wąskie wejście i znajdowała się dwadzieścia albo trzydzieści metrów dalej...

Pokrzepiony tą myślą truchtem obiegł teren. Zataczał coraz większe kręgi, oddalając się od samochodu, lecz nie trafił na żadne zagłębienie terenu. Nic nie wskazywało, by w okolicy przez ostatnie godziny pojawił się jakikolwiek człowiek. W błotnistym podłożu nie dostrzegł nawet żadnych odcisków butów poza swoimi własnymi.

– Szlag... – zaklął bezradnie.

Niemal jednocześnie poczuł wibrację telefonu.

– Niech cię szlag! – wrzasnął, tym razem głośniej, niemal tryumfalnie.

– Dziękuję, panie komisarzu.

Deryło mocniej przytknął telefon do ucha i skierował się w stronę auta. Jednocześnie napiął mięśnie, rozglądając się uważnie na boki. W pobliżu nie dostrzegł żadnego ruchu.

– Nie obchodzi mnie, za co mi dziękujesz, ale pieprzę tę kurtuazję. Gdzie jest Tamara? Zrobiłem wszystko tak, jak mi kazałeś.

– Wiem. Właśnie za to panu dziękuję. Za uczciwość i przestrzeganie reguł.

– Czas ucieka... Błagam, powiedz mi, gdzie jest Tamara. Uwolnij ją!

Szyf westchnął.

– Pańska partnerka ma jeszcze trochę czasu. Żyje i ma się dobrze.

– Powiedziano mi, że nastawiono zapalnik czasowy...

– To tylko częściowa prawda. Eger miał różne sposoby działania, ale z pewnością nie lubował się w materiałach wybuchowych.

– Tego nie zrobił Eger. – Deryło mlasnął i w wyrazie bezsilności oparł się o bok auta. – To ty ją porwałeś, prawda?

– Czy to istotne?

Nie. To z pewnością teraz nie miało żadnego znaczenia. Deryło wciąż wypatrywał najdrobniejszego ruchu, lecz las wydawał się upiornie martwy.

– Gdzie ona jest? – warknął, choć jego własny głos wydał mu się zaskakująco słaby.

– Niedaleko. Naprawdę.

– Chcesz, żebym się zjawił przy niej w momencie, gdy zostanie ostatecznie dziesięć sekund? O to ci chodzi, gnoju?!

Syzyf głośno, teatralnie westchnął.

– Nie, panie komisarzu. Nie bądźmy aż tak dramatyczni.

– A może... – Nagła myśl sprawiła, że Deryle załamał się głos. Przełknął gęstą ślinę i postarał się opanować. – A może ona nie żyje i teraz moja karta jest warta więcej niż twoja... Może nie masz mi niczego do zaoferowania za Egera?

– I w tym przypadku się pan myli.

Ton Syzyfa był dziwnie napięty, a krótka, oschła reakcja sprawiła, że Deryło poczuł ciężar w klatce piersiowej. Czy mógł być tak bardzo blisko prawdy? Przymknął oczy i niemal ostatekiem sił powstrzymał się przed osunięciem na ziemię. Ze słuchawki ponownie popłynął opanowany, jednostajny głos Syzyfa. Mężczyzna miał zaskakującą zdolność opanowywania jakichkolwiek emocji.

– Chcę, aby dostarczył mi pan Egera nieco ponad kilometr dalej. Musi pan jechać ścieżką, na której teraz się zatrzymał. Za około pięćset metrów będzie rozwidlenie, potem skręci pan w prawo i...

Deryło ścisnął telefon tak mocno, że obudowa jęknęła.

– Pieprzę to! Rozumiesz? Albo dasz mi porozmawiać z Tamarą, albo zabieram Egera na komendę¹.

– Na pewno chciałby pan tak zaryzykować?

– Wydaje mi się, że nie ryzykuję już niczym.

Wypowiedzenie tych słów na głos sprawiło, że świat wokół komisarza zdawał się wirować. Nogi ugięły się pod nim i musiał wsiąść do auta. Zerknął na Egera, lecz mężczyzna niezmiennie wydawał się całkowicie niezainteresowany swoim losem.

– Pieprzeni psychole... – Deryło wycodził te słowa z mieszaniną złości i rezygnacji. – Pieprzeni psychole – powtórzył mocniej, niemal nie otwierając ust.

– Musi się pan mnie posłuchać. – Syzyf nie dopuszczał sprzeciwu. – I owszem, czas nadal biegnie...

– Teraz czas nagle znów biegnie? – Komisarz parsknął.

– Zawsze biegł. Biegł bez chwili przestoju, lecz pan właśnie go traci...

– Pieprzę to! Jadę na komendę, a jeśli zatrzymasz to auto, przysięgam, że własnoręcznie uduszę Egera.

Syzyf przez chwilę milczał, więc Deryło impulsywnie się rozłączył. Natychmiast tego pożałował. Ponownie zerknął na ekran komórki, po czym uruchomił silnik auta. W tym samym momencie dobiegł go głos Syzyfa, dobywający się z samochodowych głośników.

– Niech panu będzie. Zaraz prześlę panu nagranie na żywo, dzięki któremu zrozumie pan, że obecnie rozmowa z panną Haler nie jest najlepszym wyjściem. O ile w ogóle jest możliwa...

Mężczyzna nie wyjaśnił nic więcej.

1 Mimo bacznej i gorliwej redakcji autor upiera się, by w części dialogowej przemycić błąd języka mówionego „na” zamiast „do” komendy. Jednocześnie przestrzega przed jego popełnianiem.

Deryło jak na szpilkach czekał na wiadomość od Syzyfa. Co rusz podświetlał ekran telefonu z myślą, że jakimś sposobem przegapił jej nadejście. Jednocześnie niemal kompulsywnie łąpał na zegarek. Nieuchronnie zbliżało się południe. Zgodnie z pierwotnymi groźbami Tamarze zostało już około pół godziny.

Nagle telefon zawibrował. Komisarz drgnął niczym uderzony batem i niemal wypuścił go z rąk. Niezgrabnie odblokował ekran,

po czym wszedł w folder wiadomości. Najnowsza z nich zawierała ciąg liter oraz cyfr. Była linkiem, po kliknięciu w który otworzyła się przeglądarka. Stary aparat pracował potwornie wolno i komisarz miał wrażenie, że od otrzymania wiadomości upływają już nie minuty, lecz godziny. Nerwowo potrząsał trzymanym w dłoni telefonem, jednocześnie wiedząc, że w ten sposób nie może go pośpieszyć.

Wreszcie przeglądarka przetrawiła dane i cały ekran zrobił się czarny. Zdawało się, że komórka się zepsuła.

– Kur...

Deryło przerwał w pół słowa, gdyż uruchomiło się nagranie. W pierwszym momencie przez słabą jakość niczego nie dostrzegł. Wydawało mu się, że cały ekran wypełniają jedynie szare oraz czarne piksele. Przybliżył telefon do oczu i zmarszczył czoło.

Powoli z czerni oraz bieli zaczęły wyostrzać się kształty. Pojedyncze kwadraciki zlewały się w ciągi, cienie oraz kontury. W tle rozległ się cichy, pusty trzask.

Komisarz obrócił się plecami do drzwi, jakby światło wpadające zza jego pleców mogło w czymś pomóc. Jednocześnie z sekundy na sekundę nagranie, mimo marnej jakości, stawało się dla niego coraz bardziej klarowne. Dostrzegł w prawym górnym rogu ekranu czerwony licznik. Regularnie, odkąd rozpoczął oglądanie, wyświetlała się na nim większa liczba. Po chwili uświadomił sobie, że trwa sekundowe odliczanie.

– To jest na żywo... – wyszeptał. – Sukinsyn!

Chwycił lewą dłonią kierownicę i nie przestając oglądać relacji, dodał gazu. Nie mógł patrzeć na wideo ani chwili dłużej, a jednocześnie to upiornie go hipnotyzowało. Miał wrażenie, że serce kołacze mu się prosto w gardle. Nigdy by tego nie przyznał, ale był przerażony.

Kompletnie przerażony.

Mimo słabej jakości Deryło doskonale rozróżniał kształty. Miał przed sobą Tamarę ujętą od piersi w górę. Kolorystyka wideo ograniczała się do czerni oraz szarości, jakby filmowano ją w miejscu całkowicie odciętym od światła. Zapewne kamera znajdowała się w niewielkim pomieszczeniu i oświetlała Tamarę własnym blaskiem lub wmontowanym fleszem.

Haler miała półotwarte oczy i oddychała w nieregularnym przyśpieszonym tempie. Wydawało się, że jej twarz skrzy się od potu. Nie miała jednak żadnych widocznych obrażeń, a co najważniejsze – żyła. Jednak zamiast poczuć ulgę, Deryłę ogarnęły duszności.

Po kilkunastu sekundach oglądania komisarz uświadomił sobie, że Haler znajduje się w grobie. Odcięta od świata oraz tlenu zaczynała się dusić. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki oddychała w tej chwili, powietrza mogło wystarczyć jej na kilkanaście, może kilkadziesiąt minut. Jednak w każdym momencie mogła stracić przytomność albo doznać nieodwracalnych uszkodzeń mózgu.

Deryło nie miał pojęcia, czy przy kamerze zamontowany jest głośnik ani na jakiej zasadzie nawiązano połączenie. Nie chciał jednak, aby Tamara usłyszała jego głos. Każdy zbędny ruch, każda zbędna emocja, pozbawiłyby ją porcji bezcennego tlenu.

Rozłączył się i rzucił telefon na siedzenie pasażera. Jechał w kierunku wskazanym mu wcześniej przez Syzyfa.

Musi pan jechać ścieżką, na której teraz się zatrzymał. Za około pięćset metrów będzie rozwidlenie, potem skręci pan w prawo...

Kolejno odtwarzał słowa, które słyszał przed paroma minutami. Od miejsca docelowego miał dzielić go niemal równy kilometr. Gdy dotarł do rozwidlenia i wybrał prawe odgałęzienie traktu, wjechał do gęstego zagajnika. Ścieżka była tu jeszcze bardziej wyboista niż wcześniej, więc musiał zwolnić niemal do zera. Zawieszenie nie było sobie w stanie poradzić z wertepami i niewiele brakowało, by na kolejnych z nich komisarz uderzał głową w podsufitkę. W końcu po kolejnych kilkudziesięciu metrach dalsza jazda okazała się definitywnie niemożliwa. Po obu stronach gęsto ciągnęły się drzewa, a dróżka zamieniała się w wąską ścieżynę, po której nawet maszerujący człowiek musiał poruszać się z odpowiednią zwinnością. Próba wjechania w głąb lasu przypominałaby mierzenie się ze slalomem samochodowym, co stanowiłoby jedynie stratę czasu.

Deryło otworzył drzwi i wysiadł z auta. Niemal w tej samej chwili po prawej stronie dostrzegł zarys sporego budynku. Nie odwracając się, zrobił kilka kroków w jego stronę. Usłyszał specyficzny szelest i szum. Dostrzegł wąski, mętny strumień płynący kilka metrów od niego i skręcający w stronę budynku.

Miał przed sobą opuszczony, dawny młyn wodny. Idealne miejsce, aby się ukryć. Idealne miejsce, aby dokonać zbrodni i ukryć ciało. Czy grób, w którym uwięziono Halera, znajdował się właśnie tutaj?

Nagle komisarz usłyszał za sobą dźwięk ułamanej, nadepniętej gałązki. Gwałtownie się odwrócił, ale było zbyt późno. Syzyf stał tuż za nim i mierzył do niego z pistoletu.

– Dzień doberek ponownie, drogi komisarzu. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił?

– Eger jest w aucie. Zrobiłem wszystko, tak jak chciałeś.

Deryło spojrzał na Syzyfa na tyle wyzywająco, na ile wyzywająco może patrzeć ktoś uzbrojony jedynie w gołe pięści na kogoś z pistoletem w dłoni. Zacisnął usta, wiedząc, że teraz wszystko musi się wyjaśnić. Albo szalenciec dotrzyma warunków umowy, albo zaraz go zastrzeli i zostawi Tamarę na pastwę losu. Jednak nie chciał utracić choć iluzorycznej inicjatywy.

– Jeżeli mnie zabijesz, do mediów trafi twój rysopis – zablefował. Przyszło mu to do głowy właśnie w tej chwili i nie wiedział, na ile wiarygodnie brzmi. – Stanie się to również wtedy, jeśli zrobisz krzywdę Haler. Będą cię szukać służby specjalne całego cywilizowanego świata.

Najwyraźniej blef został wypowiedziany z należytą ekspresją, gdyż Syzyf momentalnie się skrzywił. Najwyraźniej nie przewidział takiego rozwoju wydarzeń. Mimo to po chwili cień niezadowolenia zniknął z jego twarzy i jedynie wzruszył ramionami.

– A jednak dobrze sądziłem, że będzie pan chciał coś wykombinować...

– Musiałem mieć właściwe zabezpieczenie.

– I naprawdę sądzi pan, że to mogłoby mnie przed czymś powstrzymać? Że dotrzymam słowa, bo będę się bał złapania?

– Myślę, że tak.

Deryło starał się nadrabiać miną, ale powoli zaczynał rozumieć, że jego groźba nie zrobiła na Syzyfie należytego wrażenia. Zapewne mężczyzna wkalkulował w swój plan ryzyko trafienia za kraty i ta wizja go nie przerażała. Nie wyglądał na desperata, lecz zdawało się, że nim był. Chłodna kalkulacja wcale tego nie wykluczała.

Rozumiejąc to, Deryło opuścił głowę i bezradnie sapnął. Po chwili ponownie spojrzął na mierzącego do niego z pistoletu Syzyfa. Wargi wygiął mu nerwowy uśmiech. A więc zarówno jego los, jak i los Haler zostały przypieczętowane.

– Ani przez chwilę nie zamierzałeś dotrzymać umowy? Zostawisz Tamarę na śmierć, a mnie zastrzelisz i zakopiesz gdzieś w lesie? To był twój plan od samego początku, prawda?

Syzyf wzruszył ramionami. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po chwilowym podnieceniu i poczuciu, że wygrał, nie było już śladu. Zapewne nigdy nie dopuszczał możliwości porażki. Gładko wygolone policzki były blade, a na czole nie skrzyła się choćby kropla potu. Był całkowicie opanowany.

– Pan oraz panna Haler mieliście być środkami prowadzącymi do celu, a nie celem samym w sobie. Chyba przecenia pan swoją rolę.

– Wypuść przynajmniej ją.

– Jak zawsze szlachetny, co? – Wargi Syzyfa drgnęły w kpiącym uśmiechu. – Tyle że nie może pan stawiać żadnych warunków...

Deryło od kilku sekund robił drobne kroki do tyłu. Cofał się w stronę auta na tyle niezauważalnie, że Syzyf odruchowo podążał za nim. Wciąż celował wprost w jego pierś. Odbierał zachowanie komisarza jako normalną reakcję lękową i czerpał z niej przyjemność. Delektował się upokorzeniem Deryły.

– Bracia Macharow być może chcieli dotrzymać słowa – ciągnął beznamiętnym tonem. – Sądzę, że puściliby wolno pannę Haler oraz pana. Jednak nie mieli pojęcia, że tak naprawdę wykonują jedynie część mojego planu... Wystarczyło nieco ich podburzyć i uświadomić, że nie zakończą żałoby, o ile nie dopadną Egera.

– A ty? Co cię z nim łączy?

Komisarz chciał grać na czas. Nie wiedział, po co ani dokąd mogła zmierzać ta rozgrywka, lecz odzywał się w nim naturalny

instynkt przetrwania. Próba przedłużenia walki, choćby ta już od dawna była skazana na niepowodzenie.

Tym razem Syzyf uśmiechnął się zupełnie naturalnie i szczerze. Odsłonił równe, nieco nienaturalnie drobne zęby.

– Myślałem, że już nigdy pan nie zapyta...

79

Tamara Haler poruszyła palcami prawej dłoni. Były jedynym fragmentem jej ciała, który mogła kontrolować.

„To tylko cholerny sen” – pomyślała. – „Muszę się obudzić”.

Jej analityczny umysł, mimo otumanienia, przywołał szereg terminów medycznych. Porażenie senne, katapleksja, parasomnia... Każdemu się to zdarza. Stan ten ma zresztą wyjątkowo logiczne wytłumaczenie, a w ewolucji odegrał bardzo istotną rolę. Ma zapobiegać niekontrolowanym ruchom ciała, czyli w konsekwencji upadkom z łóżka lub gałęzi. Tak, tak. Właśnie gałęzi. Przypuszcza się, że jest spuścizną po najdawniejszych przodkach człowieka, którzy w obawie przed drapieżnikami nocę spędzali wysoko na drzewach.

Paraliż senny wspaniale odtworzył na jednym ze swoich obrazów Henry Fuseli, przedstawiając go jako demona przysiadającego na piersi śpiącej kobiety. Tyle że wielu znawców sztuki uważało, że kobieta jest martwa, a tajemniczy inkub to wyobrażenie śmierci. W końcu między porażeniem i śmiercią jest jedynie cienka granica.

Przebłysk świadomości sprawił, że Tamara otworzyła oczy. Była pewna, że nie śpi. Czuła nie tylko palce prawej dłoni, ale i ćmiący

ból pleców oraz stóp. Leżała w niewygodnej pozycji, nie mogąc się poruszyć. Otaczała ją gęsta ciemność.

– Boże...

Nie wiedziała, czy to słowo wypowiedziała na głos, czy niczym inwokacja wybrzmiało ono jedynie w jej umyśle. A może stanowiło początek jakiejś od dawna, zapewne aż od dzieciństwa, nieodmawianej modlitwy?

Bała się. Czuła głęboki strach, który uciskał jej klatkę piersiową i kotłował myśli. Starła się poruszyć, ale jej ciało pozostało bezwładne.

Mrok zdawał się wręcz pulsować i przenikać do jej trzewi. Stawała się jego nieodłączną częścią. Stawała się nic nieznaczącym elementem ciemnej, zimnej materii.

Została pochowana za życia... Znajdowała się w grobie, z którego nie mogła się uwolnić. To były ostatnie myśli, które przeszły jej po głowie, nim zrezygnowała z walki. Mrok wypełnił ją całkowicie.

80

– Jestem psychiatrą Egera, panie komisarzu. Właściwie to ja namieszałem mu w głowie i manipulowałem nim przez ostatnie lata. Podrzucałem mu dowody, kazałem udawać się na miejsca zbrodni i zostawiać ślady... Stworzyłem mu nawet dwie osobowości. – Oczy Syzyfa błysnęły kpiarskim blaskiem. – To półgłówek, który wziął na siebie odpowiedzialność za wszystkie moje morderstwa.

Deryło zrobił kolejny krok do tyłu i zagryzł wargę. Skoro Syzyf mówił mu o tym wszystkim, nie zamierzał puścić go żywego. To

nie budziło żadnych wątpliwości. Nie budziło żadnych wątpliwości również to, że mężczyzna mówił prawdę. Właśnie patrzył na psychopatycznego, seryjnego mordercę, który parał się fachem, od którego powinien trzymać się z daleka.

– W takim razie dlaczego potrzebujesz go żywego? – zapytał, nie mając innego pomysłu na przedłużanie rozmowy.

Szyf najwyraźniej był zadowolony, że może przed kimś pochwalić się swoimi dokonaniem. Nie zdradzał żadnych oznak pośpiechu. Zapewne miał sprawdzony teren na tyle, że wiedział, iż nikt nie pojawi się w pobliżu. A może, gdyby się pojawił, zamierzał po prostu go zastrzelić i zrzucić winę na Egera? Musiał mieć w tym już niezłe doświadczenie.

– Widzi pan, gdyby ten półgłówek zginął, mogłyby pojawić się pewne wątpliwości...

– Są ślady prowadzące właśnie do ciebie.

– Tak, owszem. Choć to znacznie bardziej skomplikowane.

Deryło analizował przejrane przed paroma godzinami akta śledztwa w sprawie morderstw. W jego głowie zaległo się przypuszczenie mogące wskazywać na prawdziwy powód obaw Szyfa.

– Ostatniego zabójstwa dokonałeś po tym, jak Eger został schwytany, prawda? – zapytał, czując, że samochód jest tuż za jego plecami. – Aby nie wzbudził podejrzeń, musisz powiedzieć mu, co ma przekazać śledczym. Bez tego od razu załapią, że mimo obciążających dowodów coś jest nie tak...

Szyf uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jest pan naprawdę bystry, komisarzy. Nadal w formie, mimo tylu lat na karku...

– A jednak nie boisz się, że śledczy trafią na twój trop po rysopisie. Dlaczego?

Mężczyzna pokręcił głową i westchnął.

– Wiem, że pan blefował, komisarzu. Śledziłem pana zbyt pilnie, żeby pozwolić panu na taką zagrywkę. Bez względu na to, czy pan i panna Haler zginiecie, czy nie, nikt nie dostanie mojego rysopisu. Jestem o to zupełnie spokojny.

Deryło zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu dalej brnąć w tę historyjkę. Nie miał już żadnych atutów. Syzyf ograł nie tylko jego, ale również braci Macharow i zapewne ogra też śledczych, którzy rozpoznają sprawy serii mordów na Lubelszczyźnie.

– W jaki sposób zamaskujesz ostatnie zabójstwa? – To pytanie mogło dać mu jedynie kilka sekund, jednak niemal jednocześnie z nim wyklarowała się odpowiedź. – Chcesz mnie zrobić... Chcesz, żeby uznano, że mi odbiło i chcąc uwolnić Egera, zamordowałem parę osób... – Deryło sapnął. Powiew wiatru owiał mu zroszoną potem twarz i poruszył koronami drzew. – Nikt ci nie uwierzy...

– To już moja sprawa, panie komisarzu. Ale owszem, chcę, by część odpowiedzialności spadła na pana.

– A Tamara...

– Śmierć panny Haler również. Zabije ją pan w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, a następnie popełni samobójstwo. To będzie koniec historii.

Deryło zagryzł usta. Kątem oka zerknął na zegarek i uświadomił sobie, jak mało czasu mają. Z drugiej strony... Mimo wszystkich okoliczności pewna koncepcja zaprzątnęła mu głowę. Spojrzał wprost w oczy Syzyfa i zrobił kolejny krok do tyłu. Dotknął udem boku auta.

– Blefujesz – wycedził, siląc się na spokojny, pewny siebie ton. – Od początku blefowałeś... Nie masz pojęcia, gdzie jest Tamara. Jeśli to ja miałbym ją zabić, musiałbyś ją wcześniej wyciągnąć z grobu, a tego nie możesz zrobić.

Syzyf uśmiechnął się blado.

– Może tak a może nie, komisarzu. Nikt nie powiedział, że to nie pan ją zakopał... Sądzę, że gdzieś w okolicy znajdzie się nawet łopata z pańskimi odciskami palców.

– Ty sukinsynu...

– Naprawdę chce mnie pan obrazić? A może chociaż nieco mnie pan docenia?

– Jesteś śmieciem.

– Śmieciem, który wygrał z najśłynniejszym śledczym polskiej policji i przez którego ten śledczy na zawsze straci reputację. – Syzyf potrząsnął pistoletem. – Rozumie pan? W podręcznikach akademii policyjnej nie będzie już ani słowa o pańskich metodach pracy, ale o wypaleniu zawodowym i popełnionych zabójstwach.

– Pieprz się.

Deryło jednym susem doskoczył ku drzwiom samochodu, szarpnął je, po czym wsunął się do środka, na fotel obok Egera. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej srebrny sester. Moneta miała służyć jako odwrócenie uwagi. Komisarz miał nadzieję, że z pewnej odległości błysk metalu będzie mógł imitować błysk ostrza.

Syzyf uniósł broń, lecz nie wystrzelił. Zgodnie z oczekiwaniami Deryły nie zamierzał ryzykować przypadkowego zranienia więźnia.

– Cofnij się albo poderżnę mu gardło. – Komisarz chwycił Egera za ramię i wstrzymał powietrze. – Opuść tę pieprzoną broń!

Być może właśnie rozstrzygała się przyszłość jego oraz Haler.

Deryło wyciągnął Egera z auta i pchnął go ku jego tyłowi. Syzyf przypatrywał się temu z dość obojętną miną. Wciąż trzymał pistolet w prawej dłoni, ale już nie mierzył do komisarza. Żyły na jego skroniach nabrzmiały, a usta zbiegły się w cienką linię. Deryło przysięgłby, że jego oczy straciły blask i pociemniały.

– Nie wiesz, gdzie dokładnie jest Tamara, ale sądzisz, że jest właśnie gdzieś tutaj, prawda? – Wciąż trzymał monetę przy gardle Egera. – Wiesz to od braci Macharow?

Syzyf nie ruszył się z miejsca, jedynie wodził wzrokiem za komisarzem.

– Podśluchiwałem ich. Czasem ludzie są potwornie nieostrożni, choć po byłych członkach służb można by się spodziewać nadgorliwości w tej kwestii.

– I wiesz, na jak długo dokładnie miało jej wystarczyć powietrza?

– Co najmniej do południa. – Syzyf wzruszył ramionami. – Obawiali się, w jakim czasie się pan wyrobi z dostarczeniem im Egera.

Deryło zerknął na zegarek. Była za osiem dwunasta, co oznaczało, że najmniejszy błąd w obliczeniach braci mógł skończyć się śmiercią Tamary. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku, gdzie mogła zostać uwięziona. Nie dostrzegł żadnych wykopów ani niedawnej ludzkiej ingerencji w teren. W zasięgu wzroku miał jednak tylko niewielką część przestrzeni przed młynem wodnym.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz – wycedził. – Albo lada moment odnajdziemy Tamarę, albo zabiję tego sukinsyna.

– Wiem niewiele więcej, niż już powiedziałem. Lepiej, żeby Eger przeżył, bo...

Komisarz nie pozwolił mu skończyć. Wygiął ramię więźnia i pchnął go przed siebie.

– Musisz mieć jakieś wskazówki. Musisz się przynajmniej domyślać, gdzie ona jest.

– Nic panu nie powiem.

Szyf zmrużył oczy i końcówką języka oblizał spierzchnięte wargi. Spojrzenie jego oczu wydawało się całkowicie martwe.

– Po pierwsze, rzuć broń.

Deryło przytknął monetę do szyi Egera tak, że ta aż wzięła się w jego skórę.

– Zrób to! Liczę do trzech. Raz...

Szyf przewrócił oczami i zerknął na pistolet.

– Dwa...

– Okej, niech będzie. Wyrównał pan szanse.

Mężczyzna rzucił pistolet na ziemię i przestąpił z nogi na nogę.

– Jeśli będzie pan próbował mnie zaatakować, przysięgam, że nie odnajdzie pan swojej partnerki.

– Teraz gramy na moich zasadach.

– Nie sądzę, komisarzu. Ale proszę je sformułować, jeśli pan musi.

Deryło pchnął Egera, wciąż przytykając monetę do jego szyi.

– Mów, gdzie ona może być. Powiedz mi wszystko, co wiesz, wtedy puszcze go wolno.

– Nie jest pan najlepszym kłamcą, komisarzu...

Szyf uśmiechnął się ponuro, a po chwili zaczął mówić. Zdawało się, że każda upływająca sekunda sprawia mu satysfakcję.

– Bracia Macharow chcieli zrobić show. Wie pan, komisarzu, choć pracowali w służbach, byli z gruntu dobrymi ludźmi. Mimo to musieli wyrzucić na pana należyte wrażenie i jednocześnie naprowadzić na trop panny Haler. Pamięta pan krzyk, jaki był zarejestrowany wśród plików na telefonie? To fragment nagrania z agonii ich siostry...

Szyf delektował się każdym wypowiedzianym słowem, mówiąc powoli i cicho. Wiedział, że czas działa na jego korzyść, powodując coraz większe zdenerwowanie komisarza.

– Wiem, że chcieli upozorować wszystko tak, jakby to Eger porwał pańską partnerkę. Rozumie pan? Gra w grze... Dlatego dzięki swoim kontaktom sprawili, że dostęp do jego akt nie był objęty najściślejszą klauzulą i pański znajomy mógł łatwo się do nich dostać.

– Akta miały być wskazówką?

– Oczywiście. Myślał pan, że ukraińskie zabezpieczenia informatyczne są tak słabe, że byle chłystek może włamać się do serwerów służb bezpieczeństwa?

– Nieważne, co myślałem.

Deryło zrobił krok w stronę Syzyfa. Przez cały czas trzymał przed sobą Egera, przytykając monetę do jego szyi. Jednocześnie robił wszystko, by znajdowała się pod takim kątem, aby niemożliwe było stwierdzenie, że to tylko srebrny pieniążek. Pośpiesznie starał się przeanalizować odczytane fragmenty akt. Fragmenty układanki zaczynały coraz bardziej do siebie pasować.

– Eger ponoć zabił dwie osoby, zakopując je żywcem. Wiem tylko tyle.

– A ja już powiedziałem, że nie będę mógł panu pomóc, komisarzu. Owszem, znam szczegóły tamtych morderstw, ale...

– Nie tylko znasz szczegóły. – Deryło spojrział na Syzyfa spod łba. Strużka potu spłynęła mu z czoła po nosie i skapnęła na ziemię. – To ty zamordowałeś te osoby i przyznałeś się do tego. Nie próbuj teraz tego odkręcać.

– Bracia Macharow tego nie wiedzieli.

– Mimo to opierali się na aktach sprawy i patrzyli na nie z perspektywy szczegółów, które zapewne znali dzięki kontaktom wśród śledczych... Powtórzę jeszcze raz, jeżeli Tamara zginie, on zginie również, dlatego nie staraj się grać na czas.

Syzyf mlasnął i przeczesał palcami włosy. Przez chwilę marszczył czoło, najwyraźniej coś kalkulując. Nagle potrząsnął głową, po czym odwrócił się plecami do komisarza.

– Niech pan pójdzie za mną. Mam podejrzenie, gdzie może być panna Haler. Proszę jednak pamiętać, że obowiązuje nas obustronna umowa. Jak mawiają Anglicy, sprawa ma tylko jedno rozwiązanie. Win-win.

– Obaj z nas mogą również przegrać.

Syzyf, słysząc to, nawet się nie odwrócił.

– Dlatego gra toczy się o wysoką stawkę, zgadza się pan ze mną, komisarzu? Proszę nie podnosić mojego pistoletu, wtedy z pewnością pańska partnerka umrze...

– Młyn wodny to, co prawda, nie jest młyn holenderski, ale może przywodzić skojarzenia. Jedynym problemem jest inne

umiejscowienie koła mielącego, które stanowiło najważniejszy element scenerii mojego dzieła...

Szyf pchnął drewniane drzwi, które otworzyły się ze skrzypnięciem. W środku opuszczonego, rozpadającego się budynku panował półmrok. Deryło, przekraczając próg, poczuł intensywną, oblepiającą płuca woń zgnilizny. Przez moment obawiał się, że Szyf zniknie mu z oczu, ale ten najwyraźniej nie zamierzał uciekać. Powolnym krokiem ruszył ku drugiemu pomieszczeniu, znajdującemu się zapewne bezpośrednio przy strumieniu. To od tamtej strony zamontowano koło napędzane nurtem wody. Słychać było regularny, stłumiony plusk.

Zapach zgnilizny stał się jeszcze intensywniejszy, nabierając mocniejszego, niemal wyczuwalnego w ustach posmaku wilgoci. Drewniane podłogi skrzypiały, a wiatr łoskotał gdzieś na poddaszu. Rozproszone światło wpadało przez dwa niewielkie okna, w których tkwiły resztki szyb.

W pomieszczeniach nie było niemal żadnych sprzętów. W oczy rzucała się jedynie część maszynerii młyńskiej, połamane ośki, przekładnie oraz długie drewniane rynienki. Pomiedzy oknami stał rozpadający się kredens, którego jedne drzwiczki odpadły i leżały na podłodze, a drugie ostatkiem sił zwisały na wygiętych zawiasach. Na środku pomieszczenia znajdowała się sześcienna skrzynia na ziarno o boku mierzącym mniej więcej półtora metra. Wypełniała ją gnijąca, papkowata substancja, która być może przed wielu laty była owocami zbóż. To od niej roznosił się nieprzyjemny, ostry zapach.

Deryło przełknął ślinę i odchrząknął. Po przekroczeniu progu drugiego pomieszczenia smród stał się tak gęsty, że niemal namacalny. Czuło się go, nawet wstrzymując oddech.

Szyf zdawał się go nie wyczuwać. Zatrzymał się obok jednej z drewnianych przekładni i oparł się o nią ramieniem. Zerknął najpierw na komisarza, a potem na stojącego przed nim Egera.

Więzień wciąż milczał. Przez kajdany u stóp poruszał się wolno, ale całkowicie sprawnie, jakby z całej sytuacji nic sobie nie robił. Jego pomarańczowy kombinezon w półmroku wydawał się bić niemal fosforyzującym blaskiem. Zasłonięta kaskiem oraz maską twarz była całkowicie niewidoczna i niemożliwe było złapanie z nim choćby kontaktu wzrokowego. Poza tym więzień szedł z nieco spuszczoną głową, nieufnie rozglądając się na boki, jakby na coś oczekiwał. Deryło zwrócił uwagę na te ruchy, lecz nie potrafił rozpoznać intencji mężczyzny.

Szyf odsunął się od przekładni i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

– Był pan kiedyś w młynie wodnym? – zagadnął. – To cholernie ciekawe budowle...

– Nie wiem, nie pamiętam...

– Ależ na pewno pan pamięta.

Deryło się skrzywił. Jego zaciśnięta od dłuższego czasu dłoń zaczęła drżeć, a serce łomotało coraz mocniej. Czy to możliwe, że Haler była właśnie gdzieś tutaj? Na górę prowadziły całkowicie zrujnowane schody, wchodzenia po których nie powinno ryzykować nawet lekkie dziecko. Budynek zdawał się niepodpiwniczony, lecz wejście mogło znajdować się gdzieś na zewnątrz. Komisarz nie miał pojęcia, jakie są tajniki architektury młynów wodnych, jednak podłoga zdawała się leżeć wprost na solidnych legarach. Była wypaczona, części desek brakowało i to w pozostałych po nich szparach widział ciemną pustkę ograniczoną zapewne płaszczyzną podłoża. Nie, o podpiwniczeniu raczej nie mogło być mowy. Chyba że rozciągało się tylko pod znikomą częścią budynku. Mimo to nigdzie nie dostrzegł żadnego wjazdu.

Ponownie przełknął ślinę, co wydało mu się czynnością tak głośną, że wręcz usłyszał echo. Zacisnął dłoń na lewym ramieniu Egera. Spojrzał na zegarek, ale w półmroku nie był pewny

ułożenia wskazówek. Widział tylko jedną z nich i dopiero po chwili zrozumiał, że druga znajdowała się dokładnie pod nią. Była punkt dwunasta. Ostatni moment na uratowanie Tamary, teraz każda sekunda mogła zaważyć o jej życiu lub śmierci.

– Nie mamy czasu na cholerne wspominki. Gdzie ona jest?

– Mówiłem panu, że nie wiem. Mogę opierać się tylko na domysłach.

– Lepiej, żeby były trafne. – Komisarz wymownie potrząsnął dłonią. – Masz minutę. Jeśli nie znajdziesz Tamary, zabiję tego gnoja i będziemy musieli się porachować inaczej.

– Nie radzę panu tego robić. Chyba że...

– Masz pięćdziesiąt trzy sekundy. Pięćdziesiąt dwie, jedną...

Ostry, niemal szaleńczy ton Deryły najwyraźniej odniósł właściwy skutek. Syzyf po raz pierwszy wydawał się zdenerwowany. Przesunął jedną z drewnianych rynienek i dotknął skrzyni z gnijącym ziarnem.

Komisarz słyszał szum krwi przetaczającej się w jego organizmie. Jego żyły wręcz paliły, a napięte mięśnie były przygotowane do ostatecznej walki o życie. W tym momencie poważyliby się na wszystko. Nawet zamordować skutego więźnia, byle tylko uwolnić Tamarę.

84

– Cholera, to nie działa jak w normalnym młynie...

Syzyf pchnął jedną z dźwigni, lecz nie wywołało to żadnego efektu. Komisarz odruchowo uchylił się, jakby spodziewał się, że coś może nieoczekiwanie na niego spaść.

– Co robisz? – warknął.

– Oglądam ten cholerny mechanizm. Muszę zorientować się, jak to funkcjonuje.

– Nie jesteśmy tu, by robić pieprzoną mąkę.

– Nie w tym rzecz, panie komisarzu. Proszę o chwilę cierpliwości...

Deryło zerknął na zegarek i zastukał palcem w tarczę.

– Zostało ci dwadzieścia jeden sekund mojej cierpliwości.

– Naprawdę byłby pan gotów zabić więźnia? Tylko po to, żeby skomplikować życie innego degenerata?

– Po to, żeby uratować życie młodej policjantki.

Szyf zamarł w bezruchu i się uśmiechnął. Jego oczy ponownie błysnęły w półmroku. Spojrzał na Deryłę, po czym pokiwał głową.

– Wszyscy jesteśmy tacy sami, rządzą nami tylko różne motywacje. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej i przeniósł wzrok na Egera. – Nie obchodzi pana, że to całkowicie niewinny człowiek, który urodził się z defektem mózgu. Jego pechem jest, że potrzebuje go pan mniej niż panny Haler.

– Zamknij się.

– Każdy z nas działa tylko dla zaspokojenia swoich pragnień. Jednak ważne jest, czy pańskie sumienie pozostanie czyste, jeśli on zginie? Czy poradzi pan sobie z tym? Czy jest pan mordercą, komisarzu?

Deryło zagryzł usta i z całej siły wbił palce w ramię Egera. Mężczyzna jęknął z bólu, ale niemal się nie poruszył. Drugą dłonią komisarz delikatnie przesunął monetę.

– Nie martw się o to. Masz trzy sekundy...

– Naprawdę?

– Zabiję go...

Deryło był gotów skrócić kark Egera. Jednocześnie sumienie powstrzymywało go przed tym, a wewnętrzny głos podpowiadał, że nie potrafiłby żyć z takim brzemieniem. Nie miał prawa decydować o życiu innych.

– Skoro tak ładnie pan prosi... – Syzyf westchnął. – To powinno zadziałać jak trzeba.

Odwrócił się do drewnianej przekładni i pchnął ją z jękiem wysiłku. Drewno zgrzytnęło, lecz jednocześnie poruszył się jeden ze słupów, które zdawały się podtrzymywać sufit.

Deryło przyciągnął bliżej siebie Egera, gotowy użyć go jako tarczy. Instynkt przetrwania najwyraźniej nie znał wyrzutów sumienia.

Rozległy się szuranie i głucho trzaski, a po chwili skrzynia z gnijącym zbożem zaczęła się powoli przesuwac. O kilkanaście centymetrów, kilkadziesiąt, wreszcie niemal o metr, odsłaniając otwór w podłodze. U jego wylotu Deryło natychmiast dostrzegł kamerę z włączonym oświetleniem nocnym. Jednocześnie stracił jakakolwiek kontrolę nad swoim zachowaniem. Wiódł nim automatyzm, do jakiego stworzeni są ludzie o bezinteresownym i otwartym sercu.

Odepchnął od siebie Egera, po czym, nie bacząc na nic, rzucił się w stronę otworu w podłodze. Nie zważał na głębokość dołu ani drzazgi sterczące z podłogi.

Skoczył wprost w ciemność.

85

Serce podeszło komisarzowi do gardła. Miał wrażenie, że wpada w głąb ziemi, wprost do samego piekła. Podtrzymał się dłonią o skraj podłogi, lecz okazało się, że wykop nie jest głęboki. Stojąc w nim, był niemal równy z jego krawędzią. Zamrugał.

Przez półmrok panujący w pomieszczeniu wydawało się, że piwniczka jest znacznie głębsza i obszerniejsza. W rzeczywistości

miała rozmiary niewiele większe niż skrzynia na ziarno, która znajdowała się nad nią. Pierwotnie musiała zresztą służyć do magazynowania przetworzonego ziarna lub pozostałych z niego odpadów. Jej ściany były wyłożone specjalną pianką, która służyła izolowaniu dobywających się ze środka dźwięków. Najwidoczniej porywacze zaadaptowali ją do tego, by pełniła funkcję więzienia, a w razie konieczności grobu.

W piwniczce było duszno i gorąco, lecz z pewnością nie została odcięta od dopływu powietrza tak szczelnie, by zabrakło w niej tlenu. Do tego komisarz kątem oka zauważył, że do jednej ze ścian przymocowany jest aparat tłoczący powietrze. Zapewne bracia Macharow po porwaniu Tamary nie zamierzali jej zabić. Nie zamierzali jej zabić, nawet gdyby Deryło nie wypełnił wyznaczonego mu przez nich zadania. Nie byli w stanie zamordować z premedytacją niewinnej osoby, lecz gdyby komisarz tu nie dotarł, nikt inny by tego nie zrobił.

Deryło zmrużył oczy, starając się przejrzeć ciemność. W jednej ze ścian znajdowała się wnęka, w której dostrzegł zarys jakiegoś kształtu. Przykucnął i zaczął na oślep badać zagłębienie.

– Boże...

Wyczuł ciepło oraz kontury twarzy. Wyczuł oddech i delikatny ruch ust. To stąd prowadzono transmisję i przekierowywano rozmowy, aby mógł usłyszeć głos Tamary. Kamera była skierowana pod odpowiednim kątem wprost na nią. Obraz jedynie dodatkowo powiększono lub przerobiono.

– Tamaro...

Deryło nie wiedział, w jakim stanie jest podkomisarz. Po omacku starał się rozwiązać krępujące ją węzły oraz wyciągnąć ją na podłogę piwniczki. Chwytał kolejne supły, szarpał się z nimi, jednocześnie usilnie mrugając, by powstrzymać krople potu spływające mu do oczu. Zaczął dyszeć z wysiłku, lecz jeden z węzłów powoli ustępował.

– Tamaro, słyszysz mnie?

Odpowiedziało mu jedynie puste echo. Haler była nieprzytomna i komisarzowi zdawało się, że ma bardzo spowolniony oddech. Powietrze świszczą jej w płucach jak u gruźlika.

– Nie wywiń mi tylko żadnego numeru, rozumiesz? Obudź się... Pobudka, cholera, wstawaj...

Deryło, nie zważając na nic innego, walczył z kolejnym węzłem na sznurze przytwierdzonym do wystającego ze ściany haka. Ten był zawiązany lżej, tak by nie ranić skóry kobiety i po chwili udało mu się go rozwiązać. Zdawało się, że już nic nie przytrzymał Haler we wnęce. Nadal miała skrępowane dłonie, ale to nie miało znaczenia.

Komisarz chwycił Tamarę na ręce i ostrożnie wyciągnął ją z zagłębienia w ścianie. Przytknął ucho do jej nosa, lecz poczuł jedynie delikatny ruch powietrza. Czym prędzej się wyprostował i ostrożnie uniósł podkomisarz ku krawędzi piwniczki. Choć był naprawdę silny, podniesienie niemal zupełnie bezwładnego, ponad pięćdziesięciokilogramowego ciała ponad wysokość barków stanowiło niemałe wyzwanie. Jęknął z wysiłku, gdy układał Tamarę na podłodze. Zdawało mu się, że z jej ust wydobyło się ciche westchnięcie.

– Wszystko w porządku? – zapytał, licząc, że Haler powoli odzyskuje przytomność. – Halo?

Chwycił się skraju podłogi, podciągnął, a potem zaparł się na łokciach. Chciał przerzucić nogi na górę, gdy spostrzegł przesuwający się cień. To Syzyf stał nad nim i mierzył z pistoletu.

– Chyba nic nie jest w porządku. Mam Egera oraz pańską partnerkę – wycedził. – Mam również pana w gotowym grobie, komisarzu. Kiedyś przychodzi koniec dla nas wszystkich...

Syzyf smagnął spust pistoletu.

– Czekać!

Deryło wyciągnął dłoń, jakby w ten sposób mógł powstrzymać kulę. Jednocześnie odruchowo przymknął oczy. Skrzywił się, szykując na strzał, który roztrzaska mu czaszkę.

– Jeśli mnie zabijesz, nie wyjdiesz stąd żywy...

– Naprawdę myśli pan, że uwierzę w te bajeczki?

– Dojeżdżając na miejsce, włączyłem w radiowozie lokalizator. O miejscu, gdzie się znajdujemy, wie już cała polska policja.

Komisarz wstrzymał powietrze i otworzył oczy. Syzyf stał obok piwniczki, tuż obok niego znajdował się Eger, a u ich stóp leżała Haler. Z tej perspektywy Deryło nie był w stanie stwierdzić, czy choćby oddycha.

– Wyłączyłem wszystkie systemy...

W głosie Syzyfa Deryło wyczuł wahanie. Domyślał się, na czym mogło być oparte, choć równie dobrze jego domysły mogły okazać się całkowicie wyssane z palca. Na współczesnej technice nie znał się za grosz.

– Nie mogłeś wyłączyć naprowadzania, bo było ci potrzebne, bym trafił do tego młynu. Lokalizator jest powiązany bezpośrednio z nawigacją...

– Stara się pan blefować, ale to panu kompletnie nie wychodzi, komisarzu.

– Naprawdę?

Syzyf nerwowo sapnął i zrobił krok w stronę piwniczki. Czubki jego butów dotykały jej krawędzi. Potrząsnął pistoletem, potem się wyprostował, a następnie ponownie sapnął.

– Nawet jeżeli to cholerna prawda, to niczego nie zmienia – rzucił ostro. – Właściwie świadczy tylko o tym, że jak najszybciej

powiniennem pana zabić.

– Możesz rozegrać to inaczej.

– Niby jak?

– Mogę być twoją kartą przetargową. – Deryło czuł falę gorąca przetaczającą się po całym ciele. Gdyby nie nadzwyczajny wysiłek, zapewne jego głos drżałby jak u przechodzącego mutację nastolatka. – Jestem twoją jedyną szansą i możliwością na bezpieczne wyjechanie z tego lasu. Helikopter już nad nim krąży.

– Niczego nie słyszałem...

– Wyjdź i zobacz.

– A wtedy pan wylezie z tego dołu i mnie zaskoczy? – Syzyf głośno parsknął. – To była dobra próba, komisarzu, ale skazana na niepowodzenie. Miałbym to niby rozegrać jak w tandetnym filmie? Miałbym wyjść, trzymając pana na muszce i powiedzieć zastępom gliniarzy, które na pana nieszczęście ciągle się nie zjawiły, żeby puścili mnie wolno?

– Mógłbyś spróbować. Sądzę, że las jest już otoczony. Odcięte są wszystkie drogi wyjazdowe, a niebawem wejdą patrole z psami. Dorwą cię.

Syzyf odwrócił się, po czym zerknął na stojącego obok Egera. Po chwili ponownie uniósł pistolet i wymierzył prosto w komisarza.

– On jest moją kartą przetargową. Nie pan. Proszę uwierzyć, że przemyślałem wszystkie możliwe scenariusze i w tym momencie dla policji oraz społeczeństwa niewiele pan znaczy. Jeden z braci Macharow uprzątnął zwłoki Clyde'a, ale pojawią się dowody, że to pan go sprzątnął. Niebawem wszyscy uznają, że się pan wypalił, zabił parę osób, przedtem porwał pannę Haler, a na końcu popełnił samobójstwo. Pańskich zwłok nikt nie odnajdzie.

Syzyf położył lewą dłoń na dźwigni, która przesuwała potężny pojemnik z gnijącym zbożem. Rzeczywiście, biorąc pod uwagę specjalne wypełnienie piwniczki, które uniemożliwiało uwalnianie

się z niej zapachów, technicy mogliby ją przegapić. Mogliby, co nie znaczyło, że by przegapili. Jednak o ich skrupulatności Deryło nigdy by się nie dowiedział. Nie zamierzał też jej sprawdzać.

– Są ludzie, którzy nie mają wątpliwości, że jestem niewinny.

– Ona? – Syzyf czubkiem buta dotknął Tamary. – Sądzę, że wasze zwłoki będą mogły spocząć wspólnie. To nawet całkiem romantyczne... Jak się panu podoba taki koniec, komisarzu?

Nim Deryło zdążył cokolwiek powiedzieć, Syzyf wycelował i położył palec na spuście. Tym razem się nie zawahał. Rozległ się huk.

87

– Niestety, nie widzę innej możliwości. – Doktor odchylił się w fotelu i przytknął palce do skroni, jakby jego własne słowa sprawiały mu ból. – Wiesz, że cię chroniłem. Zawsze byłem po twojej stronie i dbałem o twoje dobro. Nigdy nie przestanę się tobą opiekować, ale z tą sprawą musisz się zgłosić na policję. Nie ma innego wyjścia...

Pacjent wytrzeszczył oczy i z niedowierzaniem pokręcił głową. Jego twarz była cała zroszona potem, a z oczu ciurkiem ciekły łzy. Dwoma palcami międlął dolną wargę.

– Ale... Ja niczego nie pamiętam.

– Pamiętasz sny. Znalazłeś zakrętkę od słoika, na której, jak sądzą, są mikroślady po kontakcie z owadami. Tymi samymi owadami, które włożono do brzucha zamordowanej kobiety.

– To niemożliwe!

Doktor smutno westchnął.

– Naprawdę w to wierzysz? Jesteś przekonany, że nie masz z tymi zbrodniami nic wspólnego? Uważasz, że stałeś się medium, które jedynie śni o prawdziwych zabójstwach?

Pacjent zadrżał spazmatycznie. Wierzchem dłoni otarł nos i wbił w Doktora błagalne spojrzenie.

– Dlaczego... – Głos mu się załamał i przez chwilę starał się opanować. – Dlaczego miałbym je zabijać?

– Z ciekawości. Cierpisz na dysfunkcję procesów poznawczych i nadmierną ciekawość. – Doktor oparł dłonie na kolanach. – Musisz zaznać empirycznie wszystkiego, o czym przeczytałeś. Pamiętasz, że wertowałeś teksty o mumifikacjach w starożytnym Egipcie?

– Kiedyś, tak...

– A ta książka, którą zabrałeś z mojego gabinetu? To w niej opisano procesy rozkładu zwłok. Są w niej również teksty dotyczące rozmaitych robaków pożerających ciała...

– Boże... Nie wierzę. Dlaczego niczego nie pamiętam?

– To naturalny mechanizm wyparcia. W trakcie zabójstw nie jesteś do końca poczytalny.

– Bzdura!

Pacjent gwałtownie poderwał się z fotela i głośno wciągnął powietrze. Zrobił kilka kroków po gabinecie. Wreszcie zatrzymał się przy oknie, po czym utkwiał spojrzenie w Doktorze.

– Niech mi pan powie, co powinienem zrobić. Udowodnię im, że jestem niewinny.

– Nie. Wręcz przeciwnie. – Doktor również wstał i podszedł do Pacjenta. Położył dłoń na jego ramieniu. – To oni będą musieli ci udowodnić winę. Jeżeli na miejscach zbrodni nie odnaleziono wystarczająco śladów, które mogłyby cię z nimi połączyć, nic ci się nie stanie.

– Co to miałyby być za dowody?

– A bo ja wiem? Włosy, odciski palców, jakieś ślady biologiczne...

Pacjent rezolutnie skinął głową. Otarł dłońmi twarz i się wyprostował.

– Tak, rzeczywiście. To wykluczone, żeby cokolwiek znaleziono przy ofiarach.

– Wobec tego powinieneś być spokojny. Przecież nikt nie podrzuciłby dowodów wskazujących właśnie na ciebie...

Mówiąc to, Doktor powstrzymał uśmiech. Obrócił fotel Pacjenta i wskazał, by ten na nim usiadł. Po chwili odezwał się łagodnym, pocieszającym tonem:

– O nic się nie martw. Wszystko się jakoś ułoży, ale musisz zadbać o czyste sumienie. W przeciwnym razie zwariujesz, a ja do tego nie mogę dopuścić. – Uśmiechnął się delikatnie. – Mam jednak drobną prośbę. Musisz mnie uważnie posłuchać i zrozumieć. To dla twojego dobra.

Pacjent spojrzał na niego z błyskiem nadziei w oczach.

– Tak, panie doktorze?

– Nigdy, ale to nigdy nie wspominaj o naszej terapii. To mogłoby ci tylko zaszkodzić. Uznaliby, że byłeś świadomy swoich skłonności i zadziałałeś z premedytacją.

– Tak pan mówi?

– Oczywiście. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Pacjent przez chwilę nad czymś się zastanawiał, wreszcie na znak zrozumienia pokiwał głową.

– Dobrze, panie doktorze. Zrobię, jak pan uważa.

– Chcę tylko twojego dobra.

– Wiem. Bardzo panu za to dziękuję...

Szyfowa praca dobiegała końca.

Deryło mimowolnie wstrzymał powietrze. Świat wokół niego zdawał się kręcić, a za powiekami zamkniętych oczu pulsowało światło. Jednak komisarz nie czuł bólu. Mięśnie nie odmówiły mu jeszcze posłuszeństwa i wciąż stał, z jedną ręką wyciągniętą, jakby chciał nią osłonić Haler, a drugą opartą o skraj piwniczki.

W uszach wciąż rozbrzmiewało mu echo huku, który rozległ się przed chwilą. Był to odgłos pusty, przypominający bardziej plaśnięcie niż wystrzał. Deryło przeszła myśl, że był to dźwięk kuli przeszywającej ciało leżącej obok Tamary. Wraz z nią po karku przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz, a niewidzialna ręka zacisnęła palce na jego gardle. Wszystko to świadczyło o tym, że wciąż żył. Jeszcze.

Otworzył oczy i usiłował uporządkować myśli. Chwilę trwało, nim jego świadomość zebrała się do kupy, pozwalając właściwie odebrać rzeczywistość. Odbiór nie oznaczał jednak jej zrozumienia ani pojęcia, co właściwie się wydarzyło.

Przez kolejne ułamki sekund komisarz rejestrował następujące po sobie wydarzenia oraz fragmenty otoczenia. Najpierw dostrzegł Syzyfa leżącego na boku na podłodze. Ciałem mężczyzny wstrząsały dreszcze, jakby poraził go atak apopleksji. To zapewne jego upadek wywołał odgłos przypominający huk. Krok dalej, obok Tamary, nachylał się Eger. Nie miał już na rękach kajdanek, lecz w jednej z dłoni trzymał jakieś urządzenie.

Czyżby chciał dokonać dzieła i zamordować Haler? Deryło dostrzegł jednak, że mężczyzna sprawdza puls podkomisarz. Korzystając z jego nieuwagi, zebrał wszystkie siły, po czym jednym susem wydostał się z piwniczki. Chciał rzucić się na Egera, lecz ten wyciągnął w jego stronę przedmiot trzymany w dłoni. Był to krótki paralizator o mocy wystarczającej, aby powalić byka. Deryło natychmiast zrozumiał, co przydarzyło się Syzyfowi.

Wtedy ostatecznie stracił kontrolę nad jakimikolwiek instynktami. Wiedziony szaleńczą furią rzucił się na Egera. Więzień uniósł paralizator, lecz nie zdążył go użyć. Zamiast tego drugą ręką, sięgnął ku masce zasłaniającej twarz. W momencie, gdy komisarz zamachnął się, by go uderzyć, rozpiął mocowanie kryjącego jego głowę kasku.

– Nie! – wrzasnął. – Przestań!

W tej samej chwili cios Deryły strzaskał jego policzek. Kask spadł na ziemię, a maska się przekrzywiła. Deryło chciał ponowić uderzenie, lecz nagle zamarł w bezruchu.

– Niech to... – syknął.

Nie rozumiał kompletnie niczego. Czuł się tak, jakby znalazł się w jakimś pochrzanionym świecie. Świecie upiornych koszmarów.

89

Pacjent całkowicie stracił wiarę we własną poczytalność. Rzeczywistość rozpadła się na miliony szklanych kawałków, z których każdy zamiast prawdy mógł odbijać jedynie jego wypaczoną wizję.

Krew. Czuł jej zapach i posmak. Czy była to jednak jego krew, czy... Pewnych myśli w ogóle nie chciał artykułować ani rozważać, pragnął je zepchnąć w niebyt, lecz niestety nie mógł tego zrobić.

Czy był mordercą?

Był. Co do tego nie powinien mieć żadnych wątpliwości. Wizja sprzed paru dni, o której nie opowiedział Doktorowi, była zupełnie wymowna. Tak straszna, że usiłował zaklasyfikować ją jako kolejny szalony koszmar, do tego niewarty choćby wspomnienia. Tak obłądny, że wymykający się logicznym zasadom języków. Jak

na szaleńca mężczyzna miał zaskakujący poziom krytycyzmu wobec własnego obłędu. Potrafił go osądzić, choć nigdy nie brał go za autentyczny. Był poczytalny i zdrowy – usiłował w to wierzyć ze wszystkich sił. A jednak raz po raz pojawiały się wątpliwości, które teraz ocierały się o pewność.

– To skomplikowane... – szepnął, przeciągając dłońmi po twarzy.
– To pieprzone gówno!

Zawsze chciał być po prostu dobrym człowiekiem. I nigdy mu się to nie udawało. Czy zło tkwiło w nim od dzieciństwa? Od momentu, który Doktor uznał za przełomowy, a którego on niemal w ogóle nie pamiętał?

Czasem wydawało mu się, że te okropne wydarzenia tak naprawdę nie miały miejsca, że stanowią jedynie wymysł lekarza, ale... Tak, w ten sposób sam starał się chronić. Wypierał prawdę.

A ów sen, którego nikomu nie opowiedział? Tfu, to nie był żaden sen, lecz najgorszy z koszmarów.

„Walcz z czarownicami” – powtarzał jakiś głos ukryty w jego głowie. Pamiętał, że wiele o nich czytał i słyszał, a nawet z kimś o nich rozmawiał. Czarownice, wiedźmy, demony...

Rudowłosa kobieta z czarnymi oczami musiała mieć w sobie diabła. Trafił na nią całkowicie przypadkowo, choć przecież przypadki nigdy się nie zdarzają. Choć niby dlaczego?

Szedł za nią, a kiedy ta wiedźma wsiadła do samochodu, udał chromego. Bał się, że zrobi mu krzywdę, lecz wiodła go głęboka ciekawość. Nie mógł się wycofać.

Poprosił o podwiezienie, a potem... A potem, gdy znaleźli się w aucie, wystarczyło kilka ciosów, by całkowicie mu się poddała. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek nauczył się kierować samochodem, ale jakoś przewiózł ją do lasu. Cud? Magia? To nie miało znaczenia.

– Ocalę cię – oznajmił pompatycznie, gdy kobieta odzyskiwała przytomność.

Zatrzepotała powiekami i starała się krzyżeć. Szmaciany knebel uwięził głos głęboko w jej gardle.

– Dla twojego zbawienia... – wyszeptał, poprawiając linę, którą przywiązał ją do wysuszonego drzewa. Węzły sprawiały, że kobieta unosiła się lekko nad ziemią, a sznur wżynał się w jej ramiona oraz podbródek. Musiała niemiłosiernie cierpieć. Cierpienie stanowiło jedną z dróg prowadzących wprost do Boga.

Przez kilka minut mężczyzna obserwował, jak wiedźma stara się uwolnić, jak się szamocze i walczy. Delektował się bezsilnością demona uwięzionego w tym kruchym ciele. Więzy zaciskały się, coraz mocniej przecinając bladą skórę.

Wtedy u stóp tej przeklętej czarownicy wylał całą zawartość kanistra. Wokół uniósł się zapach benzyny, a kobieta zaczęła się jeszcze mocniej szamotać. Nie zważała, że jeden ze sznurów przetarł jej nadgarstek niemal do kości. Strzęp skóry zwisał z niego niczym z obranego drobiowego udka. Krew spływała do łokcia kobiety i skapywała pojedynczymi kroplami na ziemię.

Wystarczyła jedna zapalka, by ogień wystrzelił wysoko w powietrze. Płomienie smagnęły rude włosy, ale nie zajęły ich. Pochodnia paliła się od podłoża, roznosząc wokół smród topionego tłuszczu oraz zwęglającej się skóry. Jej całe płaty schodziły z nóg oraz bioder kobiety. Pod wpływem potężnej temperatury rolowały się i odpadały. Po kilkudziesięciu sekundach czerwone mięśnie zamieniły się w szarobrązowe kawały spalonego mięsa, a w niektórych miejscach odsłoniły się białe kości.

Kobieta wciąż walczyła o życie. Teraz nawet knebel nie był w stanie stłumić jej krzyków. Wszystko dlatego, że wrzeszczała tak głośno, iż rozerwała sobie kąciki ust, z których ciurkiem wypływała krew. Kłęby dymu stawały się coraz bardziej gęste i coraz bardziej cuchnące.

Z podbrzusza wiedźmy dosłownie wytapiał się tłuszcz. Skwierczał jak woda strzepnięta na rozgrzany na patelni olej.

Nagle płomienie wzbiły się jeszcze wyżej i sprawiły, że pępek kobiety dosłownie rozdzielił się na pół. Po chwili jej cały brzuch zaczął obłazić ze skóry, która odsłaniała mięśnie oraz ścięgna. Wtem rozległo się ciche syknięcie i trzewia kobiety momentalnie wylały się ze środka.

Na to wspomnienie Pacjent się skrzywił. Jego koszmary były rzeczywistością. A jednak jakaś część jego duszy wciąż podpowiadała mu, że to niemożliwe. Że przecież jest dobrym człowiekiem.

Najwidoczniej dobro nie zawsze zwycięża, jak mawiał Doktor. A może to ono właśnie wygrało?

90

Nawet upiorne koszmary miewają dobre zakończenia. Uśmiechnięta, choć wciąż pełna napięcia twarz Brzeskiego, która wynurzyła się zza maski, przyprowadziła Deryłę o dreszcze. W momencie, gdy aspirant dotknął błyskawicznie puchnącego policzka, komisarz niemal stracił równowagę. Niewiele brakowało, by zemdlął.

– Jakim cudem?

Pamiętał, że wypowiedział te słowa, a chwilę później odezwały się syreny i drzwi młyna z trzaskiem wyleciały z futryn. Do środka wpadło kilku policjantów, półmrok przecięły smugi ostrego światła latarek, a krótkie komendy nakazywały wszystkim paść na ziemię.

Dalsze wydarzenia mieszały mu się i chaotycznie nachodziły na siebie. Emocje przetasowały wspomnienia oraz nadały upływowi czasu niezwykle rytm. Wiedział, że był w szpitalu, że rozmawiał

z psychologiem i że na swój sposób delikatnie podziękował mu za współpracę. Wiedział, że złożył szczegółowe zeznania i że wtedy wydawał się całkowicie opanowany. W jego mieszkaniu nie odkryto jednak żadnego śladu morderstwa, co powinno podważyć jego wiarygodność, lecz wcale tak się nie stało. Nie został tymczasowo aresztowany i nie przedstawiono mu zarzutów. Zamiast tego kolejnego ranka pozwolono mu wrócić do domu, gdzie sam starannie przeszukał każdy kąt. Poza specyficznym zapachem unoszącym się w powietrzu wszystko wydawało się takie, jak przed dwoma czy trzema dniami. Normalne.

Być może znalazłby się na skraju szaleństwa i wiary we własną poczytalność, ale w trakcie kolejnego przesłuchania prokurator, jego dawny znajomy, dał mu do zrozumienia, że w sprawę uwikłane były wschodnie służby. Rosyjskie, a może ukraińskie, to nie miało znaczenia. Jedne i drugie potrafiły zatrzeć za sobą jakiegokolwiek ślady. Posiadano na to niezbitę dowody i cała sprawa została objęta tajemnicą państwową. Jednocześnie umorzono postępowanie dyscyplinarne oraz dochodzenie prokuratorskie dotyczące okoliczności ujęcia przez Deryłę poprzedniego mordercy. Był to niezbyt zawołany prezent za milczenie. Komisarz ani razu nie zobowiązał się jednak do zachowania czegokolwiek w tajemnicy. Nie wiedział nawet, dlaczego miałby to zrobić.

Domyślił się naturalnie, że Syzyf nie działał na własną rękę. Najprawdopodobniej przeprowadzał jakiś eksperyment psychologiczny, który pozostawał pod ścisłą kontrolą agencji państwowych. Eger został wydany do Polski tylko dlatego, że o niczym nie miał pojęcia. Miał się przyznać do każdej ze zbrodni, sfabrykowane dowody miały stanowić wystarczającą podstawę do wydania wyroku skazującego i sprawa zostałaby wówczas definitywnie zakończona. Bez względu na to, czy ułomny oraz najprawdopodobniej chory psychicznie mężczyzna trafiłby do więzienia, czy do zakładu leczniczego. Jednak komuś taki rozwój

wydarzeń wydał się prawdopodobnie zbyt ryzykowny. Dlatego uznano, że Syzyf powinien się pozbyć Pacjenta, który brał na siebie odpowiedzialność za jego zbrodnie. Być może – to już była czysta teoria komisarza – psychiatra sam nie zdawał sobie sprawy, z kim pogrywa. Mógł uważać, że jest genialnym mordercą, o którym nikt tak naprawdę nie ma pojęcia i który sam wszystkimi manipuluje. A może była to prawda? Może rzeczywiście to jedynie przez czysty przypadek bracia Macharow byli krewnymi jednej z jego ofiar i postanowili się zemścić na tym, kogo wzięli za prawdziwego zbrodniarza – czyli na Egerze?

Na część pytań Deryło nie próbował stawiać odpowiedzi. Mógłby je formułować na różne sposoby, ale i tak nigdy nie poznałby prawdy. Życie nie przedstawiało jednoznacznych rozwiązań, jak zazwyczaj wymaga się tego w powieściach. Często pozostaje pole do interpretacji, choć istnieje kilka konkretnych scenariuszy przebiegu wydarzeń.

Pewnym było, że po nocnej rozmowie o Haler oraz wizycie Deryły w komendzie Brzeski zorientował się, że wydarzyło się coś niedobrego. Wykonał kilka telefonów, dowiedział się, czego chciał komisarz, i połączył fakty. Gdy policja zatrzymała Deryłę na blokadzie, do jego auta został podpięty dodatkowy nadajnik. Wcześniej zorientowano się, że ktoś usiłuje przejąć kontrolę nad informatycznymi systemami policyjnego wozu. Przez całą drogę aspirant musiał jednak milczeć oraz mieć zasłoniętą twarz, choć jednocześnie zachodziło ryzyko, że stanie się elementem rozgrywki między Syzyfem i komisarzem. Groziła mu śmierć, ale uznano, że to najlepsze rozwiązanie. Deryło głęboko doceniał oddanie Brzeskiego, choć nie potrafił mu tego należycie wyrazić. Taki już miał charakter.

Najważniejsze było dla niego, że Haler odzyskała przytomność. Została nafaszerowana środkami usypiającymi oraz jakimś narkotykiem, ale wydawało się, że jej organizm całkowicie

sobie poradził z ich wpływem. Zalecono jej kilka dni odpoczynku oraz powstrzymywania się od jakichkolwiek używek, włącznie z kawą. Mimo to, gdy tylko wyszła ze szpitala, uparła się, by komisarz, który po nią przyjechał, nie odwoził jej do mieszkania, ale aby pojechali do baru.

– Chcę poczuć, że jeszcze żyję – wyszeptała wymownie.

Deryło na swój sposób doskonale ją rozumiał, więc bez szemrania spełnił tę prośbę. Tamara zadzwoniła również do Brzeskiego. Chciała spędzić kilka godzin w towarzystwie najlepszych przyjaciół. Gdy wreszcie w trójkę zasiedli przy stoliku w ulubionym przez komisarza Aviatorze, natychmiast zamówiła mojito. Wreszcie, patrząc na zroszoną szklanę z drinkiem, znacząco westchnęła.

– Muszę wam coś powiedzieć – odezwała się grobowym tonem.

91

– Ej, ej, to ja miałem dostać Oscara za rolę Egera. – Brzeski kpiarsko wymierzył w Tamarę palec. – Dlatego bardzo cię proszę, nie odgrywać teraz filmowej scenki z wyznaniem. Mogę być jedynym aktorem w komendzie. Oczywiście poza momentami, gdy komisarz odgrywa rolę świętego mikołaja. Ale i tak wtedy...

– To żadne scenki. – Haler weszła mu w słowo i założyła za ucho kosmyk włosów. – Naprawdę chcę wam coś powiedzieć.

– Okej, skoro tak, słuchamy cię z całą uwagą, ale...

Brzeski zamilkł w pół zdania. Tamara przez chwilę się namyślała, wreszcie wyrzuciła jednym tchem kolejne zdania.

– Odchodzę. Rzucam tę robotę i wyjeżdżam. To naprawdę koniec...

Deryło spojrzał na nią spode łba. Przez kilka sekund czekał, aż Tamara stwierdzi, że to tylko żart. Kiedy zdał sobie sprawę, że podkomisarz wcale nie jest skłonna do dowcipkowania, przekrzywił głowę.

– Daj spokój... Niedługo ta cała akcja będzie tylko zabawnym wspomnieniem.

– Nie o to chodzi.

– A o co? Zebrało ci się na dramatyzowanie czy odłożyłaś dość kasy, by podróżować po świecie?

Brzeski również starał się obrócić wszystko w żart. Uśmiechnął się i odrzucił z czoła grzywkę.

– Zamierzasz zostać celebrytką – skwitował, udając nagłą powagę. – Napisało o tobie tyle gazet, że teraz mogłabyś do końca życia odcinać kupony od sławy. Może napiszesz wspomnienia?

Haler westchnęła. Upiła łyk drinka i przez chwilę wodziła wzrokiem od Deryły do Brzeskiego, jakby chciała ocenić, który z nich mógłby ją lepiej zrozumieć. Wreszcie zatrzymała spojrzenie na komisarzu.

– Dałam się podejść jak najgorsza amatorka. Otumaniono mnie i wyprowadzono z budynku szpitala. Nie miałam za grosz instynktu ani czujności. – Wzięła szklanekę do dłoni, lecz nie podniosła jej do ust. Po chwili narysowała w pokrywającym ją szronie falowaną linię. Wreszcie ponownie spojrzała na Deryłę. – Bywam otępiała i gubię się we własnym mieszkaniu. Mam coraz wyraźniejsze objawy płasawicy i zdaję sobie sprawę, że nie dam rady tego zatrzymać.

Deryło oraz Brzeski wymienili ukradkowe spojrzenia.

– Płasawicy? – Komisarz zmarszczył czoło i pochylił się nad stolikiem, jakby chciał stoczyć walkę z niewidzialnym wrogiem. – O czym ty mówisz?

– Zdiagnozowano ją u mnie prawie dwa lata temu. I tak przez ten czas trzymałam się całkiem nieźle.

– Jesteś pewna? – Brzeski wyprostował się, a jego brwi zbiegły się niemal w równą linię. Nerwowo oblizał usta. – Może to pochopna diagnoza... Sama mówisz, że trzymałaś się nad wyraz dobrze, a nikt nie powiedziałby, że...

Haler uniosła palec, dając znać, aby zamilkł.

– Nie chcę, aby ktokolwiek mi bliski cierpiał, patrząc, jak odchodzę. Dlatego wyjeżdżam.

– Ale...

– Nie protestujcie, proszę. To ostateczna decyzja.

Deryło ruchem głowy dał Brzeskiemu znać, by ten nie starał się polemizować z Tamarą. Odchrząknął, jednym haustem dopił bourbona i spojrzał Haler prosto w oczy.

– Ile? – zapytał ostrym, niemal brutalnym tonem, choć jednocześnie schował pod stołem drżącą dłoń.

– Dwa, może trzy.

– Lata?

Haler uśmiechnęła się blado i wyciągnęła rękę ku jego twarzy. Pogładziła go po policzku.

– Miesiące, tatuśku. Co najwyżej.

—= FADE TO BLACK =—

Posłowie

Chciałem napisać, że trzy lata minęły jak jeden dzień, lecz zdałem sobie sprawę, że to już cztery lata... Do tego miały nieco dłużej niż dzień, ale tylko nieco. I to wyłącznie dlatego, że wypełniło je mnóstwo fabuł i rozmaitych peregrynacji w książkowych światach. Właściwie pewnie w te cztery lata można by upchnąć kilka lub kilkanaście intensywnie wyeksploatowanych żywotów. Ale cóż... To największa magia oraz cudowna moc pisania. Może być zarówno darem, jak i przekleństwem.

Nie wiem, czy koty mają dziewięć żyć (chciałbym, aby tak było), lecz pisarze miewają ich znacznie więcej. Ponadto żadne z nich nie jest jedynie ersatzem tego ziemskiego, rzeczywistego, ale czymś zupełnie niepowtarzalnym. Unikatową metafizyczną przygodą, którą dzieli się z czytelnikami. W końcu książki stają się cudownym środkiem również dla swoich odbiorców. „Żyłeś tak wiele razy, ile książek przeczytałeś”. Podobnie jak Deryło jestem miłośnikiem sentencji oraz bon motów, ale zapewne ich tworzenie wychodzi mi znacznie gorzej. Dlatego przejdźmy do sedna, o ile posłowia w ogóle kiedykolwiek miewają jakieś sedno. Zazwyczaj to mieszanina egzaltacji, reklamy oraz wzruszających podziękowań. Tym razem będzie nieco inaczej (jednak tylko nieco).

Ten dziewiąty, w jakiś sposób jubileuszowy, tom zmagania komisarza Deryły ze złem (Złem?) w najmroczniejszych, najohydniejszych postaciach powstawał tak jak poprzednie – całkowicie spontanicznie. Jest coś wyjątkowego w tym cyklu. Coś, co pozwala mi się nie martwić, że wydarzenia się nie zepną lub

jakiś element na pewnym etapie nie będzie pasował do reszty. Czasem mam wrażenie, że jedynie spisuję to, co naprawdę miało miejsce w jakiejś alternatywnej rzeczywistości (oby nie! Bo cóż by to była za makabryczna rzeczywistość...).

Tym razem przystępowałem do pracy z nastawieniem, by akcja gnała na złamanie karku i jak najczęściej mnie zaskakiwała. Pozwoliłem sobie pofolgować. Nie miałem żadnych obaw ani hamulców. Oddałem się wyłącznie przyjemności spisywania fabuły pędzącej niczym najnowocześniejszy Shinkansen. Wierzyłem, że nawet na najmocniejszych zakrętach pociąg się nie wykolei, a przemknie przed czytelnikami, zdmuchując nie tylko kapelusze z ich głów, ale i wydmuchując mózgi oraz burząc myśli. Czy mi się udało? Mam nadzieję.

Okazuje się, że posłowia mogą być wyrazem hołdu dla bohaterów i właśnie taki hołd składam każdej z postaci tej serii. Komisarzowi, Tamarze, aspirantowi Brzeskiemu oraz całej plejadzie bohaterów drugiego oraz trzeciego planu, a także – tym złym (Złym?). Bez zła nie byłoby bowiem dobra. Bez protagonisty nie byłoby antagonisty. Syzyf okazał się dla mnie równie ekspresywny jak Deryło. Eger stanowił mistrzowski popis aktorskich umiejętności Brzeskiego i przez pewien czas sam w niego wierzyłem.

Już wielokrotnie okazywało się, że metafizyka łącząca czytelników oraz autora to jedna z sił wymagających zbadania przez naukowców. Siła napędzająca tę mknącą lokomotywę i wtłaczająca krew w żyły poczciwego komisarza, pompująca powietrze do płuc Tamary i ożywiająca mnóstwo innych postaci. Ów *élan vital*, tak trafnie zdefiniowany przez Bergsona. Za doświadczenie tej magii serdecznie Państwu dziękuję. Mam nadzieję, że dostarczone emocje pozwoliły mi odwdzińczyć się choćby w znikomym stopniu.

Ukłony
Max Czornyj

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

Posłowie

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2021
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Alhovik/Shutterstock

Redakcja: Marta Akuszevska
Korekta: Monika Ślusarska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-794-6

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.